



Zbigniew Ściubak

EKSPERYMENT

Eksperyment

Copyright © by Zbigniew Ściubak, 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-272-4198-6

grudzień 2012 - sierpień 2013, Lublin

1.

Czwartek, 17 marca 2033.

Wczesnym rankiem, ze spadającej pionowo do morza ciemnej grani, oderwało się kilka ptaków. Białe punkty. Wirujące. Wznosiły się, to opadały, wypełniając krzykiem stalowe niebo. Unosiły je głównie prądy powietrza. Czasem ptaki uderzały skrzydłami o niewidzialną przestrzeń, podrywając się wyżej albo korygując kierunek lotu. Niemal pionowe, poszarpane, czarne ściany skał były ich domem. Z wysokości wielu dziesiątek metrów, patrzyły stamtąd na kołyszącą się, pofałdowaną liniami fal, powierzchnię morza.

Ostre skały. Gdyby mieć dłoń wielkości okrętu, można by poranić o nie palce. Powietrze wysyczone było wilgocią, pomieszaną z krzykiem mew oraz wiecznym szumem oceanu. Pokochał to miejsce. Nawet ten ponury kolor nieba, który pod stalowosinymi chmurami, stwarzał scenerię oderwaną od rzeczywistości. Jakby miejsce, w którym był, w którym żył od trzech lat, było miejscem z innej planety. Czy będzie to ta sama planeta?

Fale w dole, łamały się białymi grzywami. Rytmicznie uderzały o skały, rozbryzgując swą pianę, jak próżne łyzy zawiedzionej miłości. Czy kochał? Czy miłość była prawdziwa? Czuł pod dłońmi chropowatą powierzchnię grani, na której siedział. Łagodne zejście, które prowadziło do tego miejsca, usłane było dywanem z mchów i porostów. Spojrzał w niebo. Skłębione chmury i gra odcieni szarości. Czy zawsze tu musi być chłodno?

Pięćdziesięcioletni mężczyzna o jasnych, całkowicie siwych włosach, zaczesanych w tradycyjny przedziałek, ubrany w solidne skórzane trzewiki, niebieskie dżinsy i także kurtkę, tyle że na futrzanej podpince, siedział na krawędzi skał. Jakby zawieszony w czasie i przestrzeni. Jego oczy były jasnoniebieskie. Twarz, wyrzeźbiona przez wiek i lata trudnego życia, była wyraźna, grubo i zdecydowanie ciosana. Ptaki, unoszone prądem powietrza, poszybowały tuż znad powierzchni morza ku górze i łagodnymi łukami zbliżały się do grani, na której mieściły się ich gniazda. Kilka z nich wylądowało. Jasne punkty na ciemnym tle bezkresnej, urwistej ściany.

Z tyłu za siedzącym mężczyzną, schodziła w dół kobieta. Miała pięćdziesiąt lat. Ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i figurę, jakiej nie powstydziliby się trzydziestolatka. Jej biodra, podobnie jak siedzącego mężczyzny, otulały tradycyjne dżinsy. Miała na sobie jasną, beżową, ocieplaną kurtkę. Usiadła obok mężczyzny. Odwrócił na chwilę w jej kierunku wzrok. Miała piegi na nosie i nieliczne na jasnych policzkach. Wydatne usta, szarozielone oczy i te rude włosy zaczesane w niewielki ogonek z tyłu głowy. Ten kolor zawsze go interesował, przyciągał. Był jak kolor słońca, zamknięty wokół jej twarzy, tak dobrze

mu znanej.

Daleko na horyzoncie pojawił się przemieszczający się punkt. Trudno było z tej odległości rozpoznać czy to statek, czy jacht turystyczny. Zdarzało się to rzadko. Bardzo rzadko. Wybrał to miejsce ze względu na odosobnienie. Izolację od kontaktów, brak relacji z ludźmi. Zrósł się z księżycowym krajobrazem. Cieszył się nielicznymi chwilami słońca, kiedy niebo zyskiwało głębię niezmiernego błękitu, a morze nabierało życia i radości. Tak nie było dzisiaj. I nie będzie jutro. Ani pojutrze. Znał prognozy pogody. Będzie chłodno i pochmurnie. Temperatury w kwietniu, w tym miejscu Islandii, nie przekraczały czterech stopni Celsjusza. Dodatkowo ta szarość. Odetchnął głęboko.

Kobieta siedząca obok milczała. Nie miała powodu by się spieszyć, nagabywać go pytaniami. W ogóle nie mieli powodu, by się gdziekolwiek spieszyć. Już trzy lata przebywali w tym odludnym miejscu. Wszystko stało się inne. Proste. Oczywiście. Nie wymagające stawiania pytań ani tłumaczenia. Zresztą, on zrobił się milczący. Czyniła co mogła. Po prostu z nim była, towarzysząc mu jak teraz.

– O czym myślisz? – zapytała.

– Patrzę...

– Na co patrzysz?

Silny wiatr wiał im teraz prosto w twarz. Może powinna wziąć czapkę. Patrzyła na niego. Wiatr poruszał jego włosami, omywał jego twarz. Powędrowała za jego wzrokiem. Hen w oddali, po horyzoncie przesuwiał się punkt statku. Poczowała to wszystko. Wiatr, kołysanie, szum morza. Unoszenie się mew w powiewach powietrza. Twardość granitu, z którego zbudowana była przepastna grań naprzeciwko nich. Życie w morskiej toni, które gdzieś tam, kwitło nieustannie. Gdyby nie Golfstrom, klimat byłby tu znacznie ostrzejszy, a tak temperatura wahała się od minus dwóch w zimie, do blisko ośmiu stopni latem. Oczywiście w lipcu, w środku dnia bywało i dwadzieścia stopni. Kwitły wtedy kwiaty. Fioletowo. Nie znała ich nazwy. Nazwałaby je: „fioletem wśród zieleni”. Taka nazwa najlepiej oddawałaby to, z czym miała do czynienia. Teraz było inaczej. Pamiętała ich niedawną wyścieczkę do doliny Fljótavatn. Wszechobejmującą szarość, wśród której jedynymi wyraźniejszymi akcentami, były płaszczyzny śniegu na czarnych, otaczających ich górach. Ciężkie niebo. Niewielkie oczko jeziora w kolorze rtęci. Islandia jest bardziej wyspą lawy niżli lodu. To właśnie brak gleby, a nie chłodny, lecz umiarkowany klimat, sprawiał, że bujniejszej roślinności było tak niewiele, a spore połacie porastał po prostu mech. Brak miejsca dla korzeni. Dla normalnego życia. Takiego jak gdzie indziej.

Mężczyzna wstał, otrząpął się, podał rękę kobiecie. Niebo, ciężko nachylone nad nimi, zapowiadało możliwość opadów. I tak, tutaj na północy było ich znacznie mniej niż na południu wyspy, gdzie nad masywem drugiego lodowca Europy, tworzyły się deszczowe chmury. Terenowe volvo stało, wiernie wyczekując. Uruchomił silnik. Z plasti-

kowych kratownic popłynęło cieplejsze powietrze do środka. Ruszył. Mogli przejechać wiele kilometrów i nie napotkać żadnych ludzi. Na wyspie, o wymiarach około pięćset na trzysta kilometrów, mieszkało trzysta tysięcy ludzi, z czego dwie trzecie w rejonie Rejkiawiku. Pozostała część lądu była wyludniona. Samochód kołysał się po bezdrożu. Miękki mech łagodził uderzenia nierówności terenu. Jeszcze kilka minut i auto wspięło się na wąską drogę. Zapalił światła. Jechali do domu. Czarne volvo przesuwano się wśród trudnego dla ludzi i zwierząt terenu. Pracowicie, jak jak jakiś owad, sunęło po nitce drogi, pięło się wyżej, zakreślało, mijalo łuk zatoki, by wreszcie ruszyć prosto, do położonej w otchłani pustego terenu, posiadłości. „Perłowa Zatoka” – taką nadał jej nazwę. Przystań w jego życiu.

Do szumu wiatru, stale obecnego w powietrzu, dołączył nowy dźwięk. Stalowszare chmury roniły łzy. Okna dwupiętrowego pałacyku witały ich żółtym, ciepłym kolorem oświetlenia. Na szybach samochodu osiadały krople deszczu. Włączył wycieraczki. Brama, ogrodzenia przed budynkiem, otworzyła się automatycznie. Zatrzymał samochód tuż przed wejściem. Z drzwi wyszedł starszy, dystyngowany mężczyzna z wielkim, czarnym parasolem, który natychmiast rozłożył. Podeszedł do samochodu i otworzył drzwi od strony kobiety.

– Witam panią Ingrid.

Wyszła i lekkim uśmiechem przywitała Adama. Adam był ich służącym. I to nie od trzech lat, które spędzali w tym wybudowanym przez Patryka domu na Islandii, ale już od dwudziestu. Był bardziej przyjacielem niż służącym. Robił po prostu wszystko to, na co nie mieli czasu albo ochoty, służąc im dodatkowo jako towarzysz, a czasem nawet jako powiernik. Jego siedemdziesiąt jeden lat w niczym nie ujmowało bystrości umysłu i sprawności ciała. Stawał się za to uosobieniem dystynkcji i godności. Ale takiej ciepłej, bliskiej człowiekowi, nie tej wyniosłej, patrzącej na ludzi z góry.

Patryk wysiadł z drugiej strony i otworzył drzwi wejściowe. Powitało ich ciepłe wnętrze. Ciągłe jasne i przyjazne. W kominku, w rozległym salonie, paliły się polana drewna. Ogień lizał bierwiona, tańczył na nich taniec życia albo śmierci. Patrzyli nań później, siedząc na sofie pokrytej narzutą z owczej wełny. Drewniana podłoga była zasłana ciepłymi puszystymi futrami, po których przyjemnie było chodzić bosymi stopami. Było ciepło.

– Będziemy się dzisiaj kochać? – zapytał patrząc na nią. Na zarys jej nosa, ust, szyi. Na miękkość piersi i brzucha, na ciepło bioder, które tak kochał.

Wydawało mu się, że na jej ustach zagościł uśmiech. Przynajmniej przez chwilę. Wziął, ze stolika przed nimi, kieliszek z czerwonym winem. Podniósł go do ust. Smak. Ile można opowiedzieć o smaku, zmieścić w nim? Czym był jej smak? Czym, jeśli nie drogą do niewiadomego? Jeszcze raz popatrzył na jej twarz. W powietrzu rozlegał się cichy trzask pękających bierwion. Jej klatka piersiowa, otulona białym

swetrem, podnosiła się i opadała miarowym ruchem. Przymknął oczy. Czuł. Przez chwilę czuł to wszystko. To czego nie chciał opisywać ani nazywać słowami, kiedy byli razem.

Ingrid spokojnie patrzyła w palenisko. Ciepło ognia zdawało się odbijać na jasnej skórze jej twarzy. Zasłony wokół okien miały brązowo-złoty kolor. Za nimi siny, chłodny, północny świat. Poruszyła nogami. Włoski futra mile łaskotały podeszwy jej stóp. Patryk wstał. Skierował się do drzwi. Czy musiał pozbawiać się obrazu jej ciepła? Czy przeciwnie, miał w nim mieszkać, odnajdując echa spełnienia? Ruszył przed siebie.

– Idziesz na górę? – zapytała.

– Tak. Spotkamy się na obiedzie.

Wstała, skręciła w stronę swojego pokoju. Cóż mogła zrobić? Patryk pracował. Albo może raczej zajmował się swoim hobby. Właściwie, nigdy o nim jej nie opowiadał. Może nie była zainteresowana. A może przeciwnie, rozumiała go. Czekala. Pozwalała mu by był, taki jaki chciał być. By dzielił się z nią tym, czym chciał. Sobą.

2.

Na pierwszym piętrze Perłowej Zatoki mieścił się jego gabinet. Zajmował prawą część kondygnacji. W centrum znajdowała się biblioteka, z lewej strony ich sypialnia. Położył dłoń na klamce. Niczym nie wyróżniająca się, staroświecka w wyglądzie, czytała wszystkie możliwe parametry, charakterystyczne dla skóry jego dłoni. Porównywała je z wzorcem. Porównywała je z ostatnim pomiarem. Nie tylko zarys i kształt, ale również głębokość, wzajemne położenie, skład chemiczny naskórka i szereg innych danych. Zamek ustąpił z cichym kliknięciem. Wszedł do środka.

Gabinet zajmował około stu metrów kwadratowych. Nie był duży jak na jego warunki, ale nie potrzebował większego. Okno wychodziło na zatokę. Zajmowało większość frontowej ściany. Tafle szyb łączyło delikatne obrysowanie metalowych łączników. Staroświecko. Teraz już nikt takich nie robił, przezroczyste płaszczyzny zastępowały ściany, otwierając wnętrza na świat. Szyby w jego oknie jednakże miały te własności, że potrafiły w dowolnym stopniu zmniejszać przepuszczalność światła, potrafiły też stać się ekranem, na którym mógł oglądać co tylko chciał. Nie chciał. Podeszedł do biurka stojącego na środku gabinetu, ustawione było lewym bokiem w stronę okna. Gdy siadał, zapaliła się lampka. Na zewnątrz było pochmurno. Ruchem dłoni, wykonanym w powietrzu, uruchomił przekaźnik. Nad blatem biurka pojawił się przestrzenny kolorowy obraz. W delikatnie wibrującym soczystą zielenią obszarze pojawiły się wielobarwne elementy. Otworzył relację z bieżącego strumienia wiadomości. Ułożone w dwa rzędy, trzy w górnym i tyleż w dolnym, sześciany, pokazywały skondensowany przekaz głównych kanałów informacyjnych. Kolor obrazowania każdego sześcianu sygnalizował zasadniczą wymowę aktualnego przekazu i zestawu informacji. Pulsująca czerwień – konflikty, głównie wojenne i międzynarodowe. Purpura przechodząca w fiolet – przemoc cywilna. Kolor czarny to budowanie poczucia zagrożenia. Zieleń – świat polityki dającej nadzieję masom. Bezbarwne były wiadomości nie kształtujące emocji. Bezwartościowy zbiór informacji, z którego nic nie wynikało dla odbiorców, ale który skomponowany był w celu wywołania wrażenia, że właśnie informuje o czymś ważnym. Typowa konsumpcja czasu i uwagi ludzi. Właśnie zobaczył swoją twarz. Powiększył drobnym gestem sześcian, tak iż zajął on całą przestrzeń nad biurkiem.

Jego twarz, sylwetka. Komentarz atrakcyjnej dziennikarki. Jej poważne oczy. Zdecydowane usta. Ujęcia Islandii z powietrza. Najbogatszy człowiek świata nadal przebywa na dobrowolnym wygnaniu, odmawiając komentarzy i wywiadów. Historia jego dojścia do majątku. W pięciu zdaniach. Migawki z wcześniejszego życia. Kiedy był gwiazdą przyćmiewającą wszystkie inne. Tytanem gospodarki, nadzie-

ją ekonomii, architektem przyszłości. Pozwolił oczom jeszcze na kilkanaście sekund tego obrazu. Zamknął sześcian. Podniósł się. Lampka, usiłując odgadnąć jego nastrój, wyłączyła się dyskretnie. Podszedł do okna. Uśmiechnął się. Jego oczy tonęły w szarości. Szybowały w przestrzeni, potykając się o pozbawiony kolorów grunt spadający ku morzu. Dalej, falujący bezmiar oceanu pod ciężkimi ciemnymi chmurami. Gestem przełączył dźwięk z zewnątrz. Usłyszał szum. Wiatru i morza. O czym śpiewało morze? Co takiego słyszeli tu ludzie od setek i tysięcy lat? Czy zawsze taki śpiew można nazwać? Wyrazić. Czy może wystarczy go doświadczyć, pozostawiając jego treść morzu - niedopowiedzianą, czekającą.

Stał w bezruchu. Kontemplował. Rzeczywistość. Ostatnio coraz częściej mu się to zdarzało. Obcowanie z rzeczywistością. Surową jak tutaj na Islandii. Czasem bezzwzględną, czasem drapieżnie żywą jak granitowe klify usłane krzyczącymi mewami. Usłyszał sygnał komunikatora, nadchodzące połączenie. Stamtąd... Odwrócił się i siadając na kozetce, zezwolił na przekaz. Naprzeciwko niego ukazała się podobna kozetka, z kobietą siedzącą na niej z założonymi na siebie nogami. Biała bluzka, czarna spódnica, niezwykle czerwone usta, ramiona rozciągnięte na oparciu za jej plecami. Jej wzrok był dumny, jakby przyzwyczajony do wydawania poleceń, do wyrażania woli, która miała być wykonana. Twarz piękna, lecz nieco zimna, jakże inna niż Ingrid. Wyglądała na trzydzieści lat. Miała czterdzieści dwa. Patryk ją dobrze znał.

Vivien nic nie mówiła, przypatrując mu się bez słowa albo, może dokładniej można by powiedzieć, przypatrując się jego obrazowi, generowanemu w miejscu, z którego z nim się teraz łączyła.

– Widzę, że masz się dobrze.

Nie odpowiedział. Jej zgrabne nogi przesunęły się i zamieniły miejscami. Przełożyła kolana, delikatnie poruszając ustami.

– Musimy grać tę komedię? – zapytała.

– Nie.

– Patryk... Przecież wiesz.

– Wiem coraz mniej.

– Wiesz, że zależy mi na tobie. To znaczy, nam... zależy.

Pamiętał. Niestety pamiętał ją dobrze. Była jak islandzki wulkan. Zimna z zewnątrz i płonąca dzikim pożądaniem przy zbliżeniu. To był jeden z błędów jakie popełnił w życiu. Ale przecież postanowił zerwać z nimi nieodwołalnie, co w efekcie mogło się przełożyć na jego ostatni, największy błąd.

– Ponieważ widzę, że nie masz ochoty na normalną rozmowę, więc przejdę do rzeczy – kontynuowała.

Lepiej późno niż wcale – pomyślał, nie odzywając się nadal.

– Dziś wczesną nocą odlatuje z Rejkiawiku nasz ostatni samolot.

– Zapodział wam się.

– Dobrze wiesz, że się nie zapodział. Zresztą, niech będzie jak

chcesz. Mniejsza o to. Nie zostawiamy swoich.

– To przeszłość.

– To może być przyszłość.

Patryk Lindqvist przez pewien czas się nie odzywał. Nie miał nic do powiedzenia. Zerwał wszelkie liny, spalił wszystkie mosty.

– Więc to już? – zapytał w końcu.

– Jutro rano proces zostanie uruchomiony a grodzie zamknięte.

– Przekraczacie Rubikon.

– Daj spokój.

– Przepraszam. Bardziej pasowałoby powiedzieć: Styks.

– Patryk. Byłeś w pierwszym szeregu. Przestań chrząć, wsiadaj w helikopter. Jak chcesz, to zabierz Ingrid. Leć do Rejkiawiku. Czy to nie jest proste?

– A potem?

– A potem będziesz z nami.

Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

– Jesteście szaleni.

– Twoja ostateczna odpowiedź? – Ton Vivien nabrał stanowczości.

– Jesteś piękną kobietą.

– Wiem – odpowiedziała krótko. – Twoja ostateczna odpowiedź?

– Przecież wam mówiłem. To szaleństwo. Albo znacznie gorzej.

Zostanę tu, poczekam.

Usta Vivien zaczęły lekko drżeć. Spuściła na chwilę wzrok.

– Wielka szkoda Patryku. Będzie mi ciebie brakowało.

– Vivien... – Chciał powiedzieć coś, co by ją dotknęło. Coś w stylu: „szkoda, że mi ciebie nie będzie brakowało” albo coś podobnego.

– Vivien – westchnął – czasem zastanawiam się nad fatum. Nad tym, czy gdzieś, ktoś nie przewidział, nie zapisał albo nie postanowił, wszystkich absurdów i desperacji, które stają się naszym udziałem.

– Robisz się romantyczny.

– Nie. Staram się chodzić po ziemi. Póki czas.

– Patryk, twoje ostatnie słowo. Pamiętaj. Jutro nawet dla nas będzie za późno, aby ci pomóc.

Uśmiechnął się. Tym razem swobodnie. Niewymuszenie. Wszystko przemyślał. Przeżył. I choć nie znał odpowiedzi na pojawiające się właśnie pytania, to nawet ten brak go nie martwił.

– Chyba powiem. Do niezobaczenia.

Vivien patrzyła przez chwilę w jego oczy. Jakby nie mogła się pogodzić z tym, że coś jednak nie idzie po jej myśli, zgodnie ze ścieżką jaką wytyczała jej wola, jej pragnienie.

– Szkoda. Ale trzeba żyć dalej.

– Vivien.

– Tak?

– Po raz ostatni. Czy Kapituła wzięła pod uwagę, to co mówiłem?

Czy... – zawahał się i zrezygnował.

– Tak, tak, tak. Przecież mówiłam ci. Wszystkie nasze zasoby po-

twierdzą, że nie masz racji. Orzekli, że blefujesz. Dlaczego to robisz?

– Ty też w to wierzysz?

– A komu mam wierzyć? Tobie? Ekscentrykowi, który mógłby mieć na świecie co tylko zapragnie. Mógłby mieć mnie, mógłby mieć cały świat i zamiast tego wybiera przegraną? Powiedz, komu ja mam wierzyć?

– Wierz sobie.

– Wierzę sobie. W pewien sposób mi przykro. Ale to minie. Rozmawiam z tobą, bo prosili mnie o to.

– Wiem.

– Więc wiesz, że to naprawdę koniec.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Tyle, że wy jej sobie nie zdajecie.

– Żegnaj.

Podniosła się i podeszła w jego stronę. Patrzył na nią siedząc. Pokręcił głową. Nie wstał. Obraz zgasł. Zrobiło się cicho. Przymknął oczy. Znowu słyszał wiatr. Nieustanny wiatr, sunący ponad nierównym poszarpanym terenem wyspy. Spadający nad bezmiar oceanu. Unoszący ptaki i łamiący grzywy fal. Chciał być tym wiatrem. Mknąć nad ziemią, patrzeć z góry na porozrzucane z rzadka ludzkie domostwa, z ich ostrymi dachami, z oknami, z których ciemną porą wyglądało złotym kolorem ciepło. Chciał pędzić ku szczytom, poszarpanym stokom, na których leżał śnieg. Chciał spływać nad lodowcem ku Rejkjavikowi. Jedyne dużemu skupisku ludzi na wyspie. By pędzić dalej, bez czasu i pamięci, ku kolejnym brzegom, drzewom, lasom. Dlaczego na Islandii nie było lasów? Gleba. Chciał skraplać chmury, nieść je, by dawały życie suchej ziemi.

Otworzył oczy. Wsunął dłonie do kieszeni. Napiął ramiona. Więc jutro na wszystko będzie już za późno. Odetchnął głęboko. Milczał.

3.

Poniedziałek, 15 czerwca 2015.

James Calahan raptownie wcisnął pedał hamulca, jednocześnie od-
ruchowo przechylając się w prawo. Gwałtowny manewr rzucił jego
ciałem, wciskając jego lewy bark w obręcz kierownicy. Seria poci-
sków wyrzuconych z broni maszynowej, przeszła szybę nad nim, za-
mieniając jej tafłę w spadający deszcz odłamków szkła. Samochód
uderzył w fasadę jednego z domów. Nagłym, ale płynnym ruchem
otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz, tocząc się po po bruku. Jedno-
cześnie wy dobył swojego glocka 19 i w trakcie obrotów ciała po jez-
dni, zaczął strzelać w kierunku faceta, który zza pojemnika na śmieci
oddał w jego kierunku salwę z broni automatycznej.

Napastnik pochylił się i chwilę później jego ciało bezwładnie wy-
sunęło się zza kontenera na śmieci. Calahan gwałtownie przetoczył się
w kierunku swojego rozbitego samochodu, używając go jako osłony.
Nie był ranny. Te skurwysyny robiły się coraz bardziej bezczelne.
Strzelać do policjanta. Czy to było wcześniej do pomyślenia? Radio
wewnątrz skrzeczało wezwaniami, by się odezwał. Chwilowo nie
mógł podejść do mikrofonu. Głupia sytuacja. Sytuacja jakich wiele
w jego zawodzie.

Wychylił się zza auta. Ulica zdawała się wymarła. Pusta nić jezdni,
chodniki i linie przytulonych do siebie dwupiętrowych budynków. Z
drzwi jednego z nich wypadła ciemna postać i zaczęła biec w kierun-
ku najbliższego załomu. Oddał dwa strzały. Nie trafił. Sięgnął do wną-
trza samochodu, chwycił radio:

– Potrzebne wsparcie! Skrzyżowanie czwartej i szesnastej. Jeden
napastnik ranny, możliwe że nie żyje. – Odłożył mikrofon.

Nie miał ochoty ścigać uciekającego. Mógł się narazić na głupią
kulę, która wystrzelona z drżących rąk, pokonując opór powietrza, a
następnie jego koszuli, skóry, wierzchniej warstwy mięśni, mogła zna-
leźć drogę do jego serca. Wpaść tam nieproszona i narobić szalonego
bałaganu. Wywołać chaos, który mógłby się skończyć tylko w jeden
sposób. Ciemnością, która zastąpiłaby światło jakim było jego życie.
Nie dzisiaj. Nie teraz. Tego nie żądało od niego jego wykształcenie.
Tego nie nakazywał mu jego rozsądek. Pola śmierci usłane są bohate-
rami. On po prostu wykonywał swoją pracę.

Usłyszał sygnał. Dwa radiowozy z tyłu, migając światłami na da-
chach, wyhamowały tuż obok niego. Wskoczyli z nich umundurowa-
ni policjanci. Jego koledzy.

– Nic ci nie jest? – pytał Johnson, zastępca szefa.

– W porządku. Jeden gość spieprzył za ten najbliższy róg w prawo.
Drugi chyba się potknął o jedną z moich kul – wskazał wzrokiem syl-
wetkę czarnoskórego mężczyzny, wynurzającą się niczym niekształtna

kałuża zza stojącego nieopodal kontenera na śmieci. – Dostałem cynk na melinę. Myślałem, że to lipa, wiesz... sprawdzałem.

– Na drugi raz bierz kumpla i wsparcie od razu. Nie robimy nalo-tów w pojedynkę. – Oczy Johnsona wyrażały jednocześnie troskę i irytację. Dlaczego do cholery jego ludzie wciąż strugają kowboi? Kto w tym cholernym świecie dba jeszcze o takich? Czy to takie trudne do pojęcia, że wszystko czego oczekuje się od człowieka, to przestrzega-nie procedur?

Z ulicy skracającej w prawo rozległy się odgłosy policyjnych sy-gnałów i strzałów z broni. Wkrótce wszystko ucichło. Johnson odebrał meldunek przez radio.

– Mają go.

W międzyczasie z położonego po prawej stronie budynku, z które-go wypadł wcześniej uciekinier, wyszli policjanci, niosąc plastikowe skrzynki wypełnione woreczkami z białym proszkiem. Calahan pod-szedł do nich. Sięgnął w stronę substancji.

– Miałeś rację.

– Cholerne dragi – przyznał.

– Wracaj. Nic tu po tobie. Mogłeś zginąć. Jutro napiszesz raport.

– Johnson nie oczekiwał na potwierdzenie. Wydał polecenie i zajął się resztą.

Calahan rozejrzał się.

– Chyba będę potrzebował nowe auto.

– Weź na razie Franka. Jutro coś zorganizujemy. – Kolejny wyda-tek nie był zaplanowany w tym roku budżetowym i Johnson wiedział to najlepiej.

Calahan zaparkował auto Franka przed swoim domem. Siedem-dziesiąta piąta w Village Heaven, numer 256. Wszedł do wnętrza. Spokój. Spokój i miły chłód. Teraz dopiero dotarła do niego tempera-tura panująca na zewnątrz. Poczul pot, jakim spłynął wskutek czter-dziestostopniowego upału i napięcia spowodowanego przez tego dur-nia z pistoletem automatycznym. Podeszedł do zlewozmywaka. Nalał chłodnej wody do szklanki. Podniósł do ust. Jakże to cholera niehigie-niczne. Pić wodę prosto z kranu. Jakże to życie jest cholera niehigie-niczne. Rzucił marynarkę na oparcie krzesła i opadł na sofę. Wycią-gnął nogi, położył głowę. Cholerny dzień. Uspokajał się. Wstał. Wyjął z lodówki piwo. Otworzył. Ze zdjęcia, stojącego na blacie biurka, pa-trzyły na niego oczy Ani. Uśmiechnął się. Starszy inspektor James Ca-lahan miał w życiu jeden skarb. Dziewięcioletnią córkę. Zagryzł war-gi. Przez jego twarz przemknął cień bólu. Gdyby tylko... Gdyby tylko mogła być taka jak kiedyś. Taka jak na tym zdjęciu.

Ania miała ciemne, kasztanowe włosy, piwne oczy i ten cudowny, rozpuszczający każde serce, uśmiech. Ale to zdjęcie było czarno białe tak jak jego rzeczywistość. Od dwóch lat w psychice Ani zaczęły za-chodzić zmiany. Początkowo łagodne, później znacznie intensywniej-

sze. Traciła zainteresowanie i kontakt z rzeczywistością. Zaczęło się pozornie niewinnie. Nawet niemal pozytywnie. Ania zaczęła objawiać zdumiewające zdolności matematyczne. Najpierw otrzymywał sygnały od nauczycielki, pełne uznania. Potem z jej oczu wyczytywał lęk. Ania znała rozwiązania zadań matematycznych wcześniej, aniżeli było to możliwe do przeliczenia dla normalnego człowieka. Właściwie znała je niemal natychmiast. Jednocześnie traciła kontakt z nim, z otoczeniem, z bliskimi. Teraz była razem z rodzicami Thelmy, jego nieżyjącej żony. Czy to z tego powodu? Czy to z powodu odejścia Thelmy, Ania odeszła w świat liczb? Łyki piwa spływały mu przez gardło, chłodząc jego wnętrze i próbując chłodzić jego myśli.

Thelma, przeniósł wzrok na zdjęcie żony. Tyle lat. Już pięć. Ciągłe ją pamiętał. Nie tak jak pamięta się kogoś, kogo nie ma. Ale tak jak pamięta się kogoś, kto jest. Oczekuje się, że wyjdzie na spotkanie. Myśli się, że pewnie śniadanie będzie zrobione, albo znowu będą kłopoty, bo nabałaganił niemożliwie. Ale Thelma nie wracała. Rozmawiał nawet jeden raz na ten temat z psychologiem. Dostał poradę, by rozdziały w życiu zamykać. By otwierać nowe. Nie wychodziło mu. Nie potrafił zamknąć tego rozdziału. Choć zdawał sobie sprawę, że czepianie się przeszłości do niczego nie prowadzi i nic mu nie przynosi. Cholerne życie. On, trzydziestotrzyletni mężczyzna, okaz zdrowia i tężyzny fizycznej, zaszywał się poza pracą w czterech ścianach, tęsknił do wspomnienia o kobiecie, której już nie było i do córki, która oddalała się od niego z każdym dniem.

To nic. Ania wróci za kilka dni. Jak będą dalej żyć? Jak zapewni jej opiekę? Usiadł na sofie. Założył nogę na nogę. Zamknął oczy. Lecące w jego kierunku kule, schnący pot na plecach, dotyk skóropodobnej wykładziny sofy na policzku, to wszystko zabierało go w sen, który był mu potrzebny, żeby jakoś znieść to życie.

4.

Patryk Lindqvist odwrócił się w stronę swojego gabinetu. Błat inteligentnego biurka lśnił głębokim brązem. Stojąca z prawej strony, kremowa kozetka w razie potrzeby rozkładała się w wygodne łóżko. Przy niej stolik z ikebaną i nieodłącznymi czujnikami jego nastroju i intencji. Mógł się w tym łóżku wygodnie położyć i zapaść w emitowany trójwymiarowy świat. Było to ostatecznie takie samo środowisko pracy jak to za biurkiem, tyle że wygodniejsze. Podszedł do ściany z lewej strony. Ta reagując na jego zbliżenie i charakterystyczny gest, rozsunała się, ukazując niewielką jasną przestrzeń. Wszedł do windy. Cichy szum. Dwadzieścia metrów w dół. Niemal niewyczuwalne hamowanie. Wszedł.

Przed nim rozpościerała się jasna przestrzeń hali. Naturalne światło sączyło się z płytek sufitu. Podobne emitowała podłoga. Na jego życzenie. Taki miał nastrój. Monumentalne prostopadłościanny stały w dwóch rzędach, niczym wartownicy zastygli w ruchu na rozkaz wodza. Cierpliwie czekający. Zawsze gotowi. Na jego obecność zareagowały pokazaniem paneli sterujących. Kolorami i ich ułożeniem sygnalizowały przebieg, biegnących w ich wnętrzu, procesów. Czternaście. Tyle ich było. Każdy mierzył dwa metry wysokości, jeden szerokości i około siedemdziesiąt centymetrów głębokości. W hali dawało się słyszeć szum. Nieuniknione. Przepływ powietrza generował fale akustyczne. Zresztą, całkowita cisza była dla zmysłów człowieka dezorientująca.

Położył dłoń na tym z prawej strony. Ściana wokół dłoni rozjaśniła się pulsując kolorami, przez chwilę nieustalonymi, formującymi ostatecznie czytelny wzór. Poziom przepływu danych wskazywał na dwadzieścia dwa procent wypełnienia. A więc coś się dzieje – pomyślał. Linia prosta, unosząca się ponad wyświetlanym na bocznej ścianie panelem, wskazywała na całkowite szyfrowanie transmisji. Ruszył przed siebie. Mijał swoje dzieci. O ile mógł tak nazywać maszyny. Przed nim, w dole, ukazała się jasno oświetlona, kolistą przestrzeń. Dookoła biegła lśniąca niklem barierka. Oparł na niej dłonie. Dwa metry niżej, na podstawie w kształcie ogromnego talerza, spoczywał on. Półtora-metrowej wielkości sześciąt. Pulsujący stale zmiennymi barwami. Czerwienią, błękitem, zielenią, paletą żółci. Światło pojawiało się na jego powierzchni w różnych miejscach i objęło się na otaczających go ścianach, na prowadzących do niego białych schodkach. Grało na powierzchni barierki, o którą opierał się teraz. Ten wielobarwny taniec miał swoje znaczenie. Głęboką treść, którą nadał mu on sam. Zaczął schodzić po schodach. Nie miał powodu. Kontakt z „Sercem” mógł nawiązać ze swojego gabinetu. A jednak przychodził tutaj. Po co? Czy chciał namacalnie doświadczać jego realnego istnienia? Co właściwie było realne? Niezwykła konstrukcja kwantowego procesora, który

przekraczał zdolnościami wszystko, co istniało w tej dziedzinie na Ziemi, czy realne było to, co się działo w jego wnętrzu? Czy realna jest struktura, czy informacja wewnątrz tej struktury? Czy liczby istnieją naprawdę? – zastanawiali się dawni filozofowie. Zszedł po schodkach niżej, do końca. Białe stopnie wystarczająco wygodne, by swobodnie postawić na nich stopę. Znajdował się na dole. W samym centrum. Serce – tak właśnie nazwał ten kwantowy procesor – pulsowało zmiennym blaskiem. Lubił na nie patrzeć. Usiadł, zatopił wzrok w pojawiających się i przepływających po powierzchni Serca różnokolorowych barwach. Zdawało się żyć, pulsować. Skala zjawisk zachodzących wewnątrz tego tworu przekraczała wyobraźnię ludzi. Możliwe było niemal wszystko. Wraz z upływem chwil, uspokajały się jego myśli. Przeszwały się skupiać na bezpośredniości, na nieuchronności. Zdawały się podążać za grą światła, robiąc miejsce w jego wnętrzu. Siedział naprzeciwko Serca. Nie otwierał go. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Nie musiał nic robić. Chyba tylko czekać. Na Ingrid?

Przebiegł wzrokiem po otoczeniu. Był zadowolony z jasnych, niemal białych, kolorów ścian. Gdyby było inaczej, zmieniłyby barwę. Czasem stawały się niemal czarne. Robiło się wtedy zacisznie. Ciemność rozświetlały jedynie panele sterujące oraz Serce. Ono było zawsze. Tak określał sposób jego pracy. Ruszył z powrotem. Kolejne kroki. Zamknęły się za nim drzwi windy. Ruch w górę. Przeszedł przez gabinet, prostując podciągnięte mankiety koszuli. Postanowił zejść na dół.

– Będziemy się dzisiaj kochać?

Ingrid podniosła głowę znad książki. Staroświeckiej książki. Taką miała zachciankę, chęć, zwyczaj. Dla niej liczyło to, co można dotknąć. Jej szarozielone oczy. Te piegi rozrzucone po twarzy. Te usta, delikatnie czerwone. Powróciła do czytania. Usiadł obok niej. Po chwili wyciągnął się wzdłuż sofy. Położył głowę na jej kolanach. Uniosła książkę wyżej. Teraz widział jej okładkę: „Ulisses”. Czy to jest lektura dla kobiet? Przymknął oczy. Czuł pod głową, karkiem, jej biodra, uda. Czuł bijące z nich ciepło. Przytulił policzek do jej brzucha. Wydawało mu się, że zasypia. Spada w przepaść nieświadomości. Jak dziecko, które odnajduje się dopiero w rzeczywistości. Było mu ciepło. Inaczej niż na zewnątrz. Poczul jej dłoń na klatce piersiowej. Delikatnie, bezwiednie przesuwająca się to w tę, to w drugą stronę, by spocząć wreszcie na jego ramieniu. Zasnął.

Kilka godzin później woda, spadająca na niego z sufitu, przywracała mu energię. Zmieszana z powietrzem, niczym delikatna mgła, spływała po jego ciele, dostosowując swoją temperaturę do oczekiwań kąpiącego się. Podnosił twarz do góry. Czuł jak spada na nią strumień wody. Czasem cieplej, czasem ożywczo chłodnej. Spływała po jego

skórze. Czuł jej dotyk na brzuchu, plecach, biodrach, genitaliach, nogach, stopach. W powietrzu roznosił się zapach sosnowego lasu. Na chwilę podniósł temperaturę wody. Zrobiła się niemal ostro gorąca. Teraz zimna i już. Nie wycierał się. Włożył biały, miękki szlafrok. Przeszedł do sypialni. W drzwiach zatrzymał się. Oparł się o framugę. W Perłowej Zatoce nie było już nikogo oprócz nich. Ingrid leżała w łóżku. Z jej lewej strony paliła się świeca. Ech... ta ekstrawagancja – pomyślał.

Położył się obok niej. Obróciła ku niemu twarz. Dotknął jej ramienia.

5.

Piątek, 18 marca 2033.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego tu właściwie jesteśmy?

Brunatne, rozbudzone wczesnym świtem, morze uderzało kolejnymi falami o granitowe ściany klifu. Białe rozpryski wody tryskały w górę niczym gejzery, którymi była pokryta ta ziemia. Jasne mewy, to zrywały się, to po krótkim kołowaniu, na tle nachylonego szarego nieba, lądowały na skalnych półkach. Kolejne fale rozbijały się o skalisty brzeg. Podniósł głowę. Wyjątkowo zła pogoda. Zimno i ponuro. Już zapomniał jak wygląda szumiący las latem albo gorące plaże. Jego rzeczywistość stała się twarda, pierwotna. Taką wybrał. Wziął do ręki odłamek skały. Ostry, ciemny, poszarpany. Ważył jakieś ćwierć kilograma. Zamachnął się z całej siły. Kamień poszybował w powietrze. Łukiem przeciął przestrzeń i bezgłośnie zniknął hen w dole, we wzburzonym morzu.

– Robię eksperyment.

– Eksperyment, eksperyment – powiedziała z nutą irytacji w głosie.

– Tyle razy już to słyszałam. Po co ci te wszystkie komputery? Tu jest zimno i... pusto. Tu jest jak na księżycu.

– A wiesz – uśmiechnął się – że masz rację. Amerykanie, którzy wybierali się na księżyc, elementy lądowania i poruszania się trenowali właśnie tu, na Islandii. Mówię poważnie – dodał, widząc niedowierzanie w jej oczach. – Niedaleko Askji. Wybrali to miejsce ze wszystkich dostępnych na Ziemi, jako najbardziej przypominające powierzchnię księżyca.

Wydeła lekko usta.

– Więc?

– Więc? – odpowiedział pytaniem.

– My też lecimy na księżyc? Mówiłeś, że kiedyś mi opowiesz co robisz.

Miała na sobie kurtkę w kolorze wścieklej pomarańczy, jakiś jasny szalik pod szyją i spodnie opinające pełne biodra. Zawsze gdy na nią patrzył, czuł ciepło. Jakże inne od odczucia, gdy patrzył na islandzki krajobraz, gdy wędrował szlakami i bezdrożami, tej zagubionej na północnym Atlantyku krainy. Ingrid usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Słyszał krzyk mew, przemieszany z nieustannym porykiwaniem morza.

– Programuję.

– To wiem.

Patrzył przed siebie. Jego siwe włosy poruszały się targane wiatrem. Mógł wrócić do auta po czapkę. Chmury zdawały się toczyć po niebie, zmieniać położenie względem innych chmur, tak jakby ktoś, tam na górze, mieszał je jakimś wielkim mieszadłem. Czy miał jej po-

wiedzieć? Co by to zmieniało? Teraz już nic. Co mogła z tego zrozumieć? W końcu – skonstatował – i tak już wkrótce wszystkie pytania znajdą swoje odpowiedzi.

– Zrobiłem pewien specyficzny rodzaj programów.

Nie odpowiadała.

– Te programy mają po kilka portów wejściowych. Takich bramek, do których dostarczam bez przerwy duży strumień danych. To znaczy, ten strumień dostarcza system centralny.

– I po co to?

– Nie wiem. Programy zapisują dostarczone dane w dostępnej im pamięci stałej. Każdy z nich ma na to nieograniczoną ilość miejsca.

– No i?

– Każdy program posiada też zestaw reguł działania. Na początku ten zestaw jest właściwie pusty, poza kilkoma regułami pierwotnymi. Pierwszą z nich jest dążenie do utrzymania funkcjonowania programu. W miarę dopływu danych, program tworzy sobie zestaw dalszych reguł, które następnie wykorzystuje przy selekcji kolejnych dopływających do niego informacji. Te dane, które stale dopływają do programu, pozostają ze sobą w ścisłej korelacji, można powiedzieć w związku.

– No i?

– Program dopływające dane przetwarza przy udziale posiadanych reguł. W wyniku przetwarzania decyduje, jakie dane zwrócić z powrotem do systemu głównego.

– Czyli te programy przetwarzają dane. Przyjmują, wybierają, zapisują i zwracają jakieś.

– Dokładnie.

– No i?

– Nie wiem. Następuje, swego rodzaju, sprzężenie zwrotne. Dane zwracane przez program na zewnątrz, zmieniają dane dopływające do programu. Czyli każdy program, w jakimś zakresie, wpływa na zestaw dopływających do niego danych wejściowych.

– Czyli takie zamknięte koło?

– Trochę.

– No i?

– Każdy program ma jeszcze jedną regułę pierwotną. Reguła ta nakazuje programowi budowanie ze strumienia dostarczanych danych, spójnego modelu wszystkich informacji. Dlatego program gdy otrzyma nowe dane, sprawdza czy nadają się one do budowy tego modelu, a następnie jeśli tak, to tworzy i rozbudowuje ten model. Można powiedzieć – model otaczającej go rzeczywistości informacyjnej.

– I on ten model tworzy cały czas?

– Tak, chociaż najważniejszy proces jego tworzenia następuje głównie w pierwotnej fazie gromadzenia informacji. Wtedy, kiedy żaden model jeszcze nie został przez program utworzony. W chwili gdy program go już zbuduje, to filtruje nadchodzące dane, pod względem

zgodności z posiadanym modelem. Jeśli nadchodzące nowe dane nie pasują do tego modelu, to są przez program po prostu pomijane.

– Dlaczego?

– Bo ich akceptacja i zachowanie powodowałyby konieczność przebudowy posiadanego modelu informacyjnego, a to jest czynność bardzo trudna i czasochłonna. Program włożył już bardzo wiele pracy w wytworzenie modelu, więc ma zaimplementowaną regułę chroniącą przed jego zmianą. Dlatego, gdy dostanie dane sprzeczne czy nie pasujące do modelu, to je odrzuca.

– Rozumiem. Ekonomia.

– Dokładnie.

– Więc twój program nie ma żadnej możliwości zmiany tego modelu?

– Ma taką możliwość. Może zignorować regułę ochrony modelu i przebudować go albo utworzyć wręcz na nowo, ale jest to bardzo mało prawdopodobne, bo reguła ochrony modelu jest bardzo silna.

– A jaka jest silniejsza?

– Reguła podtrzymania funkcjonowania. Gdy program ma do wyboru: ochronę posiadanego modelu rzeczywistości i podtrzymanie ciągłości działania, to może wybrać przebudowę modelu, tak aby dalej działać.

– Skomplikowane.

– Rzeczywiście.

– No i?

– Zarówno dane dopływające na wejście programu, jak i zbudowany z nich model informacyjny, zawierają informację o nim samym.

– O programie?

– Dokładnie. Program... można powiedzieć, tworzy sobie na podstawie dopływających danych, nie tylko obraz rzeczywistości, że tak powiem zewnętrznej, ale także obraz samego siebie.

Ingrid nie odzywała się. Ptaki kołysały się, wznosząc się na niewidocznych słupach powietrza, rozpościerając szeroko skrzydła. Krażyły niemal jak płatki śniegu, gdy wiatr tańczy z nimi zimowy taniec. W górę, w dół. W górę. Szum oceanu był wszechogarniający. Przyzwyczaili się już do niego. Stał się tak naturalny, że bywał niesłyszalny mimo stałej swojej obecności. Robiło się jaśniej i nieliczne kępki mchu nabierały zielonego odcienia.

– Będziemy się dzisiaj kochać? – zapytał.

– Nie masz dość?

– A ty masz?

Nie odpowiadała. Położyła brodę na kolanach. Dlaczego nie widać błękitu? Tak pragnęła błękitu.

– Słuchaj, a czy ten twój program nie jest trochę podobny do człowieka?

Milczał.

– Jak się nazywają te... jak to powiedziałeś... kanały?

– Wzrok, słuch, dotyk...

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Patryku... Co ty właściwie robisz?

– Już mówiłem ci. Programuję. To taki eksperyment.

– Patryk. Czy ty programujesz ludzi?

– Nie wiem. Może w jakimś sensie tak. Program otrzymuje pełny zestaw danych, który dałoby się porównać z naszą rzeczywistością. Wie na przykład, że jest w pokoju. Widzi kanałem wzroku kolor i fakturę ścian. Znajdujące się tam sprzęty. Grę światła na nich. Kanałem dźwięku docierają do niego odgłosy zza okna oraz te, które sam wywołuje, zmieniając dane opisujące położenie elementów w pokoju, czyli np. przestawiając krzesło. Przez kanał dotyku czuje pościel pod swoimi plecami. Kanał zapachu przekazuje mu informację o tym, że się poci albo o tym, że na stole stoją kwiaty, albo że śmieci są nie wyrzucone. Program zna swój kształt, to znaczy posiada zapisaną i stale odbieraną informację o tym jak wygląda, jakie ma odczucia. I tak dalej.

– Patryk. – Jej wzrok zdradzał lęk i niedowierzanie. – Co ty właściwie robisz?

– Eksperyment.

– Ty tworzysz ludzi? Boże, tam w środku tego komputera? Czy oni myślą? Czy im się wydaje... Czy im się wydaje, że istnieją?

Popatrzył na nią. Apaszka wysunęła się spod jej kurtki i trzepotała na wietrze. Jej oczy szeroko otwarte, niemal białe w jego twarz. Postawił stopę na wystającym skalnym zrębie. Oparł się o kolano. Patrzył w kołyszącą się siną dal.

– Nie jestem pewien.

– Nie jesteś pewien?

– Z ich punktu widzenia... Z ich punktu widzenia – dokończył – istnieją.

Jej usta zadrżały. Nozdrza zaczęły się poruszać jak u narowistej klaczy. Widział szybko podnoszącą się i opadającą klatkę piersiową.

– To obrzydliwe. To niemożliwe.

– Czyżby? Dane, które otrzymuje program, obejmują pełny zakres informacji o rzeczywistości. Program ma możliwość, nieograniczonego niemal, pytania i wpływania na nie. Gdy podejmie decyzję dającą się zinterpretować jako uderzenie dłonią w drzwi, otrzyma informację o bólu dłoni, o jej odskoczeniu od twardej powierzchni. Stąd posiadane przez niego przekonanie, albo może raczej posiadany przez niego informacyjny model drzwi, znajdzie zawsze potwierdzenie. Gdy znów podejmie decyzję o zbitiu szklanki. Otrzyma pełny zakres danych obrazujących jej rozpad. Dźwięk temu towarzyszący. Przemianę jej w dziesiątki drobnych nowych fragmentów. Wszystkie te zmiany są spójne z ogólnymi zasadami, tak by umożliwić programowi tworzenie obrazu świata, jakim jest.

– Ale... czy on myśli, że jest? – zapytała z troską.

– W jakimś sensie tak. To znaczy. Posiada takie przekonanie. Postrzega samego siebie. Swoje, no nie ukrywajmy, ciało, swoje emocje, pewne procesy decyzyjne i informacyjne. Program posiada zapisaną historię wszystkich docierających do niego danych, z wyróżnieniem tych pasujących do modelu rzeczywistości. Stąd, w jakimś sensie, posiada pamięć tego, co z punktu jego widzenia działo się kiedyś. Pamięta zarówno odbierane wrażenia zewnętrzne jak też własny zestaw reguł wyboru, manifestujący się w jego odczycie jako emocje i skłonności. Pamięta też obraz siebie.

– I jest wiecznie młody?

– Nie. Zaprogramowałem dojrzewanie i starzenie się.

– I umiera?

– Do tego etapu jeszcze nie doszedłem, ale to nieuchronne.

– Jesteś dla nich... Bogiem?

Są słowa, które wytrącają ludzi z utartego szlaku, z toku wypowiedzi i działania. Pytanie Ingrid należało do tych słów. Patryk nie odpowiadał. Jedna z mew w dole, zapikowała w morze. Rywalizują o pożywienie z maskonurami. Te dziwaczne ptaki islandzkie również pojawiały się nad morzem, choć nie gniazdowały na skalnych półkach tak jak mewy. Przewalające się nisko nad nimi ciemne chmury, zdawały się zwiastować deszcz. Przy tej temperaturze, zaledwie trzech stopni Celsjusza, byłoby to dojmujące doświadczenie.

– W jakiś sensie... tak – odpowiedział po dłuższej chwili.

– Dlaczego to robisz? Przecież to fikcja. To się naprawdę nie dzieje. To nie jest rzeczywiste! To kłamstwo! Czy te istoty, programy mają emocje? Czy czują?

– Wspominałem ci już o tym. Są to pewne formy preferencji, odpowiednio wartościowane przez programy jako przyjemne i nieprzyjemne. To w oparciu o nie, program podejmuje decyzje: jakie dane wyjściowe zwracać, jakie dane wejściowe przyjmować. Czyli mówiąc naszym językiem, to dzięki emocjom decyduje co robić oraz na co zwracać uwagę i zapamiętywać. Robi to automatycznie, czyli po naszymu, nieświadomie. Te, nazwijmy je tutaj, emocje generowane są w oparciu o dwie przesłanki. W oparciu o posiadany obraz rzeczywistości oraz o konfrontowanie tego obrazu z nowymi danymi. Gdy dane są zgodne z posiadanym obrazem, emocje są raczej pozytywne. Gdy nie, bywają negatywne. Trzecia pierwotna reguła, wpisana niezależnie w każdy program, mówi, że emocji negatywnych należy unikać, a do emocji pozytywnych należy dążyć.

– To jest obrzydliwe.

– Nie.

– Ty się nimi bawisz! Tak nie można.

Lindqvist nie odpowiadał. Czy miał jej powiedzieć wszystko? Przecież to i tak było już bez znaczenia. A może zupełnie przeciwnie. Może właśnie nabierze to znaczenia zupełnie podstawowego? Jego eksperyment był w toku i nie był w stanie przewidzieć jego ostatecz-

nego wyniku. Od tego wyniku zaś zależało przecież... dokładnie wszystko.

6.

Wtorek, 16 czerwca 2015.

Inspektor James Calahan usłyszał dźwięk telefonu. Dźwięk ten dochodził do jego uszu. Tak przynajmniej uważał, bo najwyraźniej go słyszał. Otworzył oczy. Sufit, położony nad nim, był idealnie prosty. Kremowo biały. Na jego środku wciąż ten sam klosz. Zawierał halogenowe żarówki. Wiedział o tym, bo ilekroć naciskał biały przycisk, położony obok wiodących do salonu drzwi, klosz rozbrzmiewał jasnym halogenowym światłem. Dlaczego halogenowym? Tak wszyscy mówili. Przecież nie zbije żarówki i nie sprawdzi, czy w środku jest halogen. Nawet nie wiedział, co to właściwie jest – ten halogen. Ilu ludzi wiedziało?

Dźwięk stawał się natarczywy. Powoli docierała do niego świadomość, że prawdopodobnie gdzieś po drugiej stronie fal radiowych albo innych, znajduje się zastępca szefa. Pewnie jest zapięty pod szyję w swoim mundurze, spocony i właśnie wściekły, że Calahan nie odbiera telefonu. W końcu, był inspektorem miejscowego departamentu policji. Sięgnął po telefon. Rzucił okiem na wyświetlacz. Nie pomylił się. Rozmowa zwiastowała wyrwanie ze snu, wyciągnięcie go z łóżka na duszne i nieprzyjemne ulice Village Heaven. Ale taka była jego praca. Tak się przydawał. Tak żył.

– Tak?

– Rusz tą swoją leniwą dupę i przyjeżdżaj.

– Co się stało?

– Nauczycielka zastrzeliła troje dzieci i ostrzeliwuje się z klasy.

Calahan zerknął na zegarek. Boże, dziewięć. Po wczorajszym dniu najwyraźniej organizm wyłączył go na dłużej niż zwykle. Usiadł na łóżku, widząc słońce wpadające do pokoju. Wyraźnie zmieniające kolor czerwonej wykładziny w miejscu, w którym na nią padało. Zostawiające część swojego blasku na zasłonie okiennej.

– Już się zbieram.

Jego rozmówca odłożył słuchawkę. Nie miał zwyczaju podejmowania zbędnych konwersacji. Calahan podszedł do lustra. Wysportowane ciało. Mięśnie może nazbyt toporne, jeśli porównać je do greckich rzeźb, stanowiących synonim idealnej budowy, za to wyraźnie i zwiastujące to co najważniejsze – siłę. Łydki miał owłosione, tak jak część klatki piersiowej i linię brzucha. Poszedł do łazienki. Chlusnął chłodną wodą w zaspaną twarz. Wziął do ręki ręcznik, czując jego fakturę. Wytarł twarz. Działał zgodnie z programem: wyjść jak najszybciej, żeby stary się nie czepiał. Może jeszcze, żeby jakaś wariatka nie zrobiła następnym ludziom krzywdy.

Wypadł z mieszkania zaopatrzone w broń umieszczoną w kaburze pod pachą. Biała koszula, granatowa marynarka i spodnie stanowiły

jego służbowy strój. Włożył koguta na dach. Pędził ulicami miasta. Mijał je w pośpiechu, ledwie dostrzegając mijane pojazdy, budynki. Widział tylko budynek szkoły, do której zmierzał. Czuł zagrożenie dzieci, do których ta wariatka strzelała, lęk policjantów by wejść do klasy, w której się zabarykadowała. Czy miała zakładników? Czy jakieś bezbronne dziecko z przerażeniem patrzyło teraz otwartymi oczami na szaloną panią profesor? Nie wiadomo co niebezpieczniejsze, ludzkie łby czy broń. Nacisnął hamulec z całej siły. Autobus szkolny, którego kierowca najwyraźniej nie usłyszał jego sygnału, przejeżdżał przed nim przez skrzyżowanie. Udało mu się go minąć właściwie przypadkiem. Jeszcze trzy przecznice i ostry zakręt w lewo. Poczul siłę ciężenia, a może bezwładności. Kiedyś się o tym uczył.

Zobaczył budynek szkoły. Pomarańczowobeżowy kolor. Kanciaste kształty. Jedno przeszklone piętro. Nieco wysunięte względem podstawy. Przed szkołą duży trawnik, prowadzący do niej chodnik oraz kilka stopni schodów. Gdzieś przycupnięte postaci policjantów w ciemnych mundurach. Wzdłuż krawężnika przy jezdni, szereg wozów policyjnych. Jego koledzy z bronią wymierzoną w kierunku frontonu budynku. Podjechał jako ostatni. Wyskoczył z auta. Podbiegł do punktu dowodzenia. Johnson rozmawiał przez radiostację:

– Tylko nie zrań cywili. Zrozumiałeś?!

Po chwili dało się słyszeć potwierdzenie. Stara twarz Johnsona była zmęczona. To znaczy jej wyraz, kształt sugerował Calahanowi, że Johnson jest zmęczony. Nie jest zmęczony jak maratończyk albo pływak po przepłynięciu wielu kilometrów. Jest zmęczony jak człowiek, który ma już dość zmagania się z nedorzecznosciami i przeciwnościami życia.

– Gdzie się tak grzebałeś?

– Jestem – odpowiedział po prostu.

– Sytuacja jest taka. Trzy potwierdzone trupy. Dwoje dzieci z klasy drugiej i nauczycielka. Nasza wariatka wyszła z klasy do samochodu, wróciła z flintą. Zaczęła dzieciom zadawać dziwne pytania i gdy pierwsze nie wiedziało co odpowiedzieć, najzwyczajniej strzeliła mu w głowę. Zapanowała panika. Wariata przeładowała i ponownie wymierzyła, pytając o coś. W międzyczasie wpadła koleżanka z innej klasy. Gdy ta druga niemal już wszystkie dzieci wypchnęła za drzwi, ta pierwsza rzuciła jej pytanie: „Dlaczego tutaj jestem?” czy coś takiego. Tamta zamiast spieprzać, odwróciła się do kumpeli, chcąc jej coś tłumaczyć. Bohaterka kurwa mać. Spotkała kulę lecącą w jej kierunku. Jatkan.

– Co teraz?

– Teraz wariatka siedzi w klasie z flintą a my nadajemy jej komunikaty, żeby łaskawie wyszła. Snajper czeka uprzejmie na jej pojawienie się.

– Chcecie ją zlikwidować?

– No co ty? Lepiej zróbmy jej proces i tak dalej. Jeszcze wyjdzie za

dobrze sprawowanie i pójdzie robić za pomoc do przedszkola.

Logika Johnsona przemawiała do Calahana.

– Wezwaliście psychologa?

– Sądzisz, że będzie wymagała pocieszenia?

– Sądzę, że jak to jest wariatka, to psycholog może się przydać.

– Ja sądzę, że przyda się jej bardziej kulka w czole.

Calahan nic nie mówił.

– Dobra zadzwonię po pieprzonego psychologa – rzucił Johnson z rezygnacją. – Zresztą, sam se go wzywaj.

Policjanci przyczajeni wokół samochodów obserwowali szkołę. Ten, który miał megafon wzywał po raz kolejny: „Proszę wyjść bez broni, nic pani nie grozi”. Calahan spojrzał na Johnsona.

– Ewakuowaliście szkołę?

– No co ty, wszystkich tam zatrzymaliśmy, niech se kobieta postrzela.

Calahan podniósł radio do ust

– Sara? – zwracał się do dyżurnej oficer znajdującej się w siedzibie departamentu.

– Słucham.

– Chcę tu psychologa, macie jakiegoś?

– Mogę ci ściągnąć z góry, my na etacie nie mamy.

– Ile ci to zajmie?

– Dwadzieścia minut – odparła po krótkim wahaniu. – Może szybciej – uzupełniła.

– Zrób co możesz, wiesz co się dzieje.

– Wiem.

Calahan odłożył słuchawkę. Popatrzył na Johnsona.

– Idę.

Stary tylko wygiął usta. Tak jakby rejestrował kolejną oczywistą powinność swojego podwładnego. Calahan położył dłoń na czarnej masce vana, przy którym stali. Popatrzył w stronę szkoły. Rozważał możliwe sposoby postępowania. To nie jest terrorystka ani morderczyni. Wariatka. Nie postępuje racjonalnie. Nie ma sensu zachowywać się racjonalnie. Wyszedł zza osłony vana na odsłoniętą przestrzeń.

– Ty baranie, kryj się! – Doleciał go z tyłu głos Johnsona.

Sam się kryj pętaku – pojawiała się w jego umyśle odpowiedź, zupełnie spontanicznie. Szedł przez oświetloną wczesnym słońcem ulicę. Spojrzał w prawo na dwójkę przyczajonych za niewielkim murkiem policjantów z bronią. Czy w ich oczach był podziw? Możliwe. Nuta samosatysfakcji przemieszała się w jego świadomości z nutą lęku i chłodnej kalkulacji szans. Kolejne stopnie schodów podnosiły go do góry. Przeszklone wejście do budynku szkoły. Na górze tabliczka: „Szkoła podstawowa imienia Ulyssesa Granta”. Nic dziwnego, że zabijają – pomyślał. Czy pomyślał, czy też coś w nim pomyślało? Czy podjął decyzję, aby tak pomyśleć, czy też wcale nie, myśl taka pojawiła się sama, niejako automatycznie, bez pytania, planu, celu. Skądś. Z

ciemnego wnętrza, którego nie był w stanie dotknąć swoją świadomością.

Dotknął uchwyty drzwi. Nagrzany. Otworzył je i wszedł na korytarz. Obrócił się w prawo. To była przedostatnia klasa po prawej stronie. Szedł spokojnie, rozglądając się dookoła. Parkiet lśnił czystością, ściany w podobnym kolorze co fasada, tylko jaśniejsze. Wzdłuż ściany biegła listwa ciemnego drewna, żeby dzieci nie brudziły ścian. Numer cztery. To następne drzwi. Czuł fizyczną niechęć. Lęk. Za tymi drzwiami znajdowało się zło. Co miał robić dalej? Był odważny, ale nie był szalony.

– Halo – rzucił. Brak odpowiedzi.

– Proszę pani.

Cisza.

Wyjął broń dopiero teraz. Odbezpieczył. Glock 19, pewny pistolet. Kiedy ostatni raz strzelał? Przecież wczoraj. Kiedy to było, wczoraj. Jaki dystans dzieli go od wczoraj? Nieprzekraczalny? Poczul gniew. Irytację i gniew. Nie wolno tak odbierać życia. Zbliżył się do krawędzi zamkniętych drzwi. Ważył w świadomości szanse. Gwałtowne wpadnięcie mogło napotkać wylatującą z wnętrza kulę. To bez sensu. Co byłoby z jego córką?

– Halo proszę pani.

Usłyszał szurnięcie wewnątrz. Cholera, na coś się muszę zdecydować. Wysunął dłoń i położył na klamce. Delikatnie ją nacisnął i już miał pchnąć, gdy z wielkim hukiem płaszczyzna drzwi, tuż ponad jego ręką, wybuchła rozniesiona karabinową kulą.

– Kurwa mać! – Odskoczył do tyłu. Trociny rozsypały się po korytarzu. – Jasna cholera! – Spojrzał w kierunku drzwi. Nad klamką ziała dziura przez, którą można by zajrzeć do wewnątrz, gdyby nie możliwość napotkania kolejnej kuli, którą wariatka z chęcią by go poczęstowała.

Usiadł na podłodze. Już nic mu nie pozostało poza czekaniem. Odezwało mu się radio na piersi. Podniósł mikrotelefon.

– Żyjesz? – Dał się usłyszeć głos Johnsona.

– Aha.

– No. Całe szczęście. Wysyłam grupę interwencyjną.

Calahan znał tę grupę – goście obudowani kevlarem, z grantami i szybkostrzelną bronią. Maszynka do przetwarzania ludzi na mięso.

– Nie.

– Co nie?

– Czekamy na psychologa. Góra ci zrobi sito z dupy, jak nie zacze-kasz.

– Góra – chrząknął Johnson. Dało się niemal fizycznie wyczuć jego irytację. – Za dziesięć minut wchodzimy ze względu na rosnące zagrożenie.

Jak niby miałyby rosnać? – zastanawiał się Calahan.

– Dobra – odpowiedział.

Czuł pod plecami twardy opór ściany. Była lekko chropowata. Zdało mu się, że wyczuwa jej powierzchnię. W jego świadomości przełykały kolejne możliwe warianty rozwiązań. Żaden nie był dobry. Pozostawało czekać. Kiedy musiał, był cierpliwy.

7.

Obrócił głowę w lewo. Zrobił to mimowolnie, gdyż usłyszał z tamtej strony jakiś dźwięk. Spoza załomu korytarza, na wysokości głównego wejścia do budynku, wysunęła się przestraszona twarz Martineza. Spocony i spięty, w czarnym zapiętym pod szyją mundurze, zaglądał do środka. Calahan wymownie podniósł palec do ust. Martinez kiwnął głową i zniknął za załomem. Zza jego granicy wyłoniła się nieco niepewnym gestem kobieta. Jasna spódnica w beżowo-brązowe duże kropki, kremowa bluzka i podobna do spódnicy garsonka, tyle że bez kropek. Blond włosy. Długie, proste. Zdecydowany, choć nacechowany pewną obawą, krok prowadził ją w stronę Calahana.

Co ona tu do cholery robi? Wykonał gest dłonią, który miał ją skłonić do trzymania się blisko ściany i ponownie wymownie podniósł palec do ust. Nie zareagowała, szła spokojnie, cicho. Jeszcze pięć metrów, dwa. Usiadła obok niego. Pachniała. Pachniała czymś, czego nie potrafił nazwać. Że też, w tak zwariowanych chwilach, człowiek może zwracać uwagę na takie rzeczy. Jej twarz była piękna. Cholera co to ma za znaczenie – zgromił się.

– Ewa Hughes, jestem psychologiem.

– Policyjnym?

– Nie, pracuję z psami.

Widząc jego konsternację, dodała:

– Pracuję na Uniwersytecie Medycznym w Houston, współpracuję z policją w trudnych przypadkach.

Matko, cywil – pomyślał Calahan i już zaczął liczyć minuty, jakie pozostały do wejścia grupy interwencyjnej.

– Mogę? – zapytała, wskazując wzrokiem na drzwi.

Na twarzy Calahana pojawił się wyraz dezaprobaty i powątpiewania. Teraz nie dość, że musiał pilnować tej wariatki za drzwiami, to jeszcze wpadła mu pod skrzydła piękna pani doktor, za której skórę również odpowiadał. Czy nie lepsze są stare wypróbowane metody Johnsona? Rozwalić, zastrzelić, wysadzić. Potem posprzątać. Poczul się zmęczony. Wziął głęboki oddech i ostrożnie odsunął się od ściany, pozwalając pani psycholog zająć jego miejsce przy drzwiach. Przesunął się za nią z bronią gotową do strzału, na wypadek jakiegoś nieprzewidywanego przebiegu konwersacji między paniami. Z babami różnie bywa – wiedział to dobrze z praktyki. Czuł w dłoni kolbę pistoletu, z uwagą obserwował drzwi, widok przesłaniały mu włosy Ewy.

– Halo – zaczęła rozmowę. – Halo Suzan.

Odpowiadała jej przestronna cisza. Ewa poprawiła się i ponownie zaczęła:

– Suzan słuchaj, pracuję w pubie obok, wiesz, w tym przy piątej alei. Ci cholerni policjanci kazali mi z tobą pogadać. Nie wiesz czego mogą chcieć?

– Tu nie ma żadnej Suzan suko! – Dał się słyszeć głos spoza drzwi. Ewa odwróciła się na chwilę do Calahana.

– Jasne, że nie ma. Oni wszyscy pogłupieli chyba. Powiedzieli mi, że to Suzan – kontynuowała Ewa.

– Nie znam żadnej Suzan.

– OK. To może ja się przedstawię, jestem się Ewa Hughes, ta pieprzona policja mnie tu trzyma. Oni mają broń. Gorąco jak cholera. Pewnie niedługo zaczną ściągać reporterzy. Cholera. Nieźle wpakowałyśmy się z tą policją.

– Nie jestem kobietą suko!

No wariatka – pomyślał z rezygnacją Calahan – i to większa niż się wydawało. Dotknął ramienia pani doktor. Odwróciła pytająco wzrok. Dał jej wymowny znak, żeby dała sobie spokój. Stary Johnson miał jednak najlepsze sposoby. Odwróciła się od niego bez słowa.

– Boże. Przepraszam. Ci policjanci mi tak powiedzieli. Pewnie specjalnie. Jak się nazywasz?

– Nie twoja sprawa suko!

– OK. OK. Ale zaraz przyjedzie prasa, wiesz telewizja. Będą pytali. Więc mogłabym im powiedzieć kim jesteś.

– Adam Holzer.

– OK Adam. A może powiesz mi coś, co chciałbyś im przekazać, co chciałbyś, aby ludzie o tobie usłyszeli.

Za drzwiami zaległa cisza. Calahan czuł twardość parkietu pod kolanami. Cały czas przyczajony za panią psycholog z bronią gotową do strzału, modlił się o ekipę Johnsa. Miał dosyć świrów i wariatów, włączając w to pleć przeciwną. Miał dosyć cackania się.

– Te psy stoją na zewnątrz. – Dało się słyszeć z klasy.

– Wiem i wpierają wszystkim, że to jakaś wariatka zamknęła się tutaj i strzela.

Dobiegł do nich jakiś dziwny dźwięk. Ni to warknięcie, ni to chrząknięcie.

– Adam?

– Co?

– Czy mogę wejść do ciebie?

W ciszy jaka nastąpiła, można było usłyszeć najlżejszy dźwięk. Ewa podniosła się z kolan i wykonała gest w kierunku klamki. Calahan złapał ją za ramię. Gwałtownie kręcił głową, odradzając jej próbę wejścia do środka. Jej wykrzywione usta i wyraźnie, choć niemo, wypowiedziane: „pieprz się” spowodowało, że puścił jej ramię.

– Adam?

– Co?

– Wejść do ciebie. Chcę po prostu porozmawiać.

Zrobiła ruch w kierunku drzwi, kładąc dłoń na klamce. Blond włosy, plecy, które przesłaniała garsonka, ta spódnica, mimowolny gest, którym Calahan złapał ją za ramiona, złąły się w jedno z eksplozją kolejnej kuli, która rozerwała poszycie drzwi na wysokości klatki pier-

siowej. Jednocześnie za ich plecami dał się słyszeć tupot twardych butów.

Calahan trzymał Ewę przyciśniętą do siebie, wysuwając przed nich gotowy do strzału pistolet. Obejrzał się. Ciemne hełmy, kevlarowe tarcze i broń automatyczna. Na wyraźny rozkaz dowódcy oddziału, dany mu dłonią, pociągnął panią doktor do tyłu, robiąc miejsce specjalistom grupy interwencyjnej. Przez tą drugą dziurę, do sali ktoś wrzucił granat ogłuszający. Rozległ się huk eksplozji. W tej samej niemalże chwili wpadli tam uzbrojeni po zęby policjanci. Liczył sekundy. Raz, dwa, trzy, cztery. Nie było strzałów. Na dziesięć, dwie ciemne, mocarne postaci ukazały się zza drzwi, wlokąc między sobą bezwładne ciało kobiety ze skutymi na plecach rękami. Dowódca grupy meldował na zewnątrz wykonanie zadania. Calahan wciąż trzymał Ewę przyciśniętą do swojego torsu. Niemal się stopił z jej ciałem. Poczul jak się obraca, wrywa. Puścił ją. Obróciła ku niemu twarz.

– Tylko do tego się nadajecie – rzuciła mu w oczy.

Przełknął ślinę nie odpowiadając.

– Dupek! – Odwróciła się i wyszła z budynku szkoły za oddziałem interwencyjnym.

Westchnął kręcąc głową. Czuł jeszcze na sobie kształt jej ciała. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w istocie lewą dłonią trzymał jej piersi, a ona, chcąc nie chcąc, wgniatała się swoimi biodrami w jego. Tylko tego by jeszcze brakowało. Z panią psycholog. Od śmierci Thelmy nie był z kobietą. Nie interesowało go to. Dla niego Thelma ciągle była. Każdego ranka widział jej zdjęcie, powieszony nad komodą na buty. Jej falowane włosy, jej uśmiech, jej oczy. Dla niego nic się nie skończyło. Nic nie minęło. Dla niego ona była. Wciąż i wciąż. Cholera jasna – zaklął, gdy zdał sobie sprawę z tego, że przed chwilą tulił tę inną kobietę. Słońce uderzyło go w oczy, gdy wyszedł na zewnątrz. Wzdłuż długiego szeregu policyjnych aut, trwała krzątania. Johnson wydawał ostatnie polecenia.

– No – powiedział do zbliżającego się Calahana – i po co się było pieścić?

– Miałeś rację. – Calahan wypuścił powietrze z rezygnacją. Nie można być Don Kichotem, wszystkich ciągle ratować, zwłaszcza przestępców. Czasem trzeba po prostu sprzątać. Jak Johnson. Żeby utrzymać porządek i nie zrobić sobie krzywdy.

– Zabraliście ją?

– Tak. Pojechała do naszej paki. Będą ją teraz przesłuchiwać.

– Nieźle szurnięta.

– Ta psycholog, co ją ściągnęliśmy, ostro interweniowała u szefa.

– Co chciała?

– Nie wiem. Chyba jakiegoś specjalnego traktowania. Badań kurwa lekarskich i udziału w przesłuchaniach.

Ruszył w stronę samochodu. Czarny dodge stał jak zgaszony pies, jak zapomniany, ale wiernie czekający przyjaciel.

– Calahan! – Dobiegło go z tyłu. Odwrócił się. – Na jutro, na dziewiątą leży u mnie twój raport.

Chrzanione papiery. Poczul ulgę, gdy zamknął drzwi. Silnik zaśpiewał. Droga zaczęła odpływać. Skręcił w prawo. Nie jechał do domu. Nikt na niego tam nie czekał. Nie jechał do pracy, która była wiecznym szarpaniem się. Jechał przed siebie, mijając domy i ulice. Jechał donikąd. Czasem tak miał. Szedł donikąd, jechał donikąd. Interesowało go, gdzie się znajdzie, jeśli nie będzie dokądś zmierzał. Co się wtedy stanie? Czy życie musi polegać zawsze na dążeniu do czegoś? Właściwie nie stawiał sobie tych wszystkich pytań, tylko szukał czegoś. Czegoś, czego nie potrafił nazwać. Co nie było tym wszystkim: co miał, co widział i czego doświadczał. Rząd drzew przesunął się z prawej strony. Wjechał na wzniesienie. Po jego lewej stronie otworzył się ocean. Błękitny, przestronny, nieskończony. Zjeżdżał drogą w dół. Kropla w morzu istnienia. Zaparkował na niewielkim parkingu. Ruszył na plażę. Piasek przesypywał mu się pod butami. Zdawało mu się, że czuł przez podeszwy jego ciepło. Czuł, z pewnością, dotyk ciepła na swojej twarzy i ramionach. Daleko z lewej strony, może kilometr dalej, stała samotna postać, poza tym jak okiem sięgnąć, pustka. Szum oceanu wypełniał jego uszy. Usiadł. Po chwili położył się. Patrzył w niebo. Miało kolor trudny do określenia. Właściwie czym jest kolor? Jeśli nie nazwą. Więc patrzył, odbierając wszystko co do niego docierało. Był.

8.

Środa, 17 czerwca 2015.

Wczesnym rankiem James Calahan wyszedł przed swój dom i przyglądał się Madison Avenue, która była zwykłą podmiejską ulicą. Wzdłuż niej mieściły się przeciętne, jak na warunki amerykańskie, posesje, krawężnik wyznaczający granicę jezdni, równe trawniki, kolorowe ogrodzenia, za którymi w głębi znajdowały się domy jego sąsiadów. Czy wszystkich znał? Mniej więcej. W ręce trzymał, ciepłą jeszcze, komórkę. Rodzice Thelmy przywiozą Anię w jutro. Jego mała będzie nareszcie z nim. Czy na pewno z nim? Od kiedy się zaczęły te cholerne jej zdolności matematyczne, coraz trudniej odnajdował do niej drogę. Lekarze orzekli autyzm. Jakby to słowo miało coś wyjaśniać. Coś zmieniać. Przynajmniej oswajało tę rozpacz, którą napotykał przy próbach dotarcia do córki, ten ból, który wyciskał mu z oczu łzy, gdy widział jak jego dziecko oddala się od jego świata, od niego samego. Nie poddawał się. Walczył. Skapituluje, gdy padnie. Gdzieś, kiedyś. Ale nigdy nie zrezygnuje ze swojego dziecka. Na czas pracy przewoził ją do specjalnego ośrodka, w którym zajmowali się takimi dziećmi jak ona. Jeden raz terapeutka radziła mu myśleć o tym, co się przydarzyło Ani, jako o darze. Gówno prawda. Jej głowa stawała się jak komputer. Czymś więcej niż komputer. Właściwie nikt nie był stanie określić jej zdolności matematycznych. Udzielała odpowiedzi tak szybko i tak pewnie, że wprawiało to w osłupienie wszystkich badających. Nie godził się na to. Chciał córki, nie cudaka, którego będą badać i wykorzystywać. Dlatego umieścił ją w St. Peter School. Cały nacisk kładziono tam na redukcję efektów autyzmu.

Komórka ponownie zawibrowała mu w dłoni. Odruchowo przycisnął przycisk odbierania rozmowy i podniósł ją do ucha. Drzewa stojące wzdłuż krawężnika, miały proste brunatne pnie. Nie zauważał ich koron, a tym bardziej nieba powyżej. Wszystko co widział to pas chodnika, trawnik, krawężnik i te pnie drzew.

– Inspektor Jones Calahan? – Usłyszał kobiecy głos.

– We własnej osobie.

– Ewa Hughes. Jestem psychologiem, z którym pan prowadził akcję w szkole.

– Tak, pamiętam.

– Cieszę się.

Kroki niosły Calahana po szarym chodniku. Wizja ulicy, trawnika i tego co wokół, stała się jakby mniej wyraźna, jego uwagę zajął głos, dobiegający do niego z podniesionej do ucha słuchawki.

– Inspektorze.

– Tak?

– Zachowałam się nietaktownie.

- Nic się nie stało.
- Chciałabym to jakoś naprawić.
- Nie ma problemu.
- Czy moglibyśmy się spotkać?

Zawahał się. Po co mieliby się spotykać? Co to za wygłupy? Zresztą, nie lubił aktywnych kobiet. Zbyt aktywnych. To mężczyzna powinien zapraszać kobietę, a nie odwrotnie. Z drugiej strony, jakieś nieokreślone odczucie przeszkadzało mu w dosadny sposób zakończyć tę rozmowę.

– Nie jestem zbyt towarzyskim facetem. Myślę, że możemy całą sytuację uznać za niebyłą. Nic się nie stało.

– To może... – zawiesiła głos – pan mnie zaprosił. Chciałam po prostu porozmawiać, wyjaśnić. Nie wiem.

Westchnął. Ania wraca jutro. Ostatecznie nic się nie stanie, jak zje kolację z tą kobietą w jakiejś knajpce, przy deptaku nad morzem albo w samym mieście.

– W porządku. Możemy się spotkać wieczorem. O osiemnastej. Przyjadę po panią.

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Proszę tylko podać miejsce. Przyjadę sama.

– Może „Przy plaży”? Wie pani gdzie to jest?

– Wiem. Będzie mi miło. Do zobaczenia panie inspektorze.

Opuścił słuchawkę, wkładając ją do pokrowca przy pasku. Mały relaks nie zaszkodzi. Choć nie chciał tego otwarcie przyznać, ta kobieta zrobiła na nim wrażenie. Nie cierpiał psychologów i wszystkiego co się z tym wiąże. Może z powodu choroby Ani. Czy to była choroba? Była, bo cóż to miałyby być innego. Wsiadł do samochodu. Ruszył w kierunku departamentu.

Departament policji w Village Heaven znajdował się w dwupiętrowym budynku o przeszklonej fasadzie. Wjazd z prawej jego strony prowadził na parking położony z tyłu. Ostatnie ślady wilgoci wyparowały już w słońcu, które podniosło się sponad widnokregu i rozpoczęło nasycanie elementów krajobrazu kolorami i energią. Wszedł do budynku mijając dwóch policjantów w mundurach, udających się na codzienny patrol. Parking był już pełen. Przesunął kartę w czytniku na holu. Próbował poczęstować mrugnięciem starego Jamesa, który za kontuarem punktu przyjęć wydawał się zapadać w pełną rezygnacji nieobecność. Tak rano? – zapytał sam siebie, nie rozumiejąc ludzi, którzy dzień rozpoczynają z wlokącą się za nimi atmosferą stanu niepełnego przebudzenia.

Jego biurko, zdawkowe przywitania z kolegami. Fiennes był jak zawsze elegancki, miał hopla na tym punkcie. Dzisiaj w gustownym szarym garniturze i jasnej koszuli, co udanie kontrastowało z jego ciemnym, czekoladowym kolorem skóry. Jakimi byli partnerami? Chyba najlepszymi jak to możliwe. Może po odejściu Thelmy – dla-

czego nie chciał tego nazywać śmiercią? – coś się zmieniło. Dawniej wspólne grille, dwie rodziny. Szczebioczące ze sobą kobiety i oni, spokojnie sączący piwo. Gdy Thelmy zabrakło i pojawiły się kłopoty z Anną, wszystko to ustało. Ale nie zmieniło się nastawienie Fiennesa do niego. Wiedział, po prostu wiedział, że gdy partner mówi, że zawsze może do nich wpaść, to nie jest żadna pieprzona kurtuazja. Tylko tak po prostu jest. Może chcieli mu stworzyć namiastkę rodziny? Nie chciał tego. Stawał się samotny. Może spotkanie z tą kobietą, będzie jakąś odmianą. Może nie ma co sobie tym zaprzętać głowy.

– Jadę do tej szkoły, stary mi zlecił parę rzeczy – rzucił Finnes.

– Tobie? Przecież to ja tam byłem.

– Pewnie uznał, że będę miał świeże spojrzenie albo że możesz mieć zbyt emocjonalne podejście.

– Nie ważne. Co z tą wariatką?

– Zabrali ją na obserwację do kliniki przy uniwersytecie.

– Żartujesz.

– Nie żartuję. Stwierdzili ciekawy przypadek rozdwojenia osobowości. Rozumiesz. Mówią, że w jej głowie siedzi dwóch ludzi.

– Wariaci – pokręcił głową Calahan.

– Nie ważne. Lecę. – Fiennes poprawił broń w kaburze pod marynarką i po chwili zniknął w drzwiach wyjściowych.

Calahan uruchomił komputer. Ikony dostępu do systemów pojawiły się na jego ekranie. Mieli nawet dostęp do centralnej sieci w Waszyngtonie. Teoretycznie, bo trzeba było mieć uprawnienia, no ale zawsze postęp. Otworzył kartotekę ich departamentu. Zaczął sprawdzać dokumenty zgromadzone w sprawie zamachu w szkole.

– Calahan?

– Tak? – Podniósł głowę.

– Pojedziesz do szpitala miejskiego – przekazywał mu dyżurny officer.

– Co się znowu stało?

– Nie wiem. Lekarz zgłosił potrzebę konsultacji. Mają jakieś ofiary z wypadku.

– To po co tam ja? Ci z drogowego niech się tym zajmą.

– To nie był samochód, to był samolot. Zresztą nieważne. Jedź i załatw sprawę. Potem raport jak zwykle.

Podniósł się, wkładając marynarkę, która wisiała na krześle. Wypadek samolotu – popieprzyło ich czy co? Sprawdził broń i kluczyki. Ruszył w stronę wyjścia.

Lekarz miał jakieś pięćdziesiąt lat. Azjata. Szczupły, siwe włosy, opalona, bardziej wiatrem niżli słońcem, pociągła twarz.

– Proszę – wskazał mu drzwi do swojego gabinetu.

Calahan nie siadał. W trakcie drogi dowiedział się o co chodzi. Na miejskiej drodze, około kilometra od szpitala, usiłował wylądować

prywatny odrzutowiec. Zupełny odlot. Cud, że nie doszło do masakry, przejeżdżających tamtędy ludzi. Teren był zamknięty. Pasażerów przewieziono do County Hospital.

– No więc?

– Przywieziono nam siedem osób. Sześć z nich nie żyje, ostatnia znajduje się w stanie terminalnym.

– I, dlaczego pan nas wzywał?

– Obowiązek. Ten, który żyje, ma strzaskany obojczyk.

– To chyba niewiele jak na taką katastrofę.

– Pan mnie nie zrozumiał. Jego stan nie rokuje przeżycia. Ma zmiążdżone nogi, rozległe uszkodzenia wewnętrzne, poparzoną ciężko twarz i drogi oddechowe. Ale obojczyk ma strzaskany przez kulę rewolwerową.

– Pan żartuje doktorze.

– Chciałbym. Niestety ślad jest jednoznaczny. Sam pan rozumie.

– Czy on? Czy on może mówić?

– To niemożliwe, ma spalone gardło. Wezwałem was z czystego obowiązku.

– Czy mogę go zobaczyć?

– Bardzo proszę, choć... nie będzie to przyjemny widok.

– Jestem przyzwyczajony – mruknął Calahan, przepuszczając lekarza.

Pacjent, albo to co z niego zostało, leżał na białym łóżku w odrębnej niewielkiej sali. Opleciony siecią rurek i przewodów wyglądał jak z filmu science fiction. Na twarzy miał założoną maskę tlenową, klatka piersiowa poruszała się miarowo w górę i w dół, ręce spoczywały wzdłuż tułowia, nogi były przysłonięte, przykrywającym ciało prześcieradłem.

– Nie rozebraliście go? – zapytał Calahan, dostrzegając na barkach pacjenta strzępy przypalonej marynarki.

– W tej chwili tego nie robimy. Stan jest tak niestabilny, że musimy z tym poczekać.

– Czy on jest przytomny?

Lekarz spojrział na krzywe oscylatorów, przepływające przez niewielkie ekrany urządzeń zamontowanych nad głową leżącego człowieka.

– Nie mogę tego wykluczyć, ale wątpliwe, by nas słyszał. Z całą pewnością nie jest możliwa, ani wskazana, żadna próba komunikacji.

Drzwi się uchyliły.

– Panie doktorze, bardzo proszę natychmiast – Dał się słyszeć kobiecy głos.

– Chodźmy – powiedział lekarz.

Calahan został pod drzwiami, odprowadzając wzrokiem sylwetkę w białym fartuchu. Otworzył je ponownie. Wszedł do środka. Patrzył na tego człowieka z nieokreśloną ciekawością. Co wyście tam wyprawiali w powietrzu? To ciebie usiłowali załatwić, czy też przeciwnie,

kawał z ciebie skurwiela? Wydało mu się, że zauważył poruszenie dłoni leżącego. Podeszedł blisko do łóżka. Dźwięk, wydawany przez urządzenia kontrolne, przyspieszył bieg. Calahan rzucił okiem na jasne krzywe pojawiające się na ekranach. Nic mu one nie mówiły. Jedynie co znał to kształt wykresu EKG, ale i tak nie był w stanie stwierdzić czy to wykres prawidłowy. Jego zawsze taki był.

Głowa leżącego poruszyła się, powieki zaczęły drgać. Maskę tlenową zasłaniała dolną część twarzy, górna, osłonięta białym bandażem, nie pozwalała na jakiegokolwiek rozpoznanie tożsamości człowieka. Pochylił się nad nim. Nagle ciałem na łóżku targnął jakiś impuls. Gwałtownym ruchem, leżący złapał jedną ręką przedramię Calahana, a drugą poję jego marynarki, która rozchyliła się, gdy pochylał się nad nieprzytomnym – jak błędnie myślał – człowiekiem. Przyrządy doznały jakby szoku. Włączył się jakiś alarm, gwałtowne „pipczenie” raniło uszy przenikliwym dźwiękiem.

Kurwa! Co się dzieje? – Calahan usłyszał za plecami tupot nóg. Ciałem leżącego targnęły jeszcze dwa czy trzy impulsy, po czym jego napięte dłonie zaczęły zwalniać uścisk i, puszczając, zsuwać się po jego marynarce. Gdy lekarz z pielęgniarkami wpadł, za jego plecami, do sali, pacjent leżał znów poziomo z bezwładnie opuszczonymi kończynami.

– Co pan tu robi do cholery?

– E... myślałem, że mu się przyjrzę.

– Proszę stąd wyjść!

Wychodząc spojrzął na oscylatory. Te same miarowe krzywe pojawiły się na ich ekranach. Jego serce wciąż biło szybciej. Dobrze, że zza grobu za mną nie wyleciał. Poczul potrzebę wyjścia na świeże powietrze. Tam złapał go telefon z departamentu, wzywający go z powrotem.

– A ten gościu z katastrofy? – zapytał.

– Stary wyśle kogoś innego.

Jeszcze tylko kilka godzin. Potem randka z tą laską. Uruchomił silnik.

9.

– Lubi pan to miejsce?

Miała na sobie kremową sukienkę i niewielką białą garsonkę. Proste, długie włosy, dyskretny makijaż, to jest taki, którego się nie zauważa, ale za to zauważa się osobowość kobiety. A może to wcale nie chodzi o osobowość, tylko o zwierzęcą atrakcyjność? Calahan nie roztrząsał takich zagadnień, przynajmniej świadomie. Z wnętrza lokalu dochodziła latynoska muzyka. Stoliki wystawione na podeście, tuż przy ciągnącej się szeroko piaszczystej plaży, oświetlone były niewielkimi lampkami. Dominował nastrój odprężenia i swobody. Wiatr chłodniejszy niż w dzień, dawał od czasu do czasu znać o swoim istnieniu, miło przepływając wokół twarzy i pleców.

Jej skóra była... była taka, jaka powinna być. Nie potrafił znaleźć właściwych określeń dla swojego odczucia. Szczerze mówiąc, gdyby zechciał się w nie zagłębić, zobaczyłby, że jej skóra jest dokładnie taka, jaką chciałby całować, dotykać, posiadać, zdobywać i oddawać się. Miała tę cechę wyzwalańca popędu, pozarozumnego pędu do tego, by kosztować, smakować, zatracać się.

– Nie. To znaczy, rzadko bywam. W lokalach – uzupełnił.

Uśmiechnęła się.

– Może powinien pan.

– Praca, sama pani rozumie.

– Czy... moglibyśmy wypić bruderszaft, tak na przełamanie lodów?

Tym razem on się uśmiechnął, podniósł kieliszek z zieloną zawartością egzotycznego likieru. Czuł w palcach szyjkę kieliszka, widział światło lampki łamiące się na jej włosach, jej spokojne oczy. Zupełnie nie zauważał stolika i stracił z pola widzenia ich otoczenie. Zobaczył za to jej gest, którym uniosła kieliszek do ust. Pociągnął łyk ze swojego. Orzeźwiający smak, z niewielką domieszką cierpkości alkoholu.

– Ewa – wyciągnęła rękę.

– James.

Poczuł jej dłoń. Odrobinę dłużej niżby to wynikało z gestu podania ręki. Właściwie to nie wiedział, czy to on, czy też ona nie puszczała. W tej chwili widział tylko blask jej oczu i czuł dotyk tej dłoni, którą on jednocześnie ścisnął.

– Więc jak tam nasza pacjentka?

– Mówisz o tej ze szkoły?

– Aha. Słyszałem, że ją przenieśli do was.

– Tak. To ciekawy przypadek. Mam okazję badać ją osobiście.

– No i... Jak wyniki badań? – sięgnął w stronę niewielkiego pucharu z deserem w postaci lodów, owoców i bitej śmietany.

– Wszystko wskazuje na to, że znajdują się w niej dwie tożsamości. Raz funkcjonuje jako nauczycielka pracująca w szkole. Samotna kobieta poświęcająca się dzieciom, głównie dlatego, że nie miała wła-

snych. Innym razem jest sfrustrowanym weteranem wojennym, którego społeczeństwo wyrzuciło na margines i który postanowił wziąć na nim odwet.

– Na małych dzieciach?

– Tak wypadło, to był impuls.

– I ty w to wierzysz?

– W co?

– Że... no, że ta babka. To znaczy, że jej się wydaje, że jest kimś innym?

– Jej się nie wydaje.

Milczał pytająco patrząc na jej twarz. Na kolor jej policzków, na kształt jej ust, brwi, rzęs. Podświadomie przenikał te rzęsy, zaglądał do oczu, Podświadomie pragnął się w nich zobaczyć.

– Jej się nie wydaje – powtórzyła, zakładając kolano na kolano.

– Ona jest raz jedną, raz drugą osobą.

Calahan chrząknął.

– Wiesz. Ja tam się nie wtrącam w te wasze sprawy. Ale na mój gust, to albo się jest tym, albo tamtym, a reszta się tylko wydaje. To znaczy... – próbował uporządkować myśli – człowiek jest sobą. Rozumiesz. Ale ma odjazdy. I odjazdy są odjazdami. Takie omamy.

Uśmiechnęła się podnosząc kieliszek do ust.

– To nie jest takie proste. Widzisz, kiedy ona staje się tym weteranem, to poza kwestią cielesną, ona nim jest. Czy ty sobie wyobrażasz, że gdy podaliśmy jej broń do złożenia i rozłożenia, to ona to zrobiła?

– Każdy się może nauczyć. Uczą tego na kursach. Kupiła sobie spluwę i się nauczyła.

– Tylko, że po pierwsze, nigdy nie posiadała broni, sprawdziliśmy to. A po drugie, daliśmy jej do rozłożenia karabin wojskowy, z którego twierdziła, albo twierdził, że strzelała na wojnie.

– No i?

– No i rozłożyła go i złożyła automatycznie, nie patrząc niemal na to co robi.

– Dziwne trochę.

– Nawet więcej niż dziwne. Czy wiesz, że jako ten weteran mówi po rosyjsku?

Calahan poczuł nieprzyjemny dreszcz.

– Możecie to jakoś wyjaśnić?

– Trudno powiedzieć. Szczerze mówiąc, całe zagadnienie, wiesz... rozdwojenia osobowości, wcale nie jest wyjaśnione. Nazywamy to różnymi nazwami, opatrujemy pojęciami, ale nie dysponujemy wyjaśnieniem przyczyn i przebiegu tej choroby, albo – zawałała się – tego zjawiska. Jedna z teorii mówi, że to odreagowanie na stres z dzieciństwa, kiedy traumatyczne doświadczenia są tak silne, że następuje wypchnięcie ich części w obszar poza świadomość, gdzie tworzą coś na kształt drugiej osobowości.

– Ale to wszystkiego nie wyjaśnia?

– Wyjaśnia niewiele. Na pewno nie to, skąd się biorą dziwne uzdolnienia innych osobowości.

– Czy ona? Czy ona albo on, cholera już wie kto, może odpowiadać za to co zrobiła?

– Nie sędzę. Będzie na leczeniu. Może do końca życia. Być może jej przypadek pomoże nam zrozumieć coś o nas samych. O funkcjonowaniu umysłu. Dlatego to badamy.

Odwrócił wzrok. Wieczór pochylił się nad bezkresem morza. Pas plaży nabrał koloru szarości, ciemny kolor powierzchni wody przecinały wąskie strugi spienionych grzbietów niewielkich fal.

– Pójdziemy się wykąpać? – rzucił niespodziewanie.

– Chętnie – odpowiedziała zaskakująco.

– E... – zawahał się – może się trochę wygłupiłem.

– Tak uważasz?

– Nie, nie uważam tak – patrzył jej prosto w oczy. Patrzył w nie dalej. Jeszcze tylko blask lampki docierał do niego, poza tym co dostrzegął w jej oczach. Oczywiście nie było to nic materialnego. Nic posiadającego kształt albo kolor, nic dającego się opisać słowami. A jednak przemawiało to do niego tak silnie, że nie potrafił od tego oderwać oczu. – OK. Po prostu przejdziemy się po plaży, a jak nam przyjdzie ochota, to się pochłapiemy.

Jak się pochłapięcie idioto, przecież nie masz ręcznika ze sobą – strofował go głos w jego głowie. Ale jakiś inny głos, choć znacznie mniej wyraźny, mówił mu, że to wszystko jest nie ważne. Że trzeba iść za impulsem chwili, bo to jedyne co mamy.

Szli wzdłuż plaży blisko pół godziny. Światła kafejek zostały za ich plecami. Pierwsze gwiazdy wschodziły na niebie. Było ciepło i przestrzennie. Przez chwilę chciał ją wziąć za rękę. Jak chłopak dziewczynę. Taki motyw wdrukowany w człowieka. Na szczęście uzmysłowił sobie niestosowność takiego gestu.

– Opowiedz mi coś o sobie – poprosiła.

– Szczerze mówiąc, nie byłoby wiele do opowiadania. Nie jestem wiesz... wielowymiarowy i tak dalej.

Szła coraz bliżej niego. A może mu się tak tylko wydawało. Wydawało mu się, że czuł ją. Czuł ją niemal całym swoim ciałem, pomimo tego, że się przecież nie dotykali.

– A... twoja sytuacja? - zapytała patrząc przed siebie.

– Masz na myśli?

– Nie wiem. Opowiedz.

Poczuł ściśnięcie. Jego sytuacja, to była jego sytuacja. Jego ból, to była jego świętość. Coś co nie jest przeznaczone do oglądania przez innych. Jego samotność, walka z chorobą Ani, jego trudna strona życia była jego prywatnym ogrodem. Ogrodzonym wysokim płotem. Ogrodem, który pracowicie uprawiał. Czy miał jej pozwolić wejść? Ot tak? Piasek przesypywał się pod jego stopami.

– Nic specjalnego. Jestem wdowcem. Thelma odeszła jakieś pięć lat temu. Została mi Ania. Mam trochę problemów. Pewnie zresztą słyszałaś – zatrzymał głos. Morze szumiało. Wiatr omywał ich twarze. Odwrócił się w jej stronę. Wziął ją za rękę. – Ewa...

– Tak?

– Nie chcę. Jeszcze nie teraz.

– W porządku – zrobiła krok w jego stronę.

Objął ją. Przytulił. Poczul jej włosy na swoim policzku. Uścisnął i puścił, biorąc tym razem za rękę.

– Wracamy?

– Wracamy? – powtórzyła pytanie.

Przytulił ją ponownie. Przywarł ustami do jej warg. Obejmował jej plecy. Wszystko czym była, stało przed nim otworem. Oderwał się od niej dysząc.

– Nie mogę.

– Szszsz...

– Usiądźmy.

Poszła za jego zachętą. Morze było ciemne. Poruszało się leniwie. Zagony fal kładły się na pasie plaży jaśniejszymi zakolami.

– Gdy byłem małym chłopcem, zastanawiałem się, czy morze żyje.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

– Nie wiem. Nie było żadnych wniosków.

Oparła głowę na jego ramieniu.

– Kiepski ze mnie randkowicz.

– Mam przeciwne zdanie – odpowiedziała nie podnosząc głowy.

Objął ją ramieniem.

– Martwię się o Anię. Jutro wraca.

– Zaprosisz mnie?

– Nie wiem jakby to odebrała.

– A ty jakbyś to odebrał?

Uśmiechnął się.

– Mam trochę piwa w lodówce.

– Przyniosę jakąś sałatkę.

Roześmieli się oboje. Z ich lewej strony pojawił się księżyc. Jasny rąb światła w otaczającej go ciemności.

– Lubię jak nie ma chmur – powiedziała.

Przytulił ją mocniej. Może to nie do końca takie złe. Pozwolić komuś wejść do miejsca, które się tak chroniło – pojawiła się w jego świadomości myśl. Jego myśl?

10.

Piątek, 18 marca 2033.

– Nie jesz?

Ingrid siedziała przed talerzem, na którym leżał niewielki płat nie-
tkniętego łososia. Srebrne sztucce opierały się o biały porcelanowy ta-
lerz. Dzielący ich, albo łączący – jeśli patrzeć na to z innej strony
– stół, miał błyszczący, mahoniowy blat. Główny salon na pierwszym
piętrze Perłowej Zatoki był utrzymany w kolorystyce ciemnego brązu.
Ściany były wyłożone drewnem. Duży biblioteczny regał, na lewo od
wejścia, przechowywał setki, przez nikogo już dziś niemal nie używa-
nych, książek. Ozdobne, nierzadko nawet okładane skórą, woluminy
rozwijały się równymi rzędami na półkach, zdając się wypełniać ten
wielki pokój jednocześnie spokojem i treścią. Rekreacyjny kącik, po
drugiej stronie, składał się z wygodnej narożnej kanapy z brązowej
skóry oraz dwóch foteli i niskiego stolika z blatem ze szkła, lub co
bardziej prawdopodobne, z jakiegoś przezroczystego tworzywa. Cało-
ści dopełniały dwie ikebany, nadające przestrzeni pewien rys lekkości.

Stół znajdował się naprzeciwko panoramicznego okna. Przed nimi
rozciągał się widok na zatokę Aldavik. Wciąż pozbawiony słońca
dzień, dywanem chmur i mgły skrywał horyzont. Ingrid zapatrzyła się
w przestrzeń. Dlaczego tu jest tak niewiele kolorów? Tylko latem nie-
bo zakwita błękitem, złotem i czerwienią, dzień zdaje się nie mieć
końca, gdyż na skutek ugięcia promieni słonecznych człowiek ma
wrażenie, że słońce nie zachodzi. Jakże inaczej jest zimą. Przestrzeń,
rozpościerająca się na zewnątrz, była nierówna, postrzępiona. Zgaszo-
na zieleń traw i porostów rozlewała się gdzieś tam, po nierówno-
ściach terenu. Dominowała czerń i szarość, zdająca się kapać z gęste-
go kobierca chmur. Odczuwała jakiś chłód, gdy jej wzrok zanurzał się
w tą krainę dookoła nich.

– Patryk?

– Tak?

– Powiedz mi – przeniosła wzrok na niego. Na mężczyznę, który
był z nią od trzydziestu pięciu lat. Teraz w koszuli w grubą niebieską
kratę, z podwiniętymi rękawami, pochylony nad talerzem, oddzielał
nożem fragment ryby. – Powiedz mi. Przecież to wszystko nieprawda.
To wszystko co ty tam robisz w tym komputerze. To jest fałsz. – Jej
czoło przecięły dwie pionowe zmarszczki.

– Co masz na myśli?

– No to, że jak mówiłeś. Im... To znaczy tym twoim programom,
wydaje się, że coś widzą, że coś słyszą, że czegoś doświadczają. Prze-
cież to wszystko jest nieprawdziwe. To jest okrutne.

– Chcesz powiedzieć, że na przykład ten nóż – tu podniósł nieco
wyżej nóż trzymany w prawej dłoni – jest rzeczywisty, w odróżnieniu

od noża, który ktoś – zawahał się – no powiedzmy program, widzi i czuje w swoim świecie, który ja stworzyłem?

– Dokładnie.

Lindqvist obrócił w palcach nóż, przyglądając mu się z uwagą.

– Ale dlaczego myślisz, że ten nóż jest bardziej prawdziwy, niż nóż, który widzą moje programy?

– Dlatego, że tam tego noża faktycznie nie ma. Tylko ty im dostarczasz informacje o tym przedmiocie i one, tak jak powiedziałeś, wytworzą sobie jego obraz, zapisują sobie informację, że taki nóż istnieje.

– A czym to się różni od naszej sytuacji?

– Tym, że nawet jak nie będziemy widzieć naszego noża to on i tak będzie istniał.

– A skąd wiesz?

– No bo jak znowu na niego spojrzymy, to zobaczymy, że jest.

– A mój program będzie to odbierał jakoś inaczej?

– Patryk. Nie wyglupiaj się. Rzeczywistość istnieje niezależnie od nas. Od tego czy się jej przyglądamy, czy ją widzimy, czy nie. Wszystko jest zbudowane z materii. Rzeczywistość jest materialna. Rozumiesz? Czy nam się to podoba czy nie, istnieje. Po prostu.

– Jesteś o tym przekonana?

– Zaczynam być przekonana, że z tobą coś nie w porządku.

– Posłuchaj – Lindqvist odłożył sztucce. – Znasz zjawiska ugięcia i interferencji fal?

– Uczyłam się na fizyce.

– I... na czym polega, na przykład interferencja?

– Na tym, że gdy dwie fale się spotykają, to w pewnych miejscach się wygaszają, a w pewnych wzmacniają.

– Czyli cząstki materii nie mogą ze sobą interferować?

– Żartujesz? Niby jak?

– No a gdybym ci powiedział, że tak naprawdę cząstki interferują ze sobą?

– To niemożliwe – powiedziała pod dłuższym namysłem, marszcząc brwi. – Jak mają się niby wygaszać albo wzmacniać?

– Niemożliwe. Masz rację – pochylił się i wrócił do jedzenia.

Z zewnątrz dał się słyszeć szum wiatru. Ciężkie chmury przesuwały się po horyzoncie. Niewielkie plamy zieleni karłowatych roślin leżały między bazaltowymi rumowiskami. Powietrze na zewnątrz wydawało się nabierać ciężaru.

– Patryk. Chciałeś coś dokończyć?

– Widzisz. Najpopularniejsze doświadczenie z interferencją fali, to doświadczenie z dwoma szczelinami, przez które przepuszcza się światło.

– To wiem.

– No i na ekranie tworzą się prążki interferencyjne.

– To też wiem.

– No i jeśli falę światła zastąpić strumieniem cząstek, to znowu tworzą się prążki interferencyjne.

Ingrid milczała przez chwilę, usiłując niejako strawić słowa Patryka. Wyprostowała się i odłożyła sztucę.

– Może te cząstki tworzą po prostu falę. Wiesz... jak krople wody tworzą falę wody. Wówczas tworzą razem tę falę i interferują ze sobą. Odbijając się, tworzą ten wzór interferencyjny na ekranie.

– To możliwe – odpowiedział i wrócił do jedzenia.

– Patryk?

– Tak?

– Co dalej?

– No cóż. Problem polega na tym, że wzór interferencyjny, na ekranie za dwoma szczelinami, pojawia się także wtedy, kiedy cząstki wysyłamy w kierunku tych dwóch szczelin całkowicie oddzielnie. Pojedynczo. Wysyłamy cząstkę i czekamy, aż uderzy w ekran. Potem wysyłamy następną, następną i wiesz co?

Milczała

– Tworzy się wzór interferencyjny.

– Ale z czym te pojedyncze cząstki interferują?

– No właśnie. Nie mają z czym, chyba że...

– Mów.

– Chyba że, to nie są wcale cząstki.

– Tylko?

– Tylko fale.

– Co?

– Tylko fala może dać taki efekt na ekranie.

– Ale to są cząstki. To niemożliwe.

– Ale niestety sprawdzalne. Elektron wysłany w kierunku dwóch szczelin, może interferować jedynie sam ze sobą, bo nie ma żadnych innych cząstek. Może zaś interferować, jeśli jest falą, która, uważaj, przechodzi przez dwie szczeliny na raz i następnie ulega interferencji.

– To niemożliwe.

– Co jest niemożliwe?

– Elektron jest cząstką.

– Właśnie ci tłumaczę, że doświadczenie mówi że nie jest.

– Chwileczkę, ale czy nie ma doświadczeń, które mówią że jest?

Że jest cząstką?

– Ależ oczywiście, że są takie eksperymenty.

– Więc czym on w końcu jest? Czym jest to, z czego się składa wszystko?

– Szczerze?

– Mów.

– Nie wiemy. Taka jest prawda. Ludzie wierzyli od zawsze, że istnieje materia, coś stałego, niezmiennego, z czego składają się wszystkie ciała materialne, wszystko co obserwujemy. Chcieliśmy odkryć tę podstawową substancję. Odkryliśmy pierwiastki, potem atomy.

Wszystko szło dobrze. Ale potem zaczęło się dziać niedobrze. Doszliśmy do tego, że obserwujemy wykluczające się nawzajem cechy, tego co obserwujemy. Naukowcy użyli więc określenia, które niczego nie tłumaczy, albo jeszcze gorzej, oczywistą sprzeczność usiłuje tłumaczyć jako naturalny stan rzeczy.

– To znaczy?

– Mówią, że materia ma naturę cząsteczkowo-falową.

– I co w tym złego?

– Dwie sprawy. Cząstka materii nie może być falą, bo fala to jest zaburzenie jakiegoś ośrodka. Fala nie posiada odrębnego istnienia, to tylko kształt, forma czegoś szerszego. Po drugie, zamiast powiedzieć wprost: „Nie mamy zielonego pojęcia, co może być przyczyną naszych obserwacji. Nie wiemy, co tak naprawdę obserwujemy.”, łączą dwie sprzeczne obserwacje i udają, że to cokolwiek tłumaczy. To absurd. Słowno–pojęciowa sztuczka.

– I jakie jest wytłumaczenie? Twoje wytłumaczenie?

– Widzisz. Powiem ci jeszcze jedno. Elektryki wysyłane pojedynczo w kierunku przesłony z dwiema szczelinami, tworzą na ekranie położonym za tą przesłoną wzór interferencyjny.

– Już mówiłeś.

– Ale wyobraź sobie, że możliwe jest zainstalowanie detektora, który wykryje, przez którą ze szczelin przeszedł elektron.

– Ale mówiłeś, że on jest falą i że przechodzi przez obie.

– Tego nie wiemy, tylko tak zakładamy, bo widzimy prążki interferencyjne.

– No więc?

– No więc gdy zainstalujemy taki aparat, który może wykrywać, przez którą ze szczelin elektron przejdzie to...

– To?

– To wzór interferencyjny na ekranie znika.

– Co?

– Normalnie. Jeśli sprawdzimy, jeśli stworzymy możliwość dowiedzenia się, przez którą ze szczelin elektron przeszedł, to wzór interferencyjny znika i pojawia się ślad strumienia cząstek. Jeśli sprawdzający aparat zdemontujemy albo wyłączymy proces detekcji, to ponownie pojawi się wzór interferencyjny. Cały czas w tym samym doświadczeniu i przy tych samych pozostałych warunkach.

– Patryku.

– Tak wiem. Dziwne. Elektron wyczuwa, czy jest obserwowany. Albo... wychodzi na to moja droga, że wbrew naszemu intuicyjnemu przekonaniu, żadna obiektywna, materialna rzeczywistość, czyli materia, nie istnieje. Mamy tylko swoje obserwacje. Na ich podstawie budujemy swoje przekonania o tym, co jest. Oglądamy fale albo cząstki, w zależności od tego, co mamy zamiar zobaczyć. Ale nie wiemy, co tak naprawdę oglądamy. Nie wiemy, czy za naszymi obserwacjami kryje się coś realnie istniejącego i nie wiemy co to jest.

- To ty do tego doszedłeś?
- Nie tylko ja.
- I pewnie możesz jeszcze kogoś wymienić.
- Bardzo proszę, Max Planck. Słyszałaś?
- Stała Plancka.
- No właśnie, jeden z fundamentów fizyki. Widzisz ten fizyk w mowie, z okazji otrzymania nagrody Nobla, powiedział tak:

Między nimi pojawił się, unoszący się w powietrzu, tekst. Czerwone litery zbudowane z przestrzennej grubej czcionki, ułożone były w słowa i zdania:

Als Physiker, der sein ganzes Leben der nüchternen Wissenschaft, der Erforschung der Materie widmete, bin ich sicher von dem Verdacht frei, für einen Schwarmgeist gehalten zu werden. Und so sage ich nach meinen Erforschungen des Atoms dieses: Es gibt keine Materie an sich. Alle Materie entsteht und besteht nur durch eine Kraft, welche die Atomteilchen in Schwingung bringt und sie zum winzigsten Sonnensystem des Alls zusammenhält. Da es im ganzen Weltall aber weder eine intelligente Kraft noch eine ewige Kraft gibt – es ist der Menschheit nicht gelungen, das heißersehnte Perpetuum mobile zu erfinden – so müssen wir hinter dieser Kraft einen bewußten intelligenten Geist annehmen. Dieser Geist ist der Urgrund aller Materie.

- To w jego języku? A po naszymu?

Lindqvist wykonał niewielki gest. Litery, niczym ułożone na niewidocznej, unoszącej się w przestrzeni płachcie, zwinęły się i ponownie ukazały tekst, tym razem w kolorze połyskującej zieleni:

“Jako człowiek, który poświęcił całe swoje życie na najbardziej zdroworoządkową naukę – studia nad atomem, mogę w rezultacie swoich badań zapewnić was, że w istocie... nie ma czegoś takiego jak materia. Materia, w takim sensie w jakim ją postrzegamy, powstaje i istnieje jedynie dzięki sile, która wprawia cząstki w drgania i utrzymuje atom – ten mały układ słoneczny w całości. Musimy przyjąć, że za tą siłą kryje się inteligentny i świadomy umysł. Ten umysł jest źródłem całej materii.”

- Niezwykłe. Nie wiedziałam, że Planck to powiedział.
- Ludzie tego nie wiedzą. Bo i po co. Widzisz więc, że nawet naukowcy dochodzili do wniosku, że to co nazywamy materią, to nasz konstrukt, wytwór naszego umysłu i wyobraźni, że niczego takiego fizycznie nie ma.
- Ale jednak coś poznajemy, coś widzimy, czegoś doświadczamy.
- Ależ oczywiście. Wrażen. Poznajemy informacje, na podstawie których konstruujemy, w naszych umysłach, obraz rzeczywistości.
- To jest niedorzeczne. – Wzięła w dłonie serwetę i zaczęła wycierać usta.

Napis zgasł.

- Czy ty naprawdę uważasz, że rzeczywistość nie istnieje naprawdę

dę? Ty odtwarzasz rzeczywistość w tym swoim komputerze?

– Co to znaczy naprawdę? Myślę, że rzeczywistość istnieje naprawdę, tylko nie w takiej postaci jak ją sobie wyobrażamy.

– A w jakiej postaci?

– W postaci myśli, informacji, które wszyscy nieustannie odbieramy.

– Czyich na Boga myśli?

– No właśnie.

– Patryk...

– Tak.

– Ty...? Ty zrobiłeś się religijny? To do tego to wszystko prowadzi?

– Nie wiem. Możliwe. Po prostu patrzę na rzeczy jakimi są.

– I jakimi są według ciebie?

– Tego nie wiem. Ale myślę, że nie da się odróżnić tego noża, który trzymam w ręce, od noża który postrzega program w moim systemie. To znaczy dokładniej... Nasza sytuacja nie jest inna, niż sytuacja tego programu. Albo jeszcze dokładniej. Może być tak i wiele na to wskazuje, że świat istnieje naprawdę, tyle że to są istniejące zestawy informacji, utrzymywane przez coś, przez kogoś – zawahał się – innego.

– Absurd. Po prostu jeszcze wszystkiego nie poznaliśmy. To o czym mówisz to tylko twoja teoria.

– Tak, to teoria. Ale nie tylko moja, co miałaś okazję zaobserwować na przykładzie cytatu z Plancka.

– Przecież wszystko wtedy byłoby... nierealne!

– Wcale nie. Zresztą. Tak jak powiedziałaś. To tylko teoria. Takie zgadywanie – uśmiechnął się. – Jedno jest pewne, rzeczywistość, bezpośrednio, jest dla nas niepoznawalna.

– A ciebie dobrze poznałam?

– Tak.

– A skąd wiesz?

Popatrzył jej głęboko w oczy. Te szarzielone oczy zawsze wyróżniające się, w otaczającej je przestrzeni piegów i cudownie rudych włosów. Oczy, przez które w jakiś sposób – tak przynajmniej czuł – udawało mu się docierać do jej wnętrza i równocześnie otwierać swoje. Jakby zapadał się w jakąś bezdenną, a jednocześnie czekającą na niego, przyjazną przestrzeń.

– Ponieważ cię kocham – odpowiedział.

Spuściła wzrok na chwilę.

– To też tylko informacja?

– Nie – stał się nagle poważny. – To rzeczywistość. Może jedyna jaka istnieje.

11.

Lindqvist usiadł przy biurku. Odwrócił się w stronę okna. Czy potrzebna była ta rozmowa z Ingrid? Czy mogła zrozumieć? Czy miał jej powiedzieć wszystko, już dzisiaj? Odwrócił wzrok. Ruchem dłoni uruchomił projektor. Nad błękitnym teraz blatem biurka zajaśniały w przestrzeni elementy system informatycznego. Jednocześnie w powietrzu rozszedł się zapach sosnowego lasu, a wkoło dało się słyszeć odgłosy ptaków. Otworzył główny kanał komunikacji z Sercem. Przed nim widniał główny system emulacji rzeczywistości, który funkcjonował w Sercu. System „Świat” obrazowany był pulsującym jasnożółtym kształtem. Rozwinął go. W przestrzeni przed nim pojawiły się elementy systemu, falowa projekcja przebiegu zdarzeń, ogólna sygnalizacja stanu i aktualnej wydajności. Niewielkie wzniesienia na, delikatnie zazwyczaj pofałdowanej, powierzchni przestrzeni zdarzeń następujących w Świecie, zwróciły jego uwagę. Powierzchnia ta płynęła przed nim w przestrzeń. Wyświetlana była, na szerokości około metra, w formie biegnącej w dal błękitnej wstęgi. Otworzył przemieszczający się na niej szczyt, sygnalizujący specjalną akcją systemu. Przed nim w dole pojawiły się pomarańczowe wibrujące elementy. Pojedyncze programy utrzymywane przez system. Zdawały się emitować dźwięk. Ciche buczenie, to narastające, to opadające. Dwa z kolorowych wibrujących elementów najwyraźniej weszły w kolizję ze sobą. Jasnożółty i pomarańczowy, niczym unoszące się kolorowe, wibrujące obłoki, kolidowały ze sobą, tworząc obracającą się powoli parę. Po ich powierzchniach przebiegały co chwilę jasne wyładowania. Wibracja przenosiła się to na jeden, to na drugi element. Otworzył panel informacyjny. W ciemnej przestrzeni przed nim, pojawiła się jasna, delikatna kratka, na tle której po prawej i po lewej stronie, widniały projekcje dwóch postaci. W tle rozłożone były informacje na ich temat, na temat sytuacji awaryjnej oraz czynności podjętej przez Serce w celu jej obsłużenia.

Sfery pamięci obu programów, symbolizowanych przez dwie widniejące sylwetki ludzi, zachodziły na siebie. Być może to błąd w przestrzeni adresowania, być może jakaś niespójność algorytmów istnienia. Dość, że najwyraźniej kanały dostępu do przestrzeni, w której każdy program z osobna budował swój świat, zaczęły na siebie zachodzić. Podobnie same zasoby pamięci, a więc obraz świata i siebie. Żeby nie dopuścić do sytuacji nierozwiązywalnej – rozbicia rzeczywistości, Świat zaakceptował wzajemne nakładanie się programów na siebie, w tworzonym czasie i przestrzeni. Wprowadził jednak fluktuację, dzięki której zapisywał dane niejako jedne pod drugimi, udostępniając pod tym samym adresem raz jeden, raz drugi zestaw.

Dwie osoby w jednym ciele – pomyślał Lindqvist, patrząc na dziwną sytuację. W tej konkretnej chwili Świata, w miejscu i czasie

przeznaczonym dla istnienia osoby, udostępniany był jeden zestaw zebranych doświadczeń, czyli tak zwanej pamięci. Jednak krzywa biegu zdarzeń, rozpościerająca się w przestrzeni za wyświetlanymi sylwetkami, sygnalizowała już potencjalną zmianę, mającą na celu utrzymanie równowagi. Raz będzie to jedna, raz druga osoba. Ciekawe czy taki błąd może obejmować więcej niż dwie stworzone instancje osób – zastanawiał się Patryk i wydał niezbędne polecenia algorytmom analizy i przewidywania. Odpowiedź była zaskakująca: tak, to było możliwe. Wprowadzenie elementów nieprzewidywalności do algorytmów funkcjonowania Świata oraz tworzonych osób-programów, skutkowało, niewielkim co prawda, ale nie dającym się usunąć, prawdopodobieństwem anomalii – na przykład nakładania się programów na siebie. System rozwiązywał ten konkretny problem, przez wymienne sygnalizowanie obecności programów. W odbiorze zewnętrznym mogło to być widziane jako wielokrotna osobowość. Sprytnie – uśmiechnął się do siebie Lindqvist.

Interesowało go bardziej to, co dzieje się bezpośrednio w zaprojektowanym przez niego wątku. Czas wewnętrzny Serca właśnie przyspieszał. Zaczynała się ostatnia prosta. Ostatnia gra, którą rozpoczął trzy lata temu. Ostatnia jego szansa. Nić zdarzeń oznaczona przez niego niebieskofioletową barwą, nabierała przewidywanej częstości. Wszystkie elementy, wchodziły w przewidziane przez niego wątki przyczyn i następstw. Nadchodził czas, kiedy jego eksperyment miał dać odpowiedź, wynik jakim zakończy się podjęta przez niego próba. Czego? Ocalenia? Czy jest coś, co może być ocalone? Pomyślał teraz o Ingrid. Zobaczył jej twarz, podbródek, zarys piersi i ramion. Poczul dotyk ust, zapach skóry i tę niewiadomą głębię, którą czuł tyle razy, ile razy się do niej zbliżał. Dziwne – pomyślał, coś co nie dawało się ująć w słowa ani pojęcia, było jednocześnie czymś najsilniej przez niego doświadczanym. Czy nadal był wtedy sobą? Kim i gdzie wtedy był? Czy stawał się czymś innym? Miłością? Jednością? Życiem?

Zgasił trójwymiarowy obraz pracy Serca. Włożył dłonie do kieszeni i podszedł do szyb okna. Hen, w odległości około kilometra, kołysało się morze. Szare fale snuły się liniami po jego powierzchni, miarowo jak tykanie zegara, jak ruchy wiecznego wahadła. Mógłby, gdyby chciał, zobaczyć je z bliska. Jednym skinieniem czy nawet myślą. Detektory w jego gabinecie potrafiły wykrywać jego myśli. Szyby, będące jednocześnie ekranami, mogły przybliżyć obraz fal tak, jakby je miał dotknąć ręką. Ale nie robił tego. Czekał. Wszystko co miał zrobić, już zrobił. Teraz był obserwatorem. Graczem, który obstawił główną wygraną, który postawił na szali swojej gry, dokładnie wszystko. Nie potrzebował już niczego więcej tworzyć, chyba że dla ilustracji swojego nastroju. Morze ty moje morze, jak długo jeszcze będziesz? – pytał bezsłownie.

12.

Czwartek, 18 czerwca 2015.

James Calahan rozejrzał się po salonie. Beżowa sofa z rozrzuconymi w nieładzie poduszkami, dywan o jednolitym brązowym kolorze na podłodze z parkietu, błyszczącego warstwą lakieru. Jakies porzucane ubrania. Regał. Kącik kuchenny za blatem. Z drugiej strony klęcząca nad niskim stolikiem Ania, pochylona nad kolejnymi kartkami papieru w kratkę, trzymająca w dłoni ołówek, kreśląca na nich setki wzorów geometrycznych, linii krzywych i prostych. Czasem rysująca ściany cyfr i liter, których znaczenia nikt nie mógł pojąć. Czy to jest obraz jaki Ewa powinna zobaczyć? Naczynia przy zlewozmywaku stały jedno na drugim, tworząc krzywą kolumnę. Spojrzał na zegarek. Poczul jakiś odruch mobilizacji. Trzeba posprzątać. Dlaczego trzeba? Bo Ewa powinna się czuć dobrze. Dlaczego powinna? Bo on wtedy będzie się czuł dobrze. Dlaczego? Nie prowadził świadomie takiego rozumowania. Żwawo wziął się do porządkowania otoczenia.

Kwiaty. Kwiaty to było to, czego nie mógł poprawić. Kobiety je lubią. W jego mieszkaniu nie było kwiatów. Nie miał czasu ani ochoty ich podlewać i się nimi opiekować. Po prostu nie znajdowały się one w polu jego uwagi. Nie były istotne z żadnego punktu widzenia. Pzbierał porzucane ubrania i zaniósł do szafy. Kątem oka spojrzął na Anię. Z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, rysowała linię po linii. Jej wzory nigdy nie przedstawiały widoków ze świata rzeczywistego: zwierząt, ludzi, budynków. Zawsze gdy rysowała tworzyła obrazy, w których, mimo pozornego nieładu, przejawiał się jakiś ukryty porządek, jakiś wzór, który uzasadniał postawienie każdej kreski, każdej kropki, który łączył je w niewytłumaczalną dla innych całość. Kilka kartek leżało na podłodze obok jej kolan. Skupiona była tylko na tej, na której właśnie rysowała.

Pedagodzy z ośrodka gdzie przebywała, w czasie gdy pracował, uważali, że jej rysunki mogą być formą komunikacji. Zwłaszcza te, na których pojawiały się litery i cyfry. Przedstawiały one sobą splątany gąszcz znaków, które geometrycznie łączyły się niekiedy w jakieś bardziej finezyjne kształty, krzywe biegnące w budowaną z symboli przestrzeń. Nikt jednak nie potrafił wywieść z nich znaczenia. Zrozumieć przesłania, o ile w ogóle jakieś przesłanie za nimi stało. Mówili Calahanowi, że mózg Ani pracuje w inny sposób. Że przetwarza dane inaczej niż zwykły. Że wskutek tego, Ania żyje w innym świecie, w tym sensie, że postrzega go inaczej niż zwykli ludzie. Stąd właśnie nie nawiązuje z nimi żadnej komunikacji. Reaguje jedynie w sytuacji, odczytywanej jako bezpośrednie zagrożenie. Nie toleruje dotyku osób obcych ani ingerencji w tworzone przez siebie wzory. Gdy pewnego razu jedna z nauczycielek, pragnąc nawiązać kontakt z nią, postawiła

jedną linię na wzorze, który Ania tworzyła z tysięcy takich linii, jego córka wpadła w szal. Obsługa, choć przyzwyczajona do reakcji dzieci autystycznych, była niemal przerażona. Ani podano na miejscu zastrzyk usypiający i przewieziono ją do szpitala na obserwację. Nigdy więcej nikt nie próbował ingerować, w to co tworzyła. Miał tego całe sterty. Układał to w pudełkach. Nie wyrzucał. Z jakiejś przyczyny uważał, że to ważne. Niczym pismo zaginionej cywilizacji, niczym przesłanie jej zagubionego umysłu, którego to przesłania on teraz nie mógł odczytać, ale kto wie – może kiedyś będzie mógł. Może dowie się, że jego córka jednak go kochała. Darzyła uczuciem. Pragnęła jego bliskości i obecności. Bo przecież to jest to, czego ludzie pragną najbardziej.

Zamknął szafę. Ciemnobrązowa błyszcząca warstwa jej drzwi. Ciąg widocznych słoików drewna. Boże mój, przecież to okleina – zauważył. Czasem to co nam się wydaje, że widzimy, jest czymś zupełnie innym. Widzenie to tylko informacja, która wcale nie musi oznaczać, że widziany przez nas obiekt istnieje rzeczywiście. Płukał naczynia i wkładał je do zmywarki. Ania zaczęła buczeć. Właściwie nie wiedział jak określić ten dźwięk, który czasem ze siebie wydawała. Był zazwyczaj jednostajny. Nie żadna melodia czy ich zbiór tonów, który mógł sugerować ukryte powiązanie. Ania wydawała czasem z siebie dźwięk, jakby nucila. Czasem były to dźwięki niskie, czasem wysokie. Zawsze jakaś wibracja jej strun głosowych. Właściwie, poza krzykiem przerażenia, gdy dochodziło do sytuacji ją stresujących, to te dźwięki były jedynymi, jakie mógł usłyszeć z jej ust. Od trzech lat nie wypowiedziała żadnego słowa. Nie odpowiedziała na słowa pieszczoty, na szepty do ucha, na zaklęcia i prośby. Żyła gdzieś indziej. Jadła, załatwiała się, nauczył ją nawet ubierać się. Miała swoje przyzwyczajenia. Nie okazywała żadnych emocji poza wspomnianym przerażeniem. Teraz buczała. Jak boja na ocenie, jak wibrujący stały dźwięk jakiegoś tranzystora, jak praca jakiegoś urządzenia, jak wibracja jakiegoś układu.

Wysokość tych dźwięków zależała od sytuacji. W zasadzie doszedł do wniosku, że pojawiają się wtedy, gdy Ania wyczuwa jakieś napięcie albo przeżywa emocje. Kiedyś, gdy w zdenerwowaniu postanowił wyrzucić jej rysunki, otworzył pawlacz i zaczął wyjmować pudełka z wypełnionymi wzorami kartkami, z jej sypialni dobiegł go ten dźwięk. Wyjmował kolejne pudełka a dźwięk stawał się głośniejszy. Poszedł do jej pokoju. Leżała przykryta kołdrą na wznak i buczała. – Już dobrze, Już dobrze – mówił do niej, przykrywając ją i poprawiając kołdrę. Usiadł na brzegu łóżka, buczenie nie ustawało. – Już dobrze – powiedział. Wydało mu się, że zrozumiał. Wyszedł do salonu. Powkładał z powrotem jej rysunki na miejsce. Ze zdziwieniem zauważył, że zrobiło się cicho.

Dzisiejszy dźwięk nie był tak natarczywy jak tamten w nocy. Był raczej nutą spokoju, być może zainteresowania. Oczy Ani utkwione

były w kartkę przed nią i w tajemniczy wzór, który z sobie tylko znanych przyczyn rysowała na niej. Chyba wszystko w porządku. Rozejrzał się po otoczeniu.

– Dziś przyjdzie do nas w odwiedziny pewna pani, wiesz?

Ania nie odrywała wzroku od kartki i tworzonego wzoru. Dźwięk wydawany przez nią, też się nie zmieniał.

– To dobra osoba. Chciałbym. Chciałbym, żebyś ją polubiła.

Jego słowa nie posiadały większego sensu. Ania ignorowała ludzi. Odbierała tylko bardzo ograniczony zestaw informacji i to tylko taki, który sama wybierała. Pojęcie „polubić” nie dawało się zastosować do jej relacji z ludźmi. Nawet z nim samym. Choć z jego strony tolerowała dotyk. Zabrzmiał gong. Spojrzał jeszcze raz na córkę. Buczenie ustało. Otworzył drzwi.

Ewa stała w żółtokremowej spódnicy i białej bluzce. Długie blond włosy spadały jej na ramiona. Co za nogi – pojawiła się myśl w jego świadomości.

– Witaj. Proszę bardzo – odsunął się robiąc jej miejsce.

Podniosła na niego oczy, uśmiechając się.

– Witaj. – Weszła do środka.

Nie potrafił gotować. Na dzisiejszy wieczór kupił zestaw do szybkiego podania. Makaron, sos, tarty ser. Ewa podeszła do Ani.

– Hej moja droga – kucnęła obok dziewczynki.

Ania, obok skomplikowanego gąszczu linii, zaczęła stawiać cyfry. Ósemki, dziewiątki, zera, jedyńki w szybkim tempie zapełniały wolną część arkusza.

– Wow. Możesz mi powiedzieć co to znaczy?

Dziewczynka nie podnosiła głowy, pisząc z szybkością maszyny. Obserwował Ewę i córkę, jednocześnie podgrzewając sos, ser i makaron. Usłyszał syk wylewającej się wody.

– Cholera – zaklął.

Ewa podniosła głowę. Uśmiechnęła się. Podeszła do niego.

– Daj. – Wzięła ścierkę i przestawiła garnki.

– Nie jestem najzręczniejszy.

– Nie? – popatrzyła mu w oczy.

Jej niebieskie oczy. Zagadkowe a jednocześnie ciepłe. Czuł jakiś niezrozumiały spokój, gdy w nie patrzył. Obserwowały go z uwagą ale jednocześnie z troską. Z jakąś formą akceptacji. Tak to przynajmniej czuł. Pocałować ją. Te ciepłe, czerwone usta. Cóż za absurd – zganił siebie. Patrzył na jej włosy, spadające na lewe ramię. Patrzył jak sprawnie robi to, czego on nie potrafił.

– Przydałaby ci się kucharka.

– Wiele rzeczy by mi się przydało.

– Jak wiele? – odwróciła wzrok w jego stronę.

Spuścił oczy.

– Nie ważne.

– No – powiedziała mieszając. – Daj talerze.

Sięgnął do szafki obok. Wszystko mogło być takie proste. Takie naturalne. Takie jak kiedyś – pomyślał i przez chwilę jego wzrok minął zdjęcie Thelmy wiszące na ścianie. Zauważyła to.

– Twoja żona?

– Mhm.

– Piękna była. A Ania – spojrzała w róg pokoju, gdzie jego córka była pochylona nad kolejnym arkuszem papieru – jest do niej podobna.

To była prawda. Ania była obrazem swojej matki. Ten sam kolor włosów. Te same usta. Tylko... ten brak uśmiechu.

Siedli przy stole. Rozmawiali i śmiali się. Ania jadła mechanicznie. Jak automat. Jak zwykle. Jakby ich, obok niej, nie było. Przez chwilę znów poczuł się jak w domu. Jak w prawdziwym domu. Jakby znów mogło być, jak dawniej.

Wyszli na werandę, pozwalając Ani zająć się swoimi rysunkami. Niebo było ciemne, pochylone gwiazdami nad miastem. Małe miasta mają taką przewagę nad metropoliami, że widać nad nimi gwiazdy, których nie przesłania miejski blask. Teraz wzory z jasnych punktów, porzrzucanych po niebie, widniały nad nimi, zdając się im przyglądać.

– I ... co? – zapytał.

– Masz na myśli?

– Jak się czujesz?

– Super. Prawdę mówiąc to czuję się... Prawie jak u siebie. Prawie jak w domu.

Oparł się o balustradę, patrząc przed siebie. Gdzieś w oddali światła samochodów przemieszczały się pomiędzy niską zabudową. Czuł powiew wiatru na policzkach, na plecach.

– Nie jest ci chłodno?

– Nie no skądże.

– Co myślisz o Ani?

– Super dziewczyna.

Nie odpowiedział.

– Jest ci ciężko – powiedziała cicho.

– Trochę.

– Wiesz...

– Tak?

– Myślę, że mogłybyśmy się... Zaprzyjaźnić. Oczywiście gdybyś tego chciał.

– Zaakceptowałaby cię?

– Tak mi się wydaje.

Znów nie odpowiadał. Nieokreślone uczucie sprawiało, że nie znajdował odpowiednich słów. Chciał ją objąć. Przytulić pod morzem tych gwiazd. Chciał zobaczyć odbicie tych gwiazd w jej oczach. Chciał poczuć jej usta. Jej włosy na swoich policzkach. Chciał. Chciał wszyst-

kiego. Może po prostu jej obecności w swoim życiu, tak trudnym na co dzień. Czy to było możliwe?

– Pan jest zamyślony?

– Nie. To znaczy tak. To znaczy... tak trochę. Wiesz. Nie często mamy gości w domu.

Wysunęła w jego kierunku swoją dłoń. Dotknęła jego ramienia. Odruchowo odsunął się.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie. To ja przepraszam. Wybacz. – Ujął jej dłonie. – Nie jestem już taki jak dawniej. To wszystko... Myślę czasem, że to wszystko mnie przerasta.

Uśmiechnęła się do niego najpiękniejszym uśmiechem, jaki mógł zobaczyć. Czy wolno mu było patrzeć na ten uśmiech? Pić ten widok swoimi oczami? A Thelma? Odwzajemniła uścisk jego dłoni.

– Jeśli nie masz nic na przeciwko, to chciałabym was czasem odwiedzić i wy moglibyście wpaść do mnie. Na przykład w ten weekend.

Ważył w myślach odpowiedź. Wszystkie za i przeciw przechodziły przez jego analizator strat i korzyści. Wreszcie, kierowany jakimś nieświadomym impulsem, odpowiedział:

– Oczywiście. Bardzo chętnie.

Jednocześnie poczuł ulgę. Spokój. Wrócili do salonu. Ewa jeszcze przez długi czas siedziała obok Ani, oglądając efekty jej twórczości. Kilka razy nawet podała jej nową kartkę. Poskładała te leżące na podłodze. Studiowała je wzrokiem.

– Pokazywałaś to komuś?

– Nauczycielki w szkole widziały. Wiesz. Ona ciągle coś rysuje albo pisze.

– Ale czy pokazywałaś to komuś... No wiesz... jakimś specjalistom. To... wygląda na jakąś wersję matematyki.

– Nie chcę żeby mi z dziecka robili maszynę.

– To nie tak. Jej mózg pracuje inaczej niż nasze, ale to nie musi oznaczać niczego złego.

– Chcę... żeby była normalna.

Patrzyła przez chwilę na niego, po czym uśmiechnęła się.

– Myślisz, że coś da się jeszcze zrobić? – zapytał z wahaniem.

– Myślę, że warto próbować i że zawsze są szanse.

– To mowa terapeutyczna? Żeby nie odbierać nadziei?

– Nie. Mówię zupełnie poważnie. Ludzie z autyzmem to też ludzie. Czasami udaje się powoli odbudować ich kontakt z otoczeniem. Nie trzeba tracić nadziei.

Pochylił głowę.

– James.

– Tak?

– Kochasz ją?

– Pytasz się?

– Więc?

– Więc się martwię. Więc mnie to boli.

– Więc. Pozwolisz mi z nią pracować?

Uśmiechnął się.

– Zaczniemy od soboty, jesteście zaproszeni do mnie. Skoro mamy sobie pomagać, to musimy się poznać – złożyła propozycję nie do odrzucenia.

– Pewnie będzie lepsze jedzenie niż u mnie.

– Żebyś wiedział. Ale nie martw się. Mam brata, który jest w tych sprawach jeszcze gorszą fajtlapą od ciebie. Jedyne co potrafi, to spowodować pożar w kuchni.

– Wow. Czym się zajmuje?

– Nie wiem dokładnie. Jest maniakiem komputerowym. Jak wpadniecie, to go przepytasz.

– Mam go... przesłuchać?

– Och... Tylko nie to. Oni. On. To znaczy on, jego koledzy, wiesz... nie mają najlepszego zdania o policji.

– Nie bój się – rozluźnił się – będzie w porządku.

– To dobry chłopak jest.

– Wierzę.

Ze zdziwieniem zauważył, że Ania siedzi spokojnie. Patrzyła się przed siebie. Nie chciała rysować. Nie jadła. Tak jakby oglądała oczami, niewidoczny dla nich film. Musiał być spokojny, ale jednocześnie interesujący.

– Hej – odezwała się do niej Ewa.

Miał wrażenie jakby przez chwilę Ania zrozumiała, albo przynajmniej dotarło do niej to, co do niej powiedziała Ewa.

– Będę już iść – podniosła się.

Calahan również się podniósł. Wzięła torebkę.

– Czyli, do zobaczenia? – zapytała.

– Do zobaczenia.

Podeszła do siedzącej nieruchomo dziewczynki.

– Do widzenia – wyciągnęła dłoń w jej kierunku.

I wtedy stała się rzecz, dla niego, niepojęta. Patrzył jak urzeczony. Ania, nie odwracając głowy, podniosła prawą dłoń i wyciągnęła ją w kierunku Ewy. Dwie kobiety, ta dojrzała i ta dopiero stojąca na progu dorastania, dotknęły się dłońmi. Gest, który jest czymś naturalnym w normalnym świecie, tutaj był zjawiskiem tak niezwykłym, że wzrok Calahana był pełen oniemia. Ania nie pozwalała się dotykać nikomu poza nim, a cóż dopiero wykonać gest w kierunku jakiegoś człowieka.

– Myślę, że się polubimy – powiedziała Ewa, ponownie podchodząc do niego.

– Niesamowite. Chyba masz na nią dobry wpływ.

Ewa jeszcze raz spojrzała na Anię, lekko machając w jej kierunku.

– To do soboty.

Skinął głową i odprowadził ją do drzwi. Patrzył jeszcze długo na światła oddalającego się samochodu.

13.

Piątek, 19 czerwca 2015.

Co jest do cholery? Niejasny niepokój kazał mu otworzyć oczy. Podniósł do góry rękę z zegarkiem. Jasna cholera! Zerwał się na równe nogi.

– Kochanie...!

Rozejrzał się po pokoju. Naczynia w niewielkiej stercie stojące obok zlewozmywaka, drobny bałagan dookoła. Wciągał spodnie, Włożył koszulę z krótkim rękawem.

– Kochanie wstań, musimy się pospieszyć – powiedział wchodząc do pokoju Ani.

Jak to możliwe? Jego organizm pracował jak zegarek od wielu lat. Zwykle budził się o siódmej. Czy ostatnio coś się zmieniło? Zaraz będzie telefon z roboty. Johnson nie przepuści okazji, żeby zapytać, czy mu następny samochód nie nawalił.

– Kochanie... ubierasz się?

Podnosił z ziemi rysunki Ani. Wyjął z szuflady służbową broń i włożył ją w pokrowiec pod pachą. Marynarka. Ania właśnie kończyła się ubierać. Jak to dobrze, że choć takiego stopnia samodzielności udało się ją nauczyć. Boże, gdzie są te kluczyki? Rozglądał się nerwowo dookoła. Słońce właśnie wpadało przez kremowe zasłony. Jasna cholera gdzie ja je wsadziłem? Włożył ręce do przednich kieszeni, nic. Tylne, nic. Marynarka. Cóż za absurd. Nigdy nie wkładał kluczyków do kieszeni marynarki. Nigdy się jednak nie spóźniał do pracy, a musiał jeszcze odwiedzić Anię. Pod opuszkami palców poczuł mały, płaski, kanciasty kształt. Wyjął dłoń z lewej kieszeni. Trzymał niewielki, czarny prostokąt. Obejrzał go. Karta pamięci. Taka jak do telefonu. Albo do laptopa. Bez oznaczeń. Obrócił jeszcze raz. Było w niej coś dziwnego, coś czego nie mógł określić. Zbliżył kartę do twarzy. Zapach! Podniósł ją tuż do nosa. Ten zapach. Zaraz, zaraz... Ten sam zapach, który czuł w szpitalu, gdzie pojechał zobaczyć, co z ofiarą nieudanego lądowania odrzutowca na autostradzie. Ten człowiek, który nagle chwycił się go. Niemożliwe... A jednak żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy.

– Kochanie! – obrócił się w stronę pokoju Ani.

Stała, w pełni ubrana, w drzwiach.

– Świetnie, że jesteś. Śniadanie zjesz już w szkole.

Podszedł do niej. Ciemne włosy, pełne usta i te wielkie piwne oczy. Kucnął przed nią.

– Dobrze, że jesteś.

Wstał, biorąc ją za rękę i rozglądając się za kluczykami. No tak. Leżały na podłodze tuż obok kozetki, na której zasnął. Wyszli z domu.

David Fisticella, który przyjechał wczorajszego dnia zmienić go przy ofierze wypadku odrzutowca, siedział pochylony nad biurkiem, wypełniając jakieś kwestionariusze. Ich praca w połowie składała się z beznadziejnie nudnego, wypełniania stert papierów. Nowa polityka burmistrza. Reengineering procesów publicznych. Banda głupców na publicznych stanowiskach. Granatowoczarne włosy Fisticelli zaczesane były do tyłu i najwyraźniej widać na nich było stosowanie żelu.

– Hej – wyciągnął rękę.

– Hej – odwrócił się Fisticella. – Co chcesz? – Uprzejmość nie należała do jego wrodzonych cech.

– Ta sprawa z wczoraj, co dalej?

– Masz na myśli tego faceta z katastrofy?

– Mhm. – Calahan włożył ręce w kieszenie.

– Wykorkował.

– Wczoraj?

– Wczoraj.

– O której?

– Nie wiem dokładnie. W sumie to, zaraz jak cię zmieniłem, stary odwołał mnie do innej roboty, jakaś rozróżba na mieście, wiesz... rodzina jatka.

– Ale. Wróciłeś tam?

– Nie. Przyszła informacja, że gość nie żyje.

– Jakaś autopsja, sekcja?

– Stary powiedział, że sprawa zamknięta. Nie masz za dużo wolnego czasu?

– Tak tylko pytam.

Fisticella odwrócił się do leżących przed nim papierów, cicho klnąc pod nosem na los policjanta.

Więc tyle wyjaśnił. Prawdopodobny właściciel karty nie żyje. Cała sprawa prawie jak z filmu. Prywatny odrzutowiec ląduje w mieście, na publicznej drodze. Uratowany ma ranę postrzałową. Policijny dozór zostaje zdjęty i pacjent grzecznie umiera. Odwrócił się jeszcze raz do Fisticelli.

– A protokół zgonu przyszedł?

– Mówiłem ci już, że stary powiedział, że to nie nasza sprawa. Coś się człowiekowi tak czepił?

– Nic, nic – odpowiedział Calahan obracając w kieszeni marynarki niewielki plastikowy kształt. Coś musiał z tym zrobić.

Jechał w kierunku szpitala. Może po prostu zostawi tę kartę, by dołączono ją do rzeczy zmarłego i niech ją zabierze ktoś, kto zgłosi się po nie. Szerokim łukiem podjechał na parking pod miejskim szpitalem w Village Heaven. Trzypiętrowy budynek miał fasadę z czerwonej cegły. Szerokie, panoramiczne okna stwarzały wrażenie nowoczesności i przyjazności. Miejsce bólu – pomyślał, wchodząc przez drzwi.

– Dzień dobry. Inspektor Calahan – przedstawił się i pokazał od-

znakę pielęgniarki na izbie przyjęć.

Korpulentna, młoda murzynka o wiśniowych ustach podniosła głowę ze zmęczonym wzrokiem.

– Chodzi mi o pacjenta z katastrofy samolotu. Przywieziono go wczoraj.

– Nie żyje.

– To wiem. Chodzi mi o to, czy zainteresowała się już rodzina. Czy ustalony jest termin odbioru ciała.

– Ciało już zostało odebrane.

– Już?

– Tak.

– Jak to?

– Tak to.

– Przepraszam, ale to chyba niecodzienna praktyka, żeby ciało zabierać w dniu śmierci.

– Zostało zabrane dziś z samego rana. Lekarz wczoraj wypisał akt zgonu. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Który lekarz?

– Doktor Hang Lee.

– Ten sam, który go przyjmował?

– Ten sam.

– Czy mogę porozmawiać z tym lekarzem?

Pielęgniarka zerknęła w komputer. Postukała przez chwilę w klawiaturę.

– Doktora nie ma. Wziął dziś dzień wolny.

– A imię i nazwisko tego pacjenta?

– Gregory Lovson.

Skinął głową i rzucił suche dziękuję. Wyszedł na zewnątrz. W oczy uderzył go blask słońca. O dwunastej robiło się gorąco nie do zniesienia. Przy braku wiatru, powietrze zamieniało się w gęstą, gorącą zupę, z której trzeba było uciekać do klimatyzowanych wnętrz. Wsiadł do auta. Ruszył.

– Janet? – wywołał dyżurną koleżankę w miejskiej jednostce policji.

– Aha?

– Możesz mi podać adres zamieszkania doktora Hanga Lee?

– Chwilę.

Mijał samochody stojące wzdłuż alei, parkujące z jej prawej strony. Sięgnął do góry, opuszczając osłonę przeciwsłoneczną. Kierownica emanowała nieprzyjemnym ciepłem, musiała się nagrzać w czasie, gdy samochód stał na parkingu przed szpitalem.

– Siedemnasta południowa aleja. Numer 256.

– Dzięki – rzucił i rozłączył się.

Czy stary przyczepi się, że draży sprawę, o której powiedział, że jest już zamknięta? Miał to w nosie. Sięgnął odruchowo raz jeszcze do kieszeni. Plastikowy kształt oparł się o jego dłoń. Cholera! Zahamo-

wał ostro. Przed maską samochodu przebiegł właśnie pies. Ruszył ponownie. We wnętrzu robiło się przyjemnie chłodno. Ruchy kierownicą były łagodne, miarowe. Nie spieszył się. Świat za szybami skąpany w, spadającym z nieba, żarze.

Posesja doktora Lee, była jedną z wielu przy siedemnastej południowej alei. Duży piętrowy dom z białą fasadą i dekorowanym kwiatami ogrodem. Nacisnął przycisk dzwonka. We wnętrzu rozległ się gong. Jeszcze raz. Stał, rozglądając się dookoła. Okraszona kolorami kwiatów płaszczyzna trawnika spływała ku ulicy wysadzonej szeregiem drzew. Za jasnym teraz pasem asfaltu mieścił się szereg podobnych domów. Naciskanie dzwonka nie przynosiło efektu. Położył dłoń na gałce drzwi. Spróbował ją obrócić. Nie ustępowała. Westchnął z rezygnacją. Zamiast ruszyć w stronę samochodu, odruchowo skrzył w lewo, wzdłuż fasady budynku. Boczna ściana miała tylko jedno okno na górze. Prawdopodobnie istnieje wyjście z tyłu na ogród – pomyślał. Gdy ponownie skrzył, przekonał się, że miał rację. Wśród ozdobnych krzewów stała niewielka altanka z drzewa. Z tej strony domu, na ogród prowadziły szerokie, przeszklone drzwi.

– A niech mnie – zaklął.

Drzwi były uchylone. Wszedł do środka.

– Halo!

– Dzień dobry! – ponowił wołanie.

– Czy jest tu ktoś?

Odpowiadało mu milczenie i przyjemniejsza od spiekoty na zewnątrz, chłodniejsza temperatura wnętrza. Żaluzje w oknach były przysłonięte, w środku panował przyjemny półcień. Znajdował się w dużym salonie z kominkiem, wielkim stołem, dwiema narożnymi kanapami i fotelami, w których pewnie można było spać.

– Halo! – nawoływał, idąc ostrożnie przez wnętrze. Wyjście z salonu prowadziło na korytarz. Drzwi, po prawej stronie na jego końcu, były uchylone.

– Halo – wołał ponownie, robiąc kolejne kroki. Pchnął ręką drzwi.

– Cholera – wyrwało mu się.

Na łóżku, w sypialni, do której wszedł, leżał doktor Hang Lee, albo raczej jego ciało. Podszedł szybko, kładąc dłoń na tętnicy szyjnej. Beznadziejne. Czuł chłód ciała.

– Jasna cholera – zaklął po raz kolejny.

Wyjął komórkę. Zaraz. Rozejrzał się. Pokój tonął w bieli. Jedyne meblami było łóżko oraz niewielka komoda w kolorze orzechowym. Na komodzie stało japońskie drzewko bonsai. Ciało Lee leżało na łóżku, w pozycji nie wskazującej na jakieś nadzwyczajne okoliczności. Nacisnął przycisk komórki.

– Janet?

– Tak?

– Znalazłem trupa.

– Gdzie?

- W tym mieszkaniu, którego adres mi podałaś.
- Kim jest denat?
- A jak myślisz? Wydaje mi się, że to nasz doktor.
- Przysłać kogoś?
- Nie wiem. Przekaż staremu. Nie widać śladów walki ani włama-
nia. Ale dziwne mi się to wydaje.
- Dobrze. Poczekaj tam. Zaraz ktoś przyjedzie.
- I ktoś ze szpitala też – dorzucił.
- Mhm.

Rozłączył rozmowę. Popatrzył jeszcze raz na ciało Hanga Lee. Buty, spodnie, rozpięta pod szyją koszula. Okulary w grubej, ciemnej oprawce leżały obok głowy na poduszce. Tak jakby je tam odłożył i położył się spać. Trochę za dużo tych zagadkowych śmierci. Najpierw ta niewytłumaczalna katastrofa. Potem ten uratowany z raną postrzałową. Teraz doktor. Miał niejasne przeczucie, że w dokumentacji medycznej szpitala nie znajdzie informacji o postrzale hospitalizowanego pacjenta. Stary odwołał Fisticellę. Potem pacjent posłusznie umiera. To nie nasza sprawa.

Wyszedł na zewnątrz przez drzwi frontowe. Czasami zdarzały się takie sprawy, do których lepiej się było, po prostu, nie dotykać, które brudziły ręce, z których nic dobrego nie wynikało. Tyle, że nigdy nie miał z taką do czynienia. Skoro to nie była już ich sprawa, to musieli ją komuś przekazać. Komu? Poczul chęć zapalenia papierosa. To już pięć lat jak rzucił, ale nałóg odzywał się od czasu do czasu. Zwłaszcza gdy jakiejś luce w czasie towarzyszyła niepewność albo napięcie, tak jak teraz, gdy oparł się plecami o białą fasadę domu Hanga Lee. Przy-
mknął oczy. Czuł. Przepływ wiatru, kołysanie się liści drzewa, które rzucało cień na fronton posesji, kto wie, może czuł istnienie całego świata, który właśnie teraz, w tej właśnie chwili, jemu Jamesowi Calahanowi prezentował tę jedną, jedyną, niepowtarzalną chwilę istnienia.

Usłyszał dźwięk sygnału. Szpitalny ambulans i samochód patrolowy z jego jednostki podjeżdżały właśnie pod dom. Przywitał się z Fisticellą. Więc to właśnie jego wysłali. Lekarze weszli do środka. Fisticella wypytał go pobieżnie o okoliczności odnalezienia zwłok. Resztę dopowie na miejscu. Ruszył z powrotem.

14.

Sobota, 20 czerwca 2015.

Jechał spokojnie. Łagodnie mijane łuki, światła na skrzyżowaniach, wszystko zdawało się emanować spokojem i porządkiem. Lekki chłód klimatyzacji i dźwięk z radia wprawiał go w nastrój, jakiego od dawna nie czuł. Rzucił okiem na wyświetlacz – „Sigur Ros: Viðrar Vel Til...”. Muzyka jak na zawołanie – pomyślał. Rzucił okiem w lusterko. Ania siedziała zwrócona twarzą w stronę mijanego krajobrazu. Rozwinięte palmy na wysokich pniach, ludzie, domy, inne samochody. Czy ona je widziała? Czy przetwarzała na sobie tylko znaną postać? Tak bardzo chciał dzielić z nią swój świat. Czy nie jest tak, że to czego pragniemy najbardziej, to dzielić się z kimś, tym co mamy? Wyjść poza siebie? Skreślił w prawo. Sprawdzając mapę przed wyjazdem, zorientował się, że Ewa mieszka w niewielkim apartamentowcu – ostatnie piętro. Zatrzymał się na światłach.

– Wszystko dobrze kochanie?

Miał na sobie świeżo wyprasowaną koszulę, dokładnie ogolony, pachnący. Zachowywał się jak chłopak przed pierwszą randką. A przecież, nie będą sami. Ania nie odpowiedziała. Znów jechał. Powietrze nasycalo się powoli wieczorem. Pełniejsze, cieplejsze barwy, jakiś większy spokój na ulicach, w oczach ludzi, w ich ruchach, jakby nieco zwolnionych. Jakby napięcie noszone przez nich w trakcie dnia, gdzieś z nich spadało i mogli nareszcie być sobą. Co to znaczy być sobą? Czy on był sobą? Czy Ania była sobą? Zobaczył w oddali grupę apartamentowców. Podjechał pod właściwy, muzyka stała się głośniejsza. Przez chwilę siedzieli tak po prostu, słuchając. Będąc. Ze sobą. Odwrócił się do córki.

– Chodź kochanie, pójdziemy do Ewy.

Być może powinien powiedzieć: do tej pani albo do cioci, albo użyć jakiegoś innego stwierdzenia. Muzyka stała się tak głośna, że ją wyłączył. Jak wszystko w życiu. Dochodzi do szczytu a potem... Otworzył drzwi, Ania wysiadła. Wziął ją za rękę. Spojrzał do góry. Czy to ten balkon?

– Witajcie. – Ewa stała rozpromieniona w progu, w kremowej bluzce na cienkich ramiączkach i w jasnej, beżowej spódnicy. Cała w tym swoim uśmiechu.

– Hej – odpowiedział oglądając się jednocześnie na Anię.

– Dzień dobry – Ewa pochyliła się w kierunku Ani.

Brak reakcji.

– Świetnie, że wpadliście. Wchodźcie – zaprosiła ich do wnętrza.

W niewielkim przedpokoju znajdowało się kilkoro drzwi, ostanie na lewo były otwarte. Za nimi szeroki pokój z barwnym dywanem na

podłodze. Staroświecki stół stał na samym środku. Na jego blacie, wąski flakon z brązowego dymionego szkła, a w nim róża. Jedna. Ciemnoczerwona. Rzędy półek z książkami i pamiątkami dekorowały ścianę, na lewo od drzwi. Na wprost, szeroko otwarte drzwi na balkon, przez które wpływało nieco chłodniejsze już – niż w pełni dnia – powietrze.

– Bardzo się cieszę, że przyszlście – Ewa złączyła dłonie w kształt kołyski. – Siadajcie – wskazała obszerną kanapę. – Zaraz coś podam. Ach, już, już. Greg! – zawołała głośno. – Greeeg!

Po krótkiej chwili, w drzwiach wejściowych pokazała się niezwykła sylwetka. Greg Wiszniewski był niższy od swojej siostry. Był także młodszy, co nie było jednak łatwe do zauważenia, gdyż dzięki obszernej budowie ciała, bogatej czuprynie i czarnej wielkiej brodzie, przypominał bardziej krasnoluda z tolkienowskich opowieści, aniżeli brata delikatnej i zmysłowej pani psycholog.

– Cześć – podszedł zdecydowanym krokiem do Calahana.

W jego sposobie poruszania się, w głosie, była jakaś nuta całkowitej bezpośredniości, dla której konwenanse, zwyczaje i savoir vivre, są całkowicie poza zakresem postrzegania. Calahan uściskał nieco pulchną dłoń. Uścisk był mocny i krótki.

– Cześć mała.

Ręka Grega zawisała w powietrzu. Przez chwilę Calahan chciał coś wyjaśnić. Ale Greg stał tak przed Anią z wyciągniętą nadal dłonią. Muszę coś powiedzieć – brzmiało w myśli Calahana, ale równocześnie coś kazało mu czekać, patrzeć. I nagle. Ania zaczęła podnosić głowę. Greg nadał patrzył na nią tymi swoimi bezpośrednimi oczami. Jaki on miał kolor oczu? Piwny jak Ania. W końcu ich oczy spotkały się. I Greg, uśmiechnął się. Kiwnął dziewczynce głową.

– Hej – powiedział cicho.

Wzrok to było wszystko, co Ania mogła mu dać. Ale to i tak było wiele. W większości wypadków nie nawiązywała kontaktu wzrokowego. Calahanowi zrobiło się ciepłej na widok reakcji jego córki. Czy to przeznaczenie czy cholerny przypadek? Cholerne przypadki się w życiu zdarzają. Nie wiedzieć czemu, zwykle przewidujemy te przykre, tymczasem może się zdarzać przecież coś dobrego. Ewa. Teraz ten zaróżniony, dobroduszny krasnolud, cały w pomiętym dzinsie i w jakimś podkoszulku nieokreślonego koloru.

– Widzę, że właśnie się zapoznaliście – powiedziała Ewa wchodząc z tacą pełną wysokich szklanek, na których pojawiły się niewielkie krople wilgoci, sygnalizując, iż zawartość naczyń jest znacznie chłodniejsza od otoczenia. – Greg Wiszniewski, James Calahan. A teraz proszę – postawiła szklanki na stół – częstujcie się, zaraz będzie coś na ząb.

Spojrzała na Grega.

– Mógłbyś się trochę ogarnąć. – W jej głosie zabrzmiała nuta rezygnacji.

– Daj spokój – zaproponował Calahan.
Odpowiedział mu ruch spuszczonego oczu Ewy.
– Prawdę mówiąc, to... gdybym nie wiedział, to nie pomyślałbym, że jesteście rodzeństwem.
– Różnimy się – uśmiechnęła się Ewa.
– Ja reprezentuję wyższy poziom rozwoju – dodał nieco rubasznie Greg.
– Macie różne nazwiska?
– Ja też byłam Wiszniewski. Przepraszam, nie mówiłam ci. Hughes mam po mężu. Nie żyje. – Twarz Ewy spoważniała.
– Hej, tu wszyscy są imigrantami.
– Nasi dziadkowie przyjechali tu z Polski. Stare dzieje. Nawet już nie mówimy po polsku.
– Ja mówię – zaproponował Greg i dodał natychmiastowo – kurwa mać.
Ewa wydeła usta z dezaprobatą.
– Nauczył się od swoich kolegów w sieci.
– Po prostu docieram do swoich korzeni moja droga.
– Może lepiej jakbyś dotarł do jakiegoś krawata i porządnej koszuli.
– Ach te kobiety. – Greg usiadł przy stole i wziął do ręki chłodną szklankę. – Ewa zawsze miała zdolności – oznajmił z ukontentowaniem, smakując zawartość.
Ania patrzyła przez balkon. Jakby dostrzegała, gdzieś poza nim, coś ważnego. Coś, co zajmowało całą jej uwagę.
– Idźcie sobie pogadać na balkon, a ja zabiorę na chwilę Anię ze sobą.
– Pójdziesz? – zapytał Calahan, patrząc na córkę.
Ewa podeszła do niej, kucając z jej prawej strony.
– Chodź, pokażę ci moje królestwo. – Wyciągnęła dłoń w kierunku dziewczynki.
Ania podniosła swoją rękę i włożyła ją w dłoń Ewy. Zrobiło się cicho. Ewa z Anią wyszły z pokoju.
– Ewa mówiła mi.
– Mhm – odpowiedział zdawkowo Calahan.
– Zna się na tym. Poza tym to wspaniała dziewczyna. Wiesz... starsza siostra. Zawsze miała, względem mnie, opiekuńcze zapędy. Nasi rodzice zginęli w wypadku, gdy miała siedemnaście lat. Ja miałem wtedy jedenaście. Poza tym jest psychologiem.
– A ty, czym się zajmujesz?
Przeszli na balkon. Miasto niżej cieszyło się każdym stopniem spadku temperatury. Otwarte ogródki kafejek wypełniały się gośćmi. Rozpoczął się czas wspólnej zabawy, biesiady, śmiechu. Balkon był wyjątkowo duży. Długi na pięć, szeroki na półtora metra. Stały na nim dwa wiklinowe fotele i stolik. Usiedli. Calahan poczuł pod plecami przyjemne skrzypienie wikliny.

– Jestem wolnym człowiekiem – odpowiedział Greg.

– To znaczy?

– Trochę pracuję jako programista, poza tym współpracuję z kolegami przy różnych projektach.

– Można na nich zarobić?

– Tu nie chodzi o zarobek. Tu chodzi o to, żeby coś robić.

– I co takiego robicie?

– Różnie. Pracujesz w policji... – Greg patrzył uważnie na Calahana.

– To nie tak – pokręcił głową Calahan. – Nie jestem tu jako policjant. Możesz mówić spokojnie.

– Aha, jak na spowiedzi?

– Masz na myśli tę w kościołach katolickich?

– Aha.

– Jasne. Możesz mówić jak na spowiedzi. Coś ci powiem. Jesteś bratem niezwykłej kobiety. Tak między nami. Nie wierzę, żebyś mógł być złym człowiekiem.

– Jasne. – Greg założył nogę na nogę, sącząc drinka zrobionego przez Ewę. Napój miał lekko zieloną barwę. Pewnie z kiwi, kaktusa i odrobiny tequili.

– Czyli jesteś tym, jak to mówią, maniakiem komputerowym – kontynuował Calahan.

– Można tak powiedzieć. Internet i komputery to jedna z ostatnich przestrzeni wolności w tym świecie.

Przez umysł Calahana przemknęła, jakaś nie do końca widoczna, myśl. Coś czego nie mógł uchwycić, ale wiedział, że jest istotne. Rozluźnił się. Pociągnął drinka. Patrzył przed siebie. Niebo nabierało koloru ciemnej czerwieni. Z powodu braku chmur, purpura zachodzącego słońca rozlewała się po całym widnokręgu, najsilniej tuż nad horyzontem, stopniowo przechodząc w fiolet i głęboki ciemny granat. Odgłosy z dołu dochodziły stłumione. Słyszał jakąś latynoską muzykę z oddali. W dłoni czuł chłód szklanki, w ustach słodko-kwaśny smak napoju. Wziął głęboki oddech. Odstawił szklankę. Opuścił ręce.

– Słuchaj Greg. Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

– Jeśli to nie będzie napad na bank...

– Nie potrafiłbyś się włamać do banku?

– Czy ja powiedziałem, że nie potrafiłbym?

– Słuchaj. Mam taką kartę. Kartę pamięci.

– I?

– I próbowałem ją odczytać w domu, ale bez rezultatu.

– Może jest zepsuta.

– Może.

– Pewnie macie tam specjalistów od takich rzeczy.

– Pewnie mamy.

Zapadła cisza między nimi. Paleta barw przed nimi zdawała się nie mieć końca.

– Ale nie chcesz im dać tej karty do odczytania?
– Chciałbym ją najpierw sam sprawdzić.
Greg wyciągnął otwartą dłoń w kierunku Calahana.
– Mam w samochodzie – powiedział Calahan, podnosząc się.
– Przyniosę.
– Wedle życzenia – odpowiedział z uśmiechem Greg.
James, wychodząc, zajrzał do kuchni. Ewa stała przy blacie, krojąc warzywa i mówiąc coś do Ani. Dziewczynka siedziała, nieco dalej, na wysokim krześle, twarzą zwrócona do gospodyni domu.
– Rozmawiacie?
– Tak – uśmiechnęła się Ewa. – Opowiadam jej o moim dzieciństwie. Jak byłam małą i jak pierwszy raz tato zrobił nam latawca. Robiłeś kiedyś latawca? – Calahan pokręcił przecząco głową. – Musicie kiedyś spróbować. Szczególnie na plaży. Tam jest dobry wiatr, który porывa latawce i... – urwała na chwilę – marzenia.
Calahan uśmiechnął się i wyszedł po mały, intrygujący go, czarny przedmiot. Być może dzięki Ewie dowie się czegoś więcej. Cała sprawa okazała się więcej niż dziwna. Prowadzenie wszelkich czynności zostało przekazane NSS. Dowiedział się o tym swoimi prywatnymi kanałami, gdyż oficjalnie nikt mu nie chciał tego powiedzieć. Gdy Johnson zorientował się, że Calahan rozpytuje o temat i pojechał do tego lekarza, wezwał go do siebie. W krótkich żołnierskich słowach, zapytał go czy wie gdzie ma głowę i gdzie chce ją wsadzić. Gdy Calahan odpowiedział, że na pewno nie w miejsca, w których można ją stracić, Johnson spojrzał na niego przez chwilę w milczeniu. Takie gesty nie zdarzały się staremu. Zawsze mówił, co mu leżało na wątrobie i nigdy niczego nie owijał w bawełnę. Te dziesięć sekund milczenia w pokoju dowódcy powiedziało Calahanowi wszystko. To nie były przelewki. To były naprawdę sprawy, w których można było dosłownie stracić głowę. Rozumiał, że Johnson nie może mu wszystkiego powiedzieć. Dziękował w duchu staremu za ten gest. Sprawa cuchnęła jak stąd do Waszyngtonu. Rozumiał to i położył uszy po sobie. A jednak. A jednak została mu ta pieprzona karta. Próbował ją odczytać w domu. Włożył do czytnika, ale komputer twierdził, że karta nie jest sformatowana i proponował formatowanie na nowo. Wyjął ją. Zastanawiał się co dalej począć. Teraz nadarzyła mu się okazja. Pilot otworzył centralny zamek samochodu. Sięgnął na tylne siedzenie. Jego marynarka. Poczul w dłoni znajomy kształt. Włożył go do kieszonki na piersi. Co mi pokażesz maleńka? – zobaczył w swoich myślach pytanie.

15.

Patryk Lindqvist wracał z kilkudziesięciminutowego spaceru. Potrzebował tych spacerów. Stały się dla niego niemal formą narkotyku. Gubił się w samotności, zapadał w otchłań bezludności, uciekał w księżycowy, pozbawiony ludzi krajobraz. Od czego uciekał? A może zupełnie przeciwnie. Może jak himalaiści, jak ludzie stający twarzą w twarz z żywiołami, szukał. Szukał tego, co przekracza codzienne doświadczenie, zabieganie, zatroskanie, planowanie, kalkulacje. W człowieku jest jakaś wiedza, która pcha go do takich czynów, do wycieczek ze znanego w stronę nieznanego. Słyszysz się wtedy wewnątrz jakieś wołanie, którego niepodobna zrozumieć ani odczytać. Ale które sprawia, że idziemy przed siebie, szukając tego, czego nie znamy, przekraczając samych siebie. Patryk po prostu wędrował. Szare, poszarpane skały, dzika przyroda, głębokie cienie rzucane przez położone nisko słońce, szlaki na których nie spotykał żadnej ludzkiej istoty. Czy szukał siebie? Czy ostatecznie rzecz biorąc, nie szukamy właśnie siebie? Tego prawdziwego siebie. Tego co przekracza wszystko o czym jesteśmy w stanie pomyśleć, a co jest na wyciągnięcie ręki, na jeden mroźny oddech, na gest w deszczu i w śniegu, na ślad odcisnięty w mchu, co porasta skały.

Gdy dzisiaj spacerował, zatrzymał się na płaskowyżu, patrzył na morze. Było wzburzone. Szumiące. Gwałtowne. Przetaczało swoje wzniesienia fal, przez szarą przestrzeń. Czy chciało mu coś powiedzieć? Czy morze coś mówiło? Co mówiło ludziom patrzącym z tego płaskowyżu: sto, tysiąc lat temu? Ruszył z powrotem. Chłód i szarość obejmowały go zewsząd. Nie było drzew, które mógłby szarpać zimny wiatr. Gdy wędrował tymi odludziami, gdy szedł, stał, patrzył, gdy nie myślał, coś w jego głębi się budziło. Nie potrafił tego nazwać ani dotknąć. Ale nie potrafił też zaprzeczyć, że coś nienazwanego czuje. Pewnie człowiek jest czymś więcej. Czym? Szlak prowadził go z powrotem do domu, który tu zbudował. Krok za krokiem wracał.

Otworzył drzwi Perłowej Zatoki. Objęło go ciepło i jasność. Adam, jak zwykle spokojny i elegancki, witał go w progu.

– Gdzie pani?

– Jest u siebie.

– Przekaż jej, że chciałbym z nią dzisiaj popłynąć.

– Kiedy?

– Za dwie godziny.

Schody niosły go na górę. Do jego świątyni, do jego marzeń, do jego największej gry życia. Jak właściwie do tego doszło? Jak to się stało, że znalazł się tu na Islandii, żeby zainicjować swój największy eksperyment. Życie jest nieprzewidywalne – tyle przychodziło mu na myśl, gdy cofał się wstecz. Gdy oglądał oczami wyobraźni dni, noce i

zdarzenia, które ostatecznie przyprowadziły go tutaj. Kim był? Czy miał jakieś zadanie? Czy mamy w życiu jakiś plan, jakieś powołanie? Nie wierzył w to. Chociaż nie mógł zaprzeczyć, że po latach, zaczął ponownie brać na poważnie pod uwagę wiarę, jaką mu wpajano w dzieciństwie. Wiarę w Boga, który gdzieś tam, czuwa nad wszystkim. Tyle, że wierzył po swojemu. Wywołał panel kontrolny i usiadł wygodnie przy biurku. Ściemnił szyby w oknach, tak że zapanował przyjemny półmrok. Przed nim, w przestrzeni, unosiły się kolorowe elementy systemu. Serce pulsowało stałym, znanym mu, rytmem. Ścieżki komunikacji ze światem zewnętrznym miały zielononiebieski kolor. Z prawej strony na dole, rytmicznym światłem połyskiwał sygnalizator nadchodzącego połączenia. Przyjrzał mu się przez chwilę. Kapituła? Wyraził zgodę na otwarcie transmisji. Naprzeciwko niego ukazał się trójwymiarowy obraz siedzącego, starszego mężczyzny. Mężczyzna miał bujną siwą brodę. Ubrany był w jasnokremowy garnitur, błękitny krawat i takąż chusteczkę w kieszeni marynarki. Jego buty były brązowe, z rękawów marynarki wynurzały się, zapięte złotymi spinkami, mankiety.

– Henryk?

– Patryk.

Przez chwilę obaj mężczyźni nie odzywali się do siebie, mierząc się nawzajem wzrokiem.

– Dotrzymałeś umowy – zaczął Henryk.

– Miałeś wątpliwości?

– Ja nie.

– Rozumiem.

– To ostatni przekaz.

Patryk poprawił się w fotelu.

– Rozumiem.

– Zamykamy fizycznie kopułę oraz punkt dowodzenia.

– Naturalnie.

– Szkoda. – Twarz Henryka wyrażała autentyczną troskę.

– Nie.

Henryk uśmiechnął się.

– Zawsze miałeś własne zdanie.

– Dlatego mnie chcieliście.

– Rzeczywiście – pokiwał głową Henryk. – Patryku, wiesz co będzie dalej.

– Tak.

– Wszystkie systemy są już odpowiednio zaprogramowane. Wystąpią niewielkie fluktuacje z tym związane. Wiesz... sygnały polityczne. Ale to nie będzie poważne.

– Kiedy?

– Jutro.

– Dokładniej?

– Zobaczysz.

– No tak – uśmiechnął się Patryk – nie da się ukryć, że... zobaczą. Na własne oczy – dodał.

– Taki był twój wybór.

Patryk pokiwał głową, nic nie odpowiadając. Henryk Mitchell był spikerem Kapituły do spraw kontaktów zewnętrznych. Jednym z wysokich jej przedstawicieli. Nie najwyższym rzecz jasna. Ci nigdy nie podejmowali kontaktów bez istotnej potrzeby. Delegowanie Henryka było dowodem pewnego rodzaju uznania, z jakim spotkała się w Kapitulie jego postawa. Gdy zgłosił rezygnację i decyzję o emigracji na Islandię, wiedział, że wchodzi na bardzo cienki lód. Kapituła nikomu nie pozwoliła na taki gest. Zrobili dla niego wyjątek, dla swojej największej nadziei, która się okazała największym zawodem.

– Wycofujemy lustro – powiedział Henryk – teraz już nie ma ono znaczenia, i... możesz już zdjąć prezent od nas.

– Naturalnie – zgodził się Patryk i odruchowo spojrzął w kierunku złotego zegarka na bransolecie, który założono mu trzy lata temu.

Henryk wstał. Patryk również. Mimo wszystko. Byli to niezwykli ludzie. Mimo tego, że oddali się temu szaleństwu. Patrzyli sobie przez dłuższy czas w oczy. Tak jakby chcieli odczytać nawzajem swoje myśli, swoje emocje, to co się kryło za cienką warstwą skóry, czaszki i zwojów komórek nerwowych.

– Swoją drogą ten twój eksperyment, muszę przyznać, wzbudził nie tylko moją ciekawość.

– Cieszę się.

– Chyba uzyskasz wkrótce odpowiedź. Mówię to bez ironii – zachnął się Henryk. – Sam zacząłem się zastanawiać.

– I?

– Nie. Ale to ciekawe.

Patryk pokiwał głową.

– Więc?

– Więc...

Obraz zgasł. Nie padło ostatnie słowo. Nie zostało wypowiedziane pożegnanie. Ostatnie jakie mogło być. Może nie wszystko ludzie powinni wypowiadać. Może jakaś część ich psychiki, marzeń, snów, powinna zostać nieopowiedziana, niewypowiedziana. By w ten sposób zaprotestować przeciw bluźnierczemu podejrzeniu, że istnieje tylko to, co znajduje wyraz, formę, zostanie zapisane, utworzone, zobaczone, usłyszane. Gdy tymczasem całe morze, tego co niewypowiedziane, jest w nas. Potężne. Bezbrzeżne. Sama nasza istota. Tak przynajmniej myślał Patryk. Dlatego nie zdziwiło go to nagłe zakończenie. Zupełnie odwrotnie. Było tak głośne i tak dosłowne, że nie dało by się go lepiej wyrazić żadnymi słowami. Był wolny. W końcu był wolny. Zostało mu nie więcej niż trzydzieści sześć godzin życia. Chyba, że... Chyba, że oczywiście jego eksperyment... – nie dokończył myśli. Przywrócił obraz panelu kontrolnego. Położona zawsze dyskretnie z tyłu po lewej stronie, bładoniebieska płaszczyzna lustra, zniknęła z panelu. Obrócił

dłońmi obraz. Układ elementów podążał w przestrzeni za jego ruchami. Przysunął do siebie zbiór procesów rdzenia. To była prawda. Lustro zostało odłączone. Nie było nawet śladów po komunikacji z nim. Lustro to był system nadzoru, zainstalowany przez Kapitułę w jego własnym systemie. Odzwierciedlało wszystko co robił. Całą komunikację, która miała miejsce. Elementy fizyczne lustra mieściły się na orbicie i dodatkowo w stały sposób dozorowały wszystko co robił, i co się działo w jego otoczeniu. Miał także tę smycz, osobisty kontroler z przekaźnikiem zapięty na jego lewym przegubie. Takie były warunki kontraktu. Warunki zgody Kapituły na jego trzyletnie, dobrowolne wygnanie na Islandii. Całkowita przejrzystość. Nie zawiódł ich. Zresztą, najmniejsza próba przeciwstawienia się lub ujawnienia cze-
gokolwiek, spowodowałaby jego natychmiastową likwidację. W zależności od potrzeby, byłby to pocisk hipersoniczny albo odpowiednio wzmocnione promieniowanie, przesłane via satelita. Ale teraz już z tym wszystkim koniec. Odsłonił szyby. Uśmiechnął się. Czas ruszyć na morze. Jeszcze jeden raz.

Odwrócił się jeszcze jeden raz do panelu. Podniósł w górę element łączności z przekazem medialnym na świecie. W przestrzeni unosiło się szesnaście obrazów z najważniejszych kanałów informacyjnych. Sceny z Kaszmiru, sceny z Palestyny, Chiny. Zaniepokojeni politycy z Waszyngtonu, mediacje i uspokojenia. Wszystko to było jak muzyka. Każda z osobna informacja składała się na jeden dźwięk, na wibrację która powstawała w umysłach odbiorców. Jest może trochę kłopotów. Pojawiły się napięcia między państwami dysponującymi nuklearnymi arsenałami. Jednak to przejściowe trudności, których przejściowości dowodzą informacje sportowe, programy kulinarne oraz doniesienia z kim przespała się gwiazda pływania synchronicznego. Śmieszyli go politycy. Albo, może raczej, budzili jego litość. Jego litość budzili też zwykli ludzie. Teraz dopiero czuł odrazę do Kapituły, do tych, którzy stali za każdym zdarzeniem, którzy nadawali kierunek procesom na świecie, dla których ludzie byli tylko liczbami, które nie zgadzały się w docelowym rachunku. „Jedli i pili, żenili się i za mąż wydawali aż do dnia...” – przypomniał mu się cytat. Uśmiechnął się. Czy niemożliwe jest możliwe? Czy to właśnie tak ma być? Tłumy pijane nieświadomością, zanurzone w codzienności, myślące ciągle o jutrze? Patrzył przez okno. W miarę jak patrzył, myśli jego cichły, emocje wypogadzały się. Przez chwilę zaczynał być jednością, z tym co widział. Z, poszarpaną wiatrem i deszczem, szarą przestrzenią pod grubym dywanem sinych chmur. Czy wyjdzie jeszcze słońce? Słońce na Islandii bywa piękne, choć nie tak ciepłe jak gdzie indziej. Jest raczej światłem, strunami przestrzeni, niżli ciepłem, które przejmuje i rozleniwia. Teraz go nie było. Z prawej i z lewej strony, ku zatoce, spadały wulkaniczne zbocza. Mgła snuła się, ukrywając ich szczyty. Lubił być sam na sam z tym krajobrazem. Twarzą w twarz, z... tym co jest. Uśmiechnął się. Będą płynąć.

16.

– Spędzasz tyle czasu na tych swoich komputerach.

Wiatr porywał włosy Ingrid, które niesfornie wysuwały się pod grubej chustki. Tuż nad horyzontem pokazał się przebłysk światła. Kilka stopni ponad linią morza. Złotawożółty promień przebił się, na chwilę, przez warstwę chmur. Powierzchnia wody zyskała życie, kolor. Grzywy fal stały się pienisto-złote. Doliny między ich grzbietami błysnęły zielenią. Piegi na twarzy Ingrid zdawały się być, na nowo, zapomnianymi śladami słońca. Niewielki nowoczesny jacht, którym wypłynęli ze specjalnie zbudowanej dla Patryka prywatnej przystani, kołysał się miarowo na falach. Silnik napełniał wibracją całą konstrukcję. Czuć było w powietrzu rozbitą pianę fal, pomieszaną z łagodnym wiatrem. Wokół nich rozciągał się bezmiar przestrzeni. Z prawej strony, strome języki skał Aldaviku wrzynały się w morze, jaśniejając teraz w poziomych promieniach słońca jaśniejszym, przyjaźniejszym kolorem.

– Chciałabym tak kiedyś płynąć i płynąć.

Patryk nie odpowiadał, wpatrzony w horyzont.

– Nie wiem. Na koniec świata – kontynuowała.

Trzymał spokojnie koło sterowe. Jacht zwolnił. Ustawił automatyczne prowadzenie. Płynęli teraz prosto w słońce. Między nimi a jasną kulą nad horyzontem, rozsnuwały się nici blasku. Patryk podszedł do burty.

– Nie będziesz się odzywał?

Popatrzył na nią. Na jej grzywkę wystającą spod chusty, na jej ciekawe oczy, pełne policzki.

– Też bym chciał.

– Co takiego?

– Płynąć.

– Gdzie?

– Nie wiem. Bez końca – pokręcił głową. – Chyba jest w nas, jakieś pragnienie. Nieskończoności. Tego aby było nieskończenie. Bez granic. Bez... – zawahał się.

– Dokończysz?

– Nie wiem jak to wypowiedzieć.

Żółty promień słońca zgasł przysłonięty chmurami. Wokół nich, na powrót zrobiło się szaro i chłodno. Chłód jest bardziej przenikliwy, gdy brak jest słońca. Zdaje się wtedy wnikać pod kurtkę, pod ubranie, wsączać pod skórę, mrozić człowieka. Silnik cicho mruczał, ledwie popychając jacht. Morze uspakajało się. W oddali, od skalistego klifu, oderwała się chmura ptaków.

– I... co tam u ciebie, w tych komputerach?

– Małe problemy.

– To znaczy?

– Wystąpiło nakładanie się programów. Przestrzenie adresowe w pamięci świata, to jest systemu emulującego świat, zostały wykorzystane jednocześnie przez dwa programy.

– Jak do tego doszło?

– Wszystkiego się nie da przewidzieć. Elementem konstrukcji, którą zbudowałem, jest pewien próg nieprzewidywalności. Pojawiają się anomalie, usterki z którymi system musi sobie radzić, musi je jakoś obsługiwać.

– I... jak je obsługuje?

– Pokazuje jeden program, jedną osobę – poprawił się – jako nałożenie dwóch.

– Nie rozumiem?

– Pozostałe programy otrzymują informację, że ten program zamiennie funkcjonuje jako jedna lub druga osoba. Czasowo następuje zamiana nakładających się na siebie programów. Nie ma innego wyjścia. Na razie – dokończył.

– Jak to funkcjonuje: raz jako jedna, raz jako druga osoba?

– Nakładanie się osobowości. Rozdwojenie osobowości, możesz to nazwać jak uważasz.

– I oni to tak nazywają?

– Tak im to podpowiada ich świat.

– Ale przecież u nas – zawahała się – też się to zdarza. To znaczy. Czytałam o tym. Zupełnie podobnie. Jakby dwóch, albo więcej ludzi, funkcjonowało w jednym ciele.

Patryk nie odpowiadał. Szara kurtka z białym kołnierzem szczerle go opinała, siwe włosy delikatnie poruszały się z wiatrem. Patrzył teraz na skały Aldaviku. Morze rozbijało się o nie. Od tysięcy lat. Zanim jeszcze ludzie pojawili się na Ziemi. O ile to właśnie tak się działo. Co jest poza? Poza tym wszystkim. Poza ostrymi krawędziami schodzącymi w kołyszące się wiecznie morze. Poza gorącymi gejzermi we wnętrzu wyspy. Poza lotem ptaków. Poza nim samym...

– Czy tych usterek. No wiesz. Tych anomalii. Nie możesz po prostu wymazać? Cofnąć? Tak jakby nigdy nie miały miejsca?

– Nie mogę.

– Bo?

– Bo one są elementami świata wszystkich programów.

– To znaczy?

– To znaczy, że każdy program ma zapisaną, spójną ze sobą, wiedzę na temat tego, jaki jest świat. Nie mogę zmienić elementów świata wstecz, bez zniszczenia obrazów rzeczywistości, które utworzyły sobie wszystkie programy. To jest zbyt powiązane. W zasadzie stanowi jedną całość. Choć jak widać, z usterkami.

– Czyli nie jesteś wszechmocny?

– Nie. Nie w tym sensie.

– A w jakim sensie?

– Nie wiem. W takim, że utrzymuję to wszystko. Że mogę niemal

wszystko. Ale nie mogę zmienić świata, który już mają wpisany we własny obraz. To wszystko się zbyt krzyżuje.

– Więc to wszystko, to tylko krzyżujące się informacje? Które ten twój system, świat – jak go nazywasz – dostarcza stale jego mieszkańcom, to znaczy tym twoim programom?

– Dokładnie.

– I?

– I?

– I ty myślisz, że w naszym przypadku jest tak samo?

Pokład jachtu nieznacznie przechylił się na większej fali i powrócił do poprzedniego położenia. Chciałbym tak płynąć bez końca – pomyślał Patryk. Oparł się o metalową barierkę. Zaciśnął na niej dłonie. Z całej siły. Był cały tym uściśnięciem. Puścił.

– Myślę, że tak – odpowiedział, zwracając się do Ingrid.

– To znaczy, że dostajemy po prostu informacje? Że ja nie istnieję, że ty nie istniejesz, że to wszystko tylko jakaś ohydna gra?

– Nie.

– Jak to nie?

– To nie jest ohydna gra.

– A co to jest? Paranoja, w którą wpadłeś przez te swoje poronione eksperymenty?

– To jest po prostu możliwe.

– Że co? Że mi się zdaje, że jestem?

– Że nie istniejemy... w jakimś obiektywnym sensie.

– Tylko w jakim cholernym sensie, twoim zdaniem?

– Może w takim, że istniejemy w czymś, co nas utrzymuje, co utrzymuje świat, co jest inteligentne, co koreluje wszystkie odbierane przez nas informacje ze sobą i z wzorem, który my odbieramy jako świat.

Ingrid nie patrzyła na niego. Jej twarz była napięta smutkiem.

– Ingrid – ujął jej ramię.

– Nie chcę tego słuchać.

– Nie musisz.

– To są bzdury.

– Możliwe, że są.

– Istniejemy naprawdę.

Nie odpowiedział.

– Istniejemy naprawdę! Słyszysz?! Nawet pastor tak uczył!

Nadal nie odpowiadał. Nie miał ochoty na dalszą dyskusję.

– Nic nie powiesz?

– Skoro wymieniłeś już wielbego Johansona, to czy pamiętasz historię Mojżesza i płonącego krzewu?

– Bo?

– Pamiętasz jak Mojżeszowi przedstawił się Bóg? Jakiego imienia użył do określenia siebie?

– Ja jestem, który jestem.

- No właśnie.
- Co właśnie.
- No właśnie. Imię to coś, co wyróżnia, w tym wypadku wyróżnia Boga. Imię to istota, to coś wyróżniającego nazwany imieniem byt, spośród wszystkich innych bytów.
- I?
- I nie zastanawia cię, co Bóg podaje jako swoje imię, jako swój wyróżnik?
- Jestem, który jestem. To taki kalambur. Nie potrafimy tego zrozumieć.
- A co jeśli Bóg mówi po prostu: „Jestem, który jestem. A wy nie jesteście, tak jak ja jestem”? Może on różni się od nas tym, że faktycznie jest. Jest przez duże Jot. Istnieje. To go właśnie wyróżnia i to otwarcie mówi. Tylko my nie potrafimy przyjąć tej oczywistej prawdy, że my nie istniejemy. Tak jak on istnieje.
- Tylko jak istniejemy?
- Istniejemy jako jego projekcje. Jego myśli. Jego wola. Jako formy jego miłości.
- Odbiło ci teologicznie?
- Nie wiem.
- Chcesz powiedzieć, że Bóg to wielki komputer, nie wiem, umysł, który nas myśli i dlatego jesteśmy, że nas myśli? I myśli dla nas świat i pozwala nam w swoich myślach robić różne rzeczy?
- Tak właśnie sędzę.
- To jest niedorzeczne.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Bo to niemożliwe.
- Dlaczego?
- Bo to wszystko istnieje. Istniejesz ty, istnieję ja, istnieje ta łódka, uderzyła ręką w wewnętrzną część burty. Widzisz? Istnieje!
- Takie odbieramy informacje.
- Wiesz – popatrzyła na niego z troską – zaczynam się o ciebie martwić.
- Pomyśl. Gdyby ta burta istniała obiektywnie, niezależnie od wszystkiego. Czy mogłabyś przełożyć przez nią rękę.
- Nie.
- Pamiętasz opis cudu, kiedy Jezus przyszedł do uczniów mimo zamkniętych drzwi.
- Naprawdę się o ciebie martwię.
- Ale pamiętasz. Że drzwi były zamknięte. I że przyszedł przez te drzwi?
- Pamiętam i co?
- Czy to byłoby możliwe, gdyby drzwi istniały niezależnie i obiektywnie? Przecież wtedy nikt nie mógłby przez nie przejść.
- Przecież to był cud!
- Cud?

- Cud. Cud. Cud. Nie słyzałeś o cudach?
- Słyzałem. – Statek zakołysał się mocniej – Ale czy cuda nie są wyłącznie nazwą naszej niewiedzy? Określeniem tego, że zdarzenia, tak opisywane, całkowicie przeczą temu co myślimy o rzeczywistości? Skoro Bóg posiadając ciało, mógł przejść przez drzwi, to widocznie dla niego, w realnym świecie przez niego postrzeganym, nie były one drzwiami, czyli tym czym są dla nas.
- Nie nie były.
- Dlaczego?
- Nie wiem. On jest Bogiem.
- Więc czym dla niego były drzwi?
- Nie wiem, były czym tylko chciał.
- Może były dla niego tym, czym były naprawdę. Tworzoną przez niego, myślaną przez niego informacją. Informacją, którą my od niego odbieramy.
- Jesteś męczący.
- Możliwe. Chcę ci tylko uzmysłowić, że jeśli drzwi są czymś innym dla nas, a czymś innym dla niego, to na pewno nie są tym, czy my myślimy, że są: niezależnie i obiektywnie istniejącym elementem rzeczywistości.
- A nie może być tak, że to po prostu Bóg, jako ten wszechmogący może wszystko? Może przechodzić przez drzwi?
- Ale znów. Te drzwi są drzwiami tylko dla nas. Nie dla niego. Odbieramy rzeczywistość, która jest realna dla nas, ale nie jest realna w ogóle, niezależnie, obiektywnie. Dla nas jest. Ale to dlatego, że takie o niej otrzymujemy informacje. Cud dowodzi, że ta nasza rzeczywistość, dla niego nie jest wcale niezależna, ani istniejąca, ani rzeczywista, tak jak my to rozumiemy. Czyli nie jest taka, w istocie rzeczy, jak ją sobie wyobrażamy. Być może jest myślą, informacją tworzoną i przekazywaną na nasz użytek.
- Niech ci będzie. Mam już dość tej rozmowy.
- W porządku.
- Jak w ogóle możesz tak myśleć?
- Dlaczego? Co w tym złego?
- Jak możesz w ogóle myśleć, że nas nie ma?
- Jesteśmy. Tylko zupełnie inaczej niż nam się to wydaje.
- Inaczej niż się to tobie wydaje.
- Możliwe.
- Teraz rozumiem – patrzyła mu prosto w oczy.
- Co takiego.
- Tym swoim eksperymentem, chciałeś udowodnić, że to jest możliwe.
- Że jesteśmy tylko myślami? Że świat, który odbieramy, to tylko informacja?
- Dokładnie.
- Na początku... Wiesz... – urwał w pół zdania. – Nie. Nie taka była

moja intencja. Nie po to uruchomiłem ten eksperyment. Ale w trakcie jego rozwoju, budowania świata oraz poszczególnych programów, pomyślałem, że faktycznie mogę w ten sposób zweryfikować moje przypuszczenia.

– Zimno mi – ściągnęła ramiona. Chustka łagodnie falowała na wietrze. Jej policzki nabrały rumieńców. Podszedł i objął ją ramieniem. – Przerwij to – powiedziała zdecydowanie.

– Chcesz tego?

– Chcę. To nieprawda.

– Dla nich...

– Przecież oni nie istnieją.

Przesunął się za jej plecy, obejmując ją rękami.

– Oni nie istnieją, prawda? – pytała natarczywie.

– To zależy.

– Od?

– Od kontekstu albo, innymi słowy, od punktu widzenia.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że z ich punktu widzenia istnieją rzeczywiście.

– Jak najbardziej.

Skuliła się jeszcze silniej.

– Patryku. Co ty zrobiłeś?

– Nie wiem. Mówiłem ci tyle razy.

– Czy ty możesz zobaczyć to? To znaczy ten świat, który oni widzą, ich?

– Tak.

– Ich oczami? Tak jakbyś był jednym z nich?

– Nie. Tak nie.

– A jak?

– Mogę to widzieć z pozycji widza, z dowolnej pozycji. Mogę to oglądać jeśli chcę. Tak myślę. Nigdy tego nie robiłem. Ale nie mogę być jednym z nich. To znaczy. Technicznie, mógłbym spróbować, ale wymagałoby to podłączenia mojego mózgu do systemu.

– I?

– Szczerze mówiąc, bałbym się. Prawdopodobnie straciłbym kontrolę nad systemem, stałbym się jego elementem. To zbyt niebezpieczne.

– Ale możesz ich zobaczyć? Jak się zachowują, co widzą, gdzie są, jak idą spać.

– Tak, to możliwe. Mogę utworzyć projekcję dowolnego fragmentu mojego świata.

– Obejrzymy go dzisiaj? – wtuliła się w niego.

– Tak – odpowiedział całując jej włosy.

Pokładowy komputer zawrócił jacht z powrotem w kierunku przystani. Bezmiar oceanu przed dziobem powoli zaczął się obracać, by ustąpić miejsca stromym stokom Aldaviku. Ich wystrzępione linie schodziły ku morzu. Gdzieś pomiędzy nimi, zdawały się błyszczeć

światła Perłowej Zatoki, miejsca ciepła i schronienia w tym odludnym krajobrazie. Miarowy rytm silnika łączył się z kołysaniem pokładu. Stali przytuleni do siebie. Ingrid lekko odchyliła głowę, opierając się o Patryka. Zamknęła oczy. Czuła tylko kołysanie i obejmujące ją ramiona męża. Na policzkach poczuła drobne krople wody. Chciała być już w domu.

17.

Patryk patrzył na Serce, tuż przed nim. Czuł jeszcze na skórze wilgotny wiatr, który im towarzyszył w czasie rejsu. Miał dziś po raz pierwszy pokazać Ingrid to, co stworzył. Magiczny sześcian, położony na samym dole hali, którą zbudował pod Perłową Zatoką, połyskiwał zmiennymi barwami. Wielobarwne fale światła miarowo przetaczały się po jego powierzchni. Zasilanie zaprojektował z niewielkiego ogniwa atomowego. Mogło działać setki lat. Zielenie przechodziły w czerwienie, zlewały się z żółciami. Chwilami Serce stawało się całe błękitne, to znów zapadało się w głęboki fiolet, granat, ocierało się o czerń. Nigdy jednak nie „przestawało bić” – jak określał jego pracę. Położył na nim swoje dłonie. Przymknął oczy. Czuł ciepło. Pulsujące ciepło i wibrację. Zdawało mu się, że czuł tryliony informacji przetwarzane w ułamkach nanosekund, tworzące jeden niepowtarzalny, wewnętrzny świat, ze wszystkimi jego szczegółami, niuansami. Największym wyzwaniem, przy budowaniu tego świata, było dla niego zapewnienie rzeczywistej nieprzewidywalności działania programów. Programy same współtworzyły swój i jego „świat”. Kształt rzeczywistości nie był więc dla niego, do końca przewidywalny. Mogło to prowadzić do naruszenia stabilności systemu. Ostatecznie jednak udało mu się zaplanować nad trwałością „świata”. Niepewność i niewiadoma, anomalia i brak jednoznacznych odpowiedzi w specyficznych sytuacjach, stały się elementem jego perfekcji i niezaprzeczalności.

Przez chwilę zastanawiał się, jak to dzisiaj będzie? Jak zareaguje Ingrid? Co zobaczą? Ale to nie było już ważne. Ciągłe dostrzegał u siebie pragnienie kontroli. Kontroli nad przyszłością, kontroli nad tym co się stanie, w najdrobniejszych fragmentach. Przewidzenia, ułożenia, zapewnienia. Chcemy mieć przyszłość, chcemy mieć świat – wiedział to jak nikt. A może sensowniej jest reagować na to, co w danej chwili po prostu jest, aniżeli przewidywać swoje reakcje na to, co wydarzy się w przyszłości. Zamówił korzenne wino, owoce i ciepły koc na ten wieczór. Taki z owczej wełny, który drapie skórę, daje odczuć swoją powierzchnię, którym można się otulić i poczuć go jako coś rzeczywistego, w odróżnieniu od plastiku udającego naturę we wszystkich niemal dziedzinach życia.

Popatrzył jeszcze przez chwilę na swoje dzieło, po czym wyszedł schodkami na platformę hali. Ciepłe światło, o składzie odpowiadającym popołudniowemu słońcu nad jakimiś tropikalnymi wyspami, wprawiało go w dobry nastrój. Światła biegingy po prostopadłościennych kolumnach ustawionych rzędami na hali. To kwestia komunikacji. Wykonał drobny gest dłonią. Prostopadłościanny przygasły, natężenia światła spadło, niemal poczuł ciszę. Wszedł do windy. Wyniosła go na pierwsze piętro. Uśmiechnął się. Adam nie zapomniał o dzbanie wody z miętą i cytryną. Wyłączył przepuszczalność szyb, niewielka

lampka paliła się przy długim, niskim stoliku, stojącym wzdłuż szerokiej kanapy. Podeszedł do biurka, kilkoma gestami zaprogramował sterowanie procesami, tak by wygodnie mogli wszystko oglądać z Ingrid.

Drzwi otworzyły się, nie były dziś ustawione na sprawdzanie gości. Ingrid miała jasne, opięte spodnie, kwiecistą bluzkę, i cieniutki biały sweter. We włosach niewielką, brązową spinkę.

– Pięknie wyglądasz. – Rzadko mówił jej komplementy.

– Dzięki – odpowiedziała, stając na środku i rozglądając się dookoła. – Wskażesz mi miejsce?

– Proszę – odpowiedział, wskazując kanapę.

Ingrid usiadła, opierając się o pufiaste oparcie, podciągnęła nogi i objęła je ramionami. Koc był jasny, w ciemno czerwony wzór, odzwierciedlający jakieś nieznanne kwiaty albo może jedynie abstrakcję kwiatów, jaka powstała w umyśle artysty. Usiadł koło niej.

– Więc? – zapytała.

Nic nie mówił. Przestrzeń wokół nich zdawała się gęstnieć, przygasać, wibrować. Ingrid bardziej skuliła się w sobie. Zobaczyli wnętrze dużego pokoju. Za jego oknami najwyraźniej panował mrok, na prawo na niewielkim biurku, jarzył się ekran komputera. Duża kanapa na środku. Przed nią niewielki stolik z walającymi się szczątkami pizzy. Telewizor stojący przy ścianie milczał. Przez okno wpadało światło latarni z ulicy. Odwrócony do nich plecami mężczyzna podeszedł właśnie do, położonej z boku, lodówki. Światło z jej wnętrza na chwilę odkryło kolory pomieszczenia. Mężczyzna sięgnął do wnętrza. Wyjął butelkę piwa. Podeszedł z nią do okna. Sprawnie ją otworzył. Podniósł do ust. Miał jakieś trzydzieści pięć lat, postawny i przystojny, w dżinsowych spodniach i rozpiętej wypuszczonej koszuli z krótkim rękawem. Ingrid ujęła Patryka za ramię, przytulając się do niego. Mężczyzna pociągnął kolejny łyk, patrząc w okno. Odstawił butelkę. Ruszył w stronę widocznych w półmroku drzwi. Gdy je uchylił, z wnętrza następnego pokoju, dobiegł słaby błysk światła. Ingrid przechyliła głowę, żeby zobaczyć co jest w środku. Obraz przesunął się. Zobaczyli śpiącą dziewczynkę. Jej kasztanowe, rozpuszczone włosy, ścielące się po poduszce. Piękną dziewczęcą twarz. Mężczyzna pochylił się. Stał tak przez chwilę. Zagryzł wargi, patrząc na śpiące dziecko. Ujął delikatnie koc, poprawił. Dziewczynka przekreśliła się na bok, lekko podciągając kolana. Mężczyzna wykonał gest, w kierunku niewielkiej lampki stojącej przy łóżku i pokój zalał mrok. Wychodząc zostawił uchylone drzwi. Podeszedł do niewielkiego biurka z laptopem. Na ekranie widniała strona Facebooka ze zdjęciem przystojnej kobiety. Kobieta ze zdjęcia uśmiechała się. Zdjęcie zrobione najwyraźniej nad wodą, bowiem w tle, za jej włosami, błękit mieszał się ze słońcem. Mężczyzna siedział i patrzył. Zamknął okno ze zdjęciem. Następnie, opuszczając ekran laptopa, zamknął komputer. Butelka z niedopitym piwem stała na parapecie okna. Mężczyzna ciężko położył się na kanapie, naciągając na siebie ciemny koc i podkładając jakąś, nieokre-

ślonego koloru, poduszkę pod głowę. Zapadał w sen. Jego oddech stał się coraz równiejszy, aż przybrał formę powtarzalnej fali, ruchu wahadła, miarowego sygnału, że jego świadomość spadła w czeluść nieświadomości.

– Czy oni mają sny?

– W ograniczonym zakresie.

– Czy nas słyszą?

– Nie.

– Więc nie są tacy sami jak my? – Ingrid mówiła szeptem.

– Nie są.

– A ty. Ty mógłbyś się stać jednym z nich?

– To znaczy?

– No, tak żeby cię widzieli, żebyś widział to co oni.

Uśmiechnął się.

– Matrix?

– No nie wiem.

– Mógłbym. Ale...

– Ale?

– Mówiłem ci. To byłoby niebezpieczne.

– Bo?

– Bo musiałbym pozwolić centralnemu systemowi, sterować dopływem wszystkich możliwych doznań do mojego mózgu. Musiałbym dodatkowo wykonać jakieś specjalne łącze, by nie utracić całkiem kontaktu z Sercem. Inaczej, mógłbym się nie obudzić z takiego snu. Albo, oszaleć.

– A gdybyś to jednak zrobił?

– Wtedy byłbym dla nich...

– Bogiem? – dokończyła

Nie odpowiadał.

– Ty wiesz, że to jest chore.

– Nie wiem.

– To wszystko jest jakimś szaleństwem.

– To możliwe.

Patrzyła na widok rozpościerający się przed nimi.

– Czy czas... u nich. Płynie tak samo jak u nas?

– Nie. To znaczy, może płynąć znacznie szybciej albo wolniej niż u nas.

– A teraz?

– Teraz płynie tak samo.

– Kto to jest?

– James Calahan, inspektor policji.

– A tamta dziewczynka. To jego córka?

– Anna.

– A ta kobieta z ekranu komputera, której tak się przypatrywał?

– Jego sympatia.

– Ładna.

– Mhm.

– Chciałbyś mieć taką?

Odwrócił twarz w jej stronę. Ich oczy spotkały się. Przez chwilę poczuł chęć spotkania jej ust. Czuł jej dłonie, oplatające jego lewe ramię. Wykonał delikatny ruch w jej stronę. Cofnęła głowę patrząc badawczo na niego.

– Czy ty się pytasz, czy ja mógłbym się zakochać w wygenerowanej postaci kobiety? – zapytał z lekkim niedowierzaniem.

– Nie wiem. Zapytałam po prostu.

Znów pochylił się w jej stronę. Tym razem się nie odsunęła. Być może nie miała gdzie. Pierwszy dotyk ust był jakiś sztywny, spięty. Całował ją delikatnie, wyrozumiale, ciepło. Odpowiedziała. Dotknęła językiem jego warg. Ich usta spotkały się na długą chwilę, w której żadne z nich nie przechowywało żadnej myśli, żadnego marzenia, żadnej innej świadomości, poza odczuciem drugiej osoby. Wyprostował się.

– Czy oni...? – przerwała pytanie.

– Tak?

– Czy oni umrą? Umierają?

– Jeszcze nie.

– A co będzie z nimi gdy umrą? Tam, w tym twoim świecie.

– Nic.

– To znaczy?

– Zawartość programu, wszystkich wrażeń, wszystkiego czego doświadczył w ciągu swojego... no wiesz, życia, zostaje zapisana do banku pamięci. Nie są dostarczane do niego żadne nowe dane.

– Czyli nic nie widzi. Czyli ciemność. Czy to nie okropne?

– To nie tak.

– Tylko jak.

– Bieg programu jest zatrzymywany. Nie da się powiedzieć, że odbiera cokolwiek. Ciemność, jasność, ciepło, zimno. Nic takiego nie ma miejsca.

– A co ma miejsce?

– W sumie. Z punktu widzenia programu jest tak, jakby nigdy go nie było.

– Ale on jest. Tam. W tym twoim banku pamięci.

– Jest.

– I jak na przykład chciałbyś go ponownie uruchomić, to pamiętałby i wiedziałby wszystko, co mu się przydarzyło? I wiedziałby znów, że jest?

– Mogłoby tak być.

Ingrid przygryzła wargi. Puściła jego ramię. Objęła ponownie swoje kolana. Obrócił do niej pytająco twarz. Czy mu się wydawało, czy widział łzy w jej oczach.

– To obrzydliwe. Dlaczego ty to robisz?

Mrok przed nimi był niemal bezgłośny. Klatka piersiowa Jamesa

Calahana poruszała się miarowym rytmem. Uchylne drzwi do pokoju jego córki pozostawały nadal w odległości około kilkunastu centymetrów od futryny. Po wewnętrznej ścianie przesunęło się odbicie światła, przejeżdżającego na zewnątrz samochodu. Noc tężała, obejmując wszystko swoim dotykiem.

18.

Piątek, 26 czerwca 2015.

Jak niemal tydzień wcześniej, James Calahan znów jechał swoim samochodem, w kierunku apartamentowca położonego przy nadmorskim bulwarze. W pracy same standardy, może poza telefonem Ewy z propozycją ponownego spotkania. Czemu nie. Ania dobrze reagowała na jej towarzystwo. Ewa potrafiła, w jakiś sposób, dostosować się, nawiązać z Anią kontakt. Dość, że jego córka, która teraz siedziała na tylnym siedzeniu z twarzą utkwioną w oknie, znosiła bliskość z Ewą bez żadnych gwałtownych reakcji. Dodatkowo, może dowie się czegoś o tej karcie pamięci, którą zostawił brodatemu krasnoludowi, jak w myślach nazywał Grega. Ściszył nieco muzykę. Spojrzał na wyświetlacz – „Sigur Ros”. Czy nie pamięta skądś tej nazwy? Wysokie słupy latarni, na przemian z palmami, stały wyprostowane po prawej stronie alei. Dalej na prawo szumiał ocean. Skręcili łagodnie w lewo w kierunku widocznych już apartamentowców.

– Witajcie kochani – powitała ich w progu Ewa.

James uścisnął jej dłoń. Zawahał się. Wciąż nie pozwalał sobie na pocałunek, choćby w policzek. Był taki niezręczny. Nie, żeby nie chciał. Nie potrafił. Czuł się jak chłopiec, który wypchnięty przez innych, wypada na scenę zalaną światłem reflektorów i nie wie co ze sobą zrobić. Usiłuje przebić wzrokiem ścianę, spadającej spod sufitu jasności. Dostrzec oczy tych, którzy są naprzeciwko. Dostrzec do nich.

– O Ania. Witaj moja droga. – Ewa podeszła do dziewczynki. Ania zatrzymała się tuż za progiem. – Proszę wchodzić.

Calahan ujął delikatnie córkę za rękę. Wyczuł w niej jakieś napięcie. Zupełnie niezrozumiałe tym razem. Ania już była przecież tutaj i reagowała bardzo dobrze, zarówno na Ewę jak i na Grega. Tym razem było jakoś inaczej. Nie potrafił określić, na czym dokładnie polegała ta różnica. O dziwo, nie był to lęk, który towarzyszył Ani przy standardowej zmianie otoczenia. Raczej zauważał w niej rodzaj pobudzenia. Jakby gwałtownie i szybko o czymś myślała. Jakby nastąpiło coś, co sprawiło w niej jakąś niezwykłą, wewnętrzną mobilizację. Jej dłoń – tak teraz to odczuł – była cieplejsza niż zwykle.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z czułością.

Nie odpowiedziała. Patrzyła spokojnie przed siebie. Jednak jej klatka piersiowa podnosiła się w szybszym, niż zwykle, rytmie. Dla osób, które jej nie znały, ta różnica mogła być niezauważalna, ale Calahan widział ją w całej oczywistości i budziło w nim to niepokój.

– Witam władzę tego świata. – Niewielki wzrostem, ale masywnej budowy, sympatyczny brodac powitał go w salonie.

Ewa stała z lewej strony, przy ladzie, nalewając do szklanek wodę

ze świeżym sokiem z cytryny. Jej długie blond włosy spadały na jasną, obcisłą bluzkę. Co za biodra – nie omieszkał zauważyć, patrząc na spódnicę dopasowaną do jej ciała.

– Witaj Greg komputerowy geniuszu.

– No nie przesadzałbym, chociaż z drugiej strony, powiem ci szczerze – tu zrobił pauzę i zbliżył się, by wyszeptać Calahanowi coś ważnego – nienawidzę fałszywej skromności.

Calahan się roześmiał.

– Widzę, że moi panowie już się przywitani. – Ewa podeszła z wysokimi szklankami, na których skraplały się drobiny pary wodnej.

– Wymieniamy zawodowe uprzejmości – odpowiedział Greg.

– Chodź moja droga – Ewa obróciła się w stronę Ani – będziemy rysować przy stole, a mężczyźni sobie trochę pogadają.

Ania na poły posłusznie, na poły mechanicznie, ruszyła w stronę dużego brązowego stołu. Usiadła na jednym z krzeseł i wyprostowała się, patrząc przed siebie.

– O tu – powiedziała Ewa, przynosząc i kładąc na stół stos kartek papieru i przybory do pisania. – Narysuję ci jak pierwszy raz zapamiętałam las. Dobrze?

Ewa wzięła do ręki długopis.

– Mieszkaliśmy wtedy w Kalifornii. Tam rosną takie ogromne, ogromne drzewa. Każde z nich może żyć nawet tysiąc lat. Pamiętam, że wznosiły się hen, hen do góry. – Dłoń Ewy prowadziła długopis, kreśląc na białej przestrzeni papieru pionowe linie. – Gdy podnosiłam głowę, myślałam, że nigdzie się nie kończą. Aż zobaczyłam na niebie ptaka. – Postawiła niewielką poziomą kreskę ponad tymi pionowymi.

Rytm jej dalszej opowieści i kolejne elementy obrazu, którym mówiła do Ani, zaczęły odsuwać się z pola świadomości Calahana. Wszystko było w porządku. Lubiły się. Jak słowo honoru, lubiły się. Czy coś z tego będzie? Usiadł obok Grega. Naprzeciwko nich na niewielkim, kwadratowym, niskim stoliku stał laptop programisty.

– No i? – zagadnął Calahan.

– No i coś w tym jest.

– To znaczy?

Greg uderzył palcami kilka klawiszy i na ekranie otworzyło się okno.

– Widzisz? – wskazał na okno.

– Mhm.

Na ekranie widniała zawartość karty.

– Więc dało się odczytać?

– Dało i nie dało. System plików reiserfs. Nic dziwnego, że twój komputer nie chciał tego przeczytać.

– A twój chciał?

– Ta. No problem.

– Więc?

– Więc problem jednak jest.

- To znaczy?
 - Widzisz ten dokument? – tu Greg wskazał wyciągniętym palcem na pierwszą linijkę w oknie.
 - No widzę, ale co z tego?
 - Jest zaszyfrowany.
 - No i?
 - No i nie da się go odszyfrować.
 - Nie potrafisz?
 - Nie. – Greg cofnął się i oparł plecami o miękką pufę.
 - Dlaczego? Słyszałem od Ewy, że jesteś taki komputerowy guru.
 - Chłopie. Jestem. I jako guru mówię ci, nie da rady. Skąd ty to wytrzasnąłeś?
 - Mniejsza o to.
 - Mniejsza – przerwał na chwilę. – To jest szyfrowane kluczem asymetrycznym. Wiesz co to jest?
 - A powinienem?
- Greg westchnął ciężko.
- Klucz asymetryczny składa się z dwóch połówek. Rozumiesz? Tak jakbyś kij złamał albo kartkę przedarł na dwie połowy. Obie do siebie pasują i jak weźmiesz jakąś inną, to pasować nie będzie.
 - OK?
 - Więc to ma jeszcze taką cechę, że to co zaszyfrujesz połówką publiczną, może być odszyfrowane tylko przy pomocy drugiej połówki, tej prywatnej. Tą częścią, która posłużyła do szyfrowania, nie można zdeszyfrować wiadomości. Połówkę publiczną mamy, ale tej prywatnej już nie.
 - Ale jak mamy tę no, jedną połówkę, to czy nie można na jej podstawie odtworzyć drugiej?
 - Można.
 - To czemu tego nie zrobimy?
 - Bo to długo trwa.
 - Jak długo?
 - Za długo.
 - Możesz jaśniej?
- Ewa cicho mówiła coś do Ani. Zaproponowała jej, że teraz każda z nich będzie coś rysować. Położyła przed nią kartkę, a sama zaczęła tworzyć obraz swojego domu, takiego jakim go zapamiętała z dzieciństwa. Tym razem jednak kształt domu tworzyła z cyfr. Jedyinki, zera, dziewiątki, układane obok siebie w linie i kształty, zaczynały tworzyć zarys domu położonego na wzgórzu. Ewa opisywała, jak z Gregiem wychodzili na ścieżkę wiodącą do lasu, jak szumiały drzewa, jak oglądając się widzieli słup dymu, wydobywający się z komina. Wzrok Ani powoli zwrócił się w kierunku arkusza leżącego przed Ewą, wypełnianego się cyframi tworzącymi kształty.
- Mogę – odpowiedział Greg. – Żeby odtworzyć, zrobić – poprawił się – prywatną połówkę klucza, którą moglibyśmy zdeszyfrować ten

plik, potrzebuję dwóch liczb pierwszych. Muszę je znać. Te dwie liczby pomnożone przez siebie, stanowią główną część klucza publicznego, to znaczy tej publicznej połówki. Rozumiesz? Iloczyn. Jedno pomnożone przez drugie.

– Miałem matematykę w szkole – zachnął się Calahan.

– Więc ten iloczyn znamy, jest jawny. Zaraz ci go pokażę. – Greg nachylił się w kierunku stojącego na stoliku komputera i wykonał kilka czynności. Na ekranie pokazało się okno wypełnione cyframi.

– Co to jest?

– To jest właśnie ten iloczyn.

– Trochę duży.

– No właśnie, 4096 bitów. Niespotykana, nawet teraz, długość.

– I nie ma metody, żeby znaleźć te dwie liczby, które go tworzą?

– Wyobraź sobie, że nie ma. Dla krótszych kluczy takie metody istnieją, ale już klucz o długości 1024 bitów przyjmuje się za nie do złamania. Trzeba po prostu próbować w ciemno, dzielić ten iloczyn przez kolejne liczby.

– No to dzielmy, przecież to komputer, może to robić sam.

– No tak. Tylko jakbyśmy dali to zadanie najszybszemu komputerowi na Ziemi, to wszechświat się skończy, a on nadal będzie liczył.

– Trochę nie fajnie – zmarszczył czoło Calahan.

– Ano – ponownie rozparł się Greg. – Gdyby...

– Gdyby?

– Gdyby tak udało się skonstruować komputer kwantowy. Kto wie.

– A uda się?

– Pożyjemy, zobaczymy. Na dzisiaj tego pliku nie zdeszyfrujemy.

– James? – Ewa stała przed nimi. – Chodź, chcę popatrzeć z tobą na niebo – mrugnęła okiem.

Calahan popatrzył na Anię. Siedziała wyprostowana przy stole. Nie pisała, nie rysowała. Zdradzała znów te objawy napięcia, które zaobserwował, gdy weszli do mieszkania Ewy. Podszedł do niej.

– Aniu. Chodź, usiądziesz obok wujka Grega, a ja porozmawiam z Ewą.

Dziewczynka wstała i posłusznie przeszła kilka metrów w kierunku kanapy. Usiadła w odległości około metra od Grega. Calahan patrzył niezdecydowany na córkę. Wziął ze stołu kartkę papieru i ołówek i położył obok córki.

– Masz. Jakbyś chciała panu Gregowi coś narysować.

Czując ulgę, wziął Ewę pod ramię i wyszli na balkon. Jej ramię było szczupłe. Typowo kobiece. Niechcący musnął wierzchem dłoni brzeg jej piersi. Wiecznie bzdury w głowie – zganił się. Oparł łokcie na barierce balkonu. W oddali, na błękitnym niebie, wałęsały się bez troski białe, postrzępione chmury. Linia oceanu, teraz skrząca się w słońcu, zdawała się oddalać od nich w morzu błękitu. Było ciepło. W zasadzie parno.

– Co chciałaś mi powiedzieć?

Miała umalowane oczy. Delikatnie, ale w taki sposób, który podkreślał ich naturalne piękno. Na czym zasadzało się to piękno? Tego nie potrafił sobie uświadomić. Odczuwał po prostu jakieś przyciągnięcie. Jakaś chęć by w tych oczach się zanurzyć, by w nie patrzeć, by się w nich zapomnieć.

– Myślę, że ja i Ania nawiązujemy jakiś kontakt.

– Serio?

– Myślę że tak – odwróciła twarz do niego. – Myślę, że twoja córka tęskni.

– Za domem?

– Za domem, za uczuciem – urwała – może za matką.

Calahan pochylił głowę. W dole, rzędy ukwieconych balkonów spadały aż do szarego chodnika ułożonego z dużej brukowej kostki. Jakaś matka z wózkiem, właśnie wychodziła z apartamentowca. Dwaj chłopcy nieopodal grali w piłkę. Thelma. Ból, związany z odejściem żony, na nowo zabłysnął w jego sercu. Skrzywił się mimo woli.

– Co ja mogę zrobić?

– Może... ja coś mogłabym zrobić.

– To znaczy?

Chcesz zastąpić jej matkę? – pomyślał.

– Myślę, że mogłabym spróbować utworzyć z nią nową więź. Więź realną, rzeczywistą. Relację, która mogłaby jej pozwolić na powolny, bez lęku, powrót do świata.

– Myślisz, że to możliwe?

Ewa nie odpowiadała, patrząc przed siebie. Na rozrzuconym przed nimi, połyskującym w słońcu dywanie oceanu, pojawiło się kilka białych kształtów. Żagle. Ludzie ciągle żeglują. Ciągle tęsknią do przetrzeźnienia, do wolności, do czegoś, czego sami do końca nie są świadomi.

– Myślę, że to możliwe – odwróciła się do niego.

Boże jakie ona ma włosy – pojawiła się myśl w jego świadomości. Jej włosy kołysały się na lekkim wietrze. Spadały strumieniami na jej ramiona. Kolor słońca. Pełnego słońca. Czy on się zakochawał? Czego ona właściwie oczekiwała? Czego on oczekiwał? Czy byli oboje prowadzeni ku sobie, jakąś nieznaną im siłą? Jakimś uwarunkowaniem, którego choć nie widzieli, to je odczuwali? Czy mogła wydobyć Anię ze stanu w jakim się znalazła? Przywrócić ją życiu? Czy mógł znowu usłyszeć słowa córki? Te jedyne słowa, które pieścił w swoich wspomnieniach, w swoich marzeniach, w swoich snach... Tato.

– Chciałbym – odpowiedział, czując jednocześnie nieokreślone uczucie, przenikające całe jego ciało. Jakby otwierał zamknięte pomieszczenie, w którym czuł się bezpiecznie. Jakby wypowiadając te słowa, pozwalał komuś innemu, na wejście do swojego wnętrza.

Uśmiechnęła się do niego.

– To wymagałoby... no wiesz... dłuższego i intensywniejszego kontaktu.

Patrzył na nią bez słów. Nie potrafił odnajdować właściwych okre-

śleń. Słyszał, że poeci to potrafią. Politycy może. Artyści. Jego rzeczywistość była prostsza. Bardziej jednoznaczna. Dobro i zło. Życie i śmierć. I ten ból, który mu sprawiała odległość do Ani. Nie fizyczna przecież, ale psychiczna. Więc zbudował swój świat. Tak, aby móc nad nim panować. Aby móc go kontrolować. Aby dobrze go znać i unikać zaskoczeń. Teraz... słowa mu się urywały. Czuł pociąg. Czuł pociąg do tej kobiety. Ona. Ciepło i delikatnie przyjmowała go. Nie. Nie tylko jako mężczyznę, ale jako człowieka. Jako ojca. Nie potrafił nic poradzić na to, że, może pierwszy raz od odejścia Thelmy, chciał się otworzyć. Chciał zaryzykować. Pozwolić komuś drugiemu się objąć.

– Myślę, że to jest możliwe – chrząknął.

Roześmiała się, strzepując włosy i przeciągając ramiona.

– To znaczy – próbował niezręcznie dokończyć.

– To znaczy? – odwróciła się do niego.

– Chciałbym – powiedział sucho.

Nic nie mówiła. Patrzyła na niego, on na nią. Dwie twarze w błękitnym powietrzu. Włosy delikatnie poruszające się na wietrze. Odgłosy miasta z dołu. Chwile pojawiały się między nimi, po nich następne. Na jej twarzy zakwitał uśmiech. Na jego, o dziwo, również. Wysunęła dłoń w jego kierunku. Ujął ją. Zamknął w swojej. W tym dotyku, niespodziewanym przecież, było coś co sprawiło, że poczuł, iż przenika go do samego serca. Co go przenikało? Nie umiał na to pytanie odpowiedzieć. Czy ona też to czuła? Silniej ujął jej dłoń. Odwzajemniała uścisk.

– Aaa moje gołąbki, widzę macie się ku sobie – zagrzmiął rubasznie Greg zza ich pleców.

– Nie można cię na chwilę nawet zostawić samego – roześmiała się Ewa. – Ma tak od małego – dodała, zwracając się do Calahana. – Zawsze musiałam go zabierać wszędzie ze sobą.

– No nie przesadzajmy siostrzyczko. To ja musiałem dbać o ciebie, żebyś nie wpakowała się w jakieś tarapaty.

Ewa pokręciła głową. James obejrzał się do tyłu w kierunku salonu.

– Bez obawy. Dziewczyna sobie pisze – wyjaśnił Greg i próbował wcisnąć się między ich oboje.

– Ej – zachnęła się Ewa.

– Co, już nie możecie bez siebie żyć?

– Bo będziesz miał burę – dodała z udawanym gniewem.

– Ech – pochylił głowę – ty się James dobrze zastanów, mówię ci. Herod baba. Nadopiekuńcza. Rozkapryszona. Co ja mówię, nie lubi piwa! Rozumiesz? – Oparł się o barierkę po stronie Calahana. – Jasne, że rozumiesz. Mężczyźni to rozumieją, ale kobiety. Czy ktoś je kiedyś zrozumie?

Słońce błyszczało na jego kasztanowych, pokręconych włosach. Na nieco tłustej skórze policzków, brwiach, oczach.

– Nie przejmuj się nim. – Ewa położyła dłoń na ramieniu Calahana

– To dusza człowiek. Tylko się tak zgrywa czasami. No wiesz. Jak to wy, mężczyźni.

– Jasne jasne – odpowiadał Greg z drugiej strony. – My mężczyźni i wy kobiety.

Ewa wsunęła swoje przedramię pod ramię Calahana, przysuwając się do niego.

– A moglibyście bez nas żyć?

– Bez ciebie siostrzyczko to ja bym nie mógł. Kto by mi głosił te wszystkie mądre nauki, o tym co mam w głowie.

– Czasem myślę, że duży stos siana – przekomarzała się Ewa.

Calahan, nieco zaskoczony całą tą rozmową, stał między nimi bez słowa. Bliskość i przytulenie Ewy wprowadzały jakiś spokój do jego umysłu. Tak, jakby samo zbliżenie skutkowało zmianą pracy umysłu. W dole duży samochód dostawczy właśnie użył sygnału, gdy jeden z chłopców popędził za piłką, która wpadła na drogę. Drzewa spokojnie kołysały się w popołudniowym ciepłym wietrze. Fale, daleko na oceanie, były ledwie widoczne, leniwie łamiąc się białymi ścieżkami na ciemnobłękitnej powierzchni. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Delektowali się tym widokiem. Tym poczuciem, że wszystko jest na swoim miejscu. Że nigdzie nie trzeba się spieszyć. Że, chwilowo być może, nic od nich nie zależy.

Pierwszy zauważył to Calahan. Raczej podświadomie niż świadomie. W jego umyśle pojawił się niesprecyzowany sygnał niebezpieczeństwa, tego że coś jest nie tak. Odwrócił głowę, to było to. Ania, klęcząca na podłodze przed stolikiem, na którym Greg zostawił komputer, kiwała się do przodu i do tyłu, wydając z siebie ten cichy, zwiastujący kłopoty, dźwięk. W dłoni trzymała ołówek, przed jej kolanami leżały jasne arkusze papieru. Teraz Ewa i Greg także się odwrócili. Cichy dźwięk przeszedł w głośne buczenie, które wydobywało się z gardła dziewczynki. Calahan pierwszy podbiegł do Ani. Wziął ją w ramiona, ale wtedy z gardła Ani wydobył się ostry krzyk. Przeszedł go jakiś dreszcz i skurcz. Puścił córkę. Ewa klęczała tuż obok.

– Kochanie, wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna. Jestem z tobą.

Dźwięk przeszedł w niższą, cichszą tonację. Ania nadal kiwała się do przodu i do tyłu. James zagryzł wargi.

– Aniu... – Usiadł obok. Wyciągnął rękę, aby objąć córkę, ale się zawahał. Popatrzył na Ewę. Dała mu przeczący znak oczami.

– Zapomniałam ci opowiedzieć, jak pierwszy raz się kapaliśmy z Gregiem. Wcale nie chciałam się wtedy kąpać. Mieliśmy takiego małego psa. Miałaś psa? – zapytała Ewa, patrząc uważnie na dziewczynkę.

Buczenie cichło z każdą sekundą. Ania uspokajała się.

– Chodź, narysuję ci to. – Ewa wyciągnęła rękę w kierunku Ani ztrzymując ją o milimetry od jej dłoni w wyczekującym geście.

Dziewczynka milczała. Przez jej twarz przebiegały ślady jakichś

emocji. Oczy, choć wpatrzone w przestrzeń, szybko przesuwały się z jednego punktu na inny. Jej dłoń uniosła się. Dotknęła dłoni Ewy. Zamknęła się na niej.

– Chodź, porozmawiamy. – Ewa wstała, zabierając Anię ze sobą. Dziewczynka posłusznie podeszła do dużego stołu na środku pokoju, usiadła na przeciwko Ewy, która zaczęła do niej mówić i rysować coś na kartce.

Calahan odetchnął głęboko.

– Nic się nie martw stary. – Usłyszał słowa Grega. Popatrzył na niego. Greg zbierał z podłogi arkusze pozostawione przez Anię. Położył je na kanapie, po czym klapnął na niej ciężko, kładąc ręce na masywnych, rozpychających spodnie, kolanach.

– Mam czasem z nią kłopoty – nieco bezradnie usiłował wyjaśnić Calahan.

– Daj spokój. Piękna dziewczyna. – Greg zamilkł na chwilę. – A swoją drogą to wiesz co stary? Trochę cię podziwiam. Zawsze myślałem, że gliny... no wiesz. Bez obrazy. Że to tacy ludzie, trochę inni niż my. Jesteś spoko. – Greg wziął do ręki arkusz, na którym pisała Ania. – Co ona właściwie pisze?

– Nie wiem. Czasem pisze, czasem rysuje. Jakieś linie, czasem cyfry. W ośrodku opieki mówili, że ma jakieś wybitne zdolności matematyczne, ale ja bym oddał wszystko, żeby była po prostu normalna.

– Matematyczne powiadasz – odpowiedział Greg, patrząc na arkusz trzymany przed sobą. Zapelniony był siatką cyfr, ułożonych precyzyjnie w rzędy, jeden pod drugim. Greg uśmiechnął się.

– Co?

– Nic. Tak mi przyszło do głowy. Ale to niemożliwe.

– Co takiego?

– Czekaj. – Greg podniósł się i ruszył w stronę szafy. – Siostrzyczko, masz tu nadal ten skaner?

Ewa podniosła głowę znad rysunku, jakim opowiadała Ani swoje własne dzieciństwo.

– Tam gdzie zawsze – rzuciła krótko.

Chwilę później Greg skanował kartkę z cyframi, jakie Ania zapisała, siedząc, a raczej klęcząc, na podłodze przed stolikiem z jego komputerem.

– To na pewno niemożliwe, ale co nam szkodzi sprawdzić.

– Co takiego? – zapytał Calahan.

– Zaraz zobaczysz. – Greg zeskanował jedną kartkę, potem drugą. Uruchomił jakiś program. – Gdy poszedłem do was, zostawiłem na ekranie obraz tego klucza publicznego.

– Pamiętam.

– No właśnie. Na tych kartkach, twoja córka zapisała całe mnóstwo cyfr. Sam zobacz.

Na białym arkuszu ułożone były równo znaki. Ale, co było uderzające, były to tylko zera i jedyńki.

– Raczej mało odkrywczе – odpowiedział Calahan, usiłując wychwycić z mozaiki cyfr jakiś obraz albo kształt, który mogła chcieć przekazać Ania.

– No to się właśnie zaraz okaże – odpowiedział Greg, cały czas manipulując przy komputerze. Jego palce przebiegały klawiaturę, uruchamiały programy. Oczy lustrowały powierzchnię niewielkiego ekranu. Nagle zamarł. Dłonie zastygły na klawiszach. Oczy utkwione były w laptopie, trzymanym teraz na kolanach.

– Co jest? – zapytał Calahan.

Greg, nie odzywając się, zaczął dalej intensywnie wpisywać coś na klawiaturze.

– Greg?

Tęgi brodac z nie odpowiadał, jakby znalazł się w jakimś transie, jakby to co było na ekranie pochłonęło bez reszty jego wolę i uwagę.

– Greg!

Palce Grega niecierpliwie wpisywały dane i polecenia. Kliknął kilka razy myszką. Wreszcie wszystko odłożył, patrząc z niemym wyrazem na ekran komputera.

– Greg? – dobiegło pytanie Ewy.

Usta Grega zaczęły lekko drżeć. Przełknął.

– Odezdziesz się wreszcie? – zapytał Calahan.

Greg Wiszniewski podniósł oczy na Jamesa Calahana.

– Nie wiem jak to powiedzieć stary. Ale dzieje się coś bardzo dziwnego.

Jego twarz, spoza bogatego zarostu, wyrażała co najmniej lęk i zdumienie. Zniknęła z niej cała jowialność i dobroduszość, jaką obdzielał wszystkich dookoła.

– Zechcesz wreszcie to z siebie wydusić?

– Stary. Ja nie wiem co się dzieje. To jest niemożliwe.

– To znaczy?

– Twoja córka wypisała liczby, łamiące klucz szyfrujący.

19.

– Mówiłeś, że to niemożliwe, złamanie tego szyfru.

– Bo to jest. Niemożliwe. – Oczy Grega błyszcząły zza soczewek okularów.

– Może się pomyliłeś? Może to przypadek?

– Stary, właśnie zdeszyfrowałem ten dokument. Na świecie nie ma takich przypadków. – Wzrok Grega wyrażał napięcie i zdenerwowanie. – Słuchaj, to jest klucz o długości 4096 bitów. Komplikacja procesu odgadnięcia klucza rośnie wykładniczo, a nie liniowo. – Pokręcił głową, widząc brak zrozumienia w oczach Calahana. – Powiem ci krótko. Jeśli cuda na tym świecie istnieją, to właśnie jesteście świadkiem jednego z nich.

– A nie mogła tak... przypadkowo zapisać tych liczb?

– Bit bo bicie?! – wybuchnął Greg. – Twoja córka ma głowie komputer! I to taki komputer, o jakim ludzkość nawet nie śni.

Twarz Calahana zaczęła szarzeć, kąciki ust opadać, wzrok z trudem utrzymywał się na twarzy brodacza, spadając powoli coraz niżej.

– Greg? – Dało się słyszeć głos Ewy.

– Ja cie przepraszam stary. To nie tak. – Wiszniewski nachylił się w stronę Calahana.

– Tylko jak?

– Nie chciałem cię urazić. To jest. To jest po prostu niesamowite.

James Calahan zagryzł wargi i wyprostował się patrząc w ścianę naprzeciwko. Była biała. Wisiały na niej dwie, gustowne i lekkie reprodukcje. Pierwsza przedstawiała różę na białym tle. Nierzeczywistą a jednocześnie piękną. Na drugiej był, rysowany zwiewnymi kreskami, pejzaż. Niczym wzorowany na dalekowschodnim malarstwie. Ascetyczny w formie i kolorze. Calahan oddychał głęboko. Więc to tak. Więc jego córka stawała się komputerem. Więc te wszystkie, ukradkowe niemal, sugestie o jej niezwykłych zdolnościach matematycznych, prowadziły do tej prawdy. Więc dlatego ją tracił. Ostatnią miłość swojego życia. Narastał w nim bunt. Bunt i gniew. Na tych ludzi. Na jego życie. Na to, że Thelma odeszła. Na wszystko, co go spotkało. Tylko co mu ten bunt da? Do czego go ten gniew doprowadzi? Uczył się jako policjant panować nad emocjami. Znał ich zgubną siłę. Znał pokusę, by podążyć za głosem, który podpowiada co zrobić tu i teraz, bez namysłu. Wiedział, że takie ślepe posłuszeństwo instynktom rzadko wychodzi na zdrowie. Oddychał. Głęboko. Starał się uspokoić. Poczul dotknięcie na ramieniu. Obrócił twarz w lewo. Te piękne włosy. To chyba było to, co od samego początku w niej go urzekło. Jakiś znak rozpoznawczy. Jakiś wyzwalacz, klucz do jego uwagi. Dopiero potem: czoło, brwi, oczy, usta.

– James? – zapytała cicho.

Przełknął.

– Już dobrze – odetchnął głęboko.
– Greg nie chciał cię urazić.
Kiwnął głową.
– Stary, ja serio... – przerwał niezdarną wypowiedź Wiszniewski.
– Wiem, wiem. To wy wybaczenie – pokręcił głową. – Nie jest mi łatwo.
– James. Wszystko może się zmienić.
Czy była przekonująca? Musiał przyznać, że była. W jej głosie było coś, co kazało wierzyć, że nie są to wyłącznie zabiegi, mające cel terapeutyczny. Było w nim, coś co kazało wierzyć, że Ewa mówi prawdę. Że niezależnie od tego jak jest teraz, istnieje droga wyjścia. Że nic nie jest stracone.
– Dzięki – powiedział głęboko oddychając. Odwrócił się w stronę Grega. – Więc... co to jest?
Wiszniewski odwrócił w ich stronę komputer.
– Voila – powiedział nie bez cienia satysfakcji. – Pierwszy na świecie tajny dokument, zdeszyfrowany przez złamanie długiego klucza asymetrycznego.
Przed nimi widniał biały ekran z poukładanymi równo literami. Nagłówek głosił: „Projekt Apokalipsa – ściśle tajne”.

20.

Wzrok Grega przebiegał, pokryte wzorami liter i wykresów, strony. Przerzucał je w tempie, w którym Calahan ledwie był w stanie rozpoznać układ graficzny i ewentualnie tytuł sekcji. Palce informatycznego guru dotykały klawiatury z lekkością i łapczywością. Tak jakby dorwał się wreszcie do czegoś, czego pragnął. Przeglądać dokument tak zaszyfrowany – to była gratka. Cofnął przewijanie do początku. Jeszcze raz rzucił okiem na skomplikowany układ akapitów i punktów. Jego wzrok zdawał się być przylepiony do powierzchni ekranu. W niezauważalny sposób, obok Calahana, miejsce na kanapie zajęła Ewa z Anią. Popatrzyła znacząco na Jamesa. Ten odpowiedział wzruszeniem ramion, dając znać, że to jej brat połyka i przetwarza odszyfrowany dokument. W końcu kudłata głowa Grega podniosła się. Obejrzał się na pozostałych.

– No i? – zapytała go Ewa.

– No nie wiem – odpowiedział nieco nerwowo. – To jest jakiś projekt, ale to nie może być prawda.

– Czyli?

Greg Wiszniewski jeszcze raz zaczął przeglądać ekran, obracając go teraz w taki sposób, aby stał się lepiej widoczny dla trójki pozostałych.

– Popatrzcie. Tu: rachunek szans i zagrożeń, studium wykonalności, zasoby – wyliczał akapity i rozdziały. – Nie – pokręcił głową – to niemożliwe.

– Co?

– No tu na przykład jest zapisany plan wyłączenia internetu.

– Żartujesz.

– Nie. Ten plan jest nawet sensowny. – Greg przeglądał dalej, przewijające się strony.

– O – wskazał. – Dzień minus dwa: symulacja awarii systemu satelitarnego. Widzicie? – obrócił się do pozostałych – Szereg zdarzeń, mających wywołać wrazenie, tworzącej się globalnej awarii. – Przeglądał dalej, spadające z góry na dół, linie tekstu. Jego oczy chciwie piły jego zawartość. Internet to była jego ojczyzna. Przestrzeń wolności ludzi. Schronienie wszystkich anarchistów globalnej urawniłowki. – Dzień minus jeden: stają główne serwery – wskazał palcem na ekranie. – Zaraz, zaraz. – Coraz bardziej podekscytowany, przewijał tekst dalej i dalej. – Dzień minus jeden: mobilizacja jednostek Gwardii Narodowej i Policji. Rozkazy skoszarowania – cytował dalsze zauważone elementy.

Ekran przewijał się niżej i niżej, aż w pewnym momencie zatrzymał się zupełnie. Calahan próbował skupić wzrok na tekście.

– Dzień n: Dezaktywacja systemów kontroli zasobów nuklearnych. Inicjacja oprogramowania zastępującego procedury uruchamiające.

Uzgodnienie gotowości przebiegu procesów w pozostałych zasobach nuklearnych... Bzdura – pokręcił głową Wiszniewski – cholerna bzdura.

– To znaczy? – zapytała Ewa.

Greg przebiegł jeszcze kilka stron w dół, kręcąc systematycznie zbiorem kudłów, umieszczonych na okazałym karku, wystającym z koszuli w niebieską kratę. W końcu oderwał wzrok od ekranu i przeniósł go na Calahana.

– Lipa.

– Lipa – powtórzył Calahan.

– Początkowe fragmenty wyglądają na jakiś, w miarę rzeczowy, plan wygaszenia sieci. Te ciemniaki, imperialiści, ciągle o tym marzą. Nie mogą znieść tego, że jest przestrzeń, której nie kontrolują. Z jednej strony rejestrują chyba cały przepływ danych przez sieć, ale z drugiej nie są w stanie wychwycić wszystkiego, co im może zagrażać. Nie są w stanie zapobiec temu, że ludzie mogą pisać, co chcą. Także o nich. Internet, internet. Robią co mogą, żeby zamienić go w śmietnik. Żeby przeciętny zjadacz cheeseburgerów nie był w stanie znaleźć niczego istotnego. No – zachnął się – ale te metody mają swoje granice. I... niczego nie gwarantują. Skurwysyny jedne. Marzą. Ciągle marzą, żeby nas zamknąć.

– Was? – zapytał Calahan.

Greg spojrział na Ewę. Ta skinęła lekko głową.

– Jesteśmy pewną grupą. Taka wiesz, partyzantka wolnościowa w krainie cyfryzacji.

Calahan pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że mnie nie aresztujesz.

– Niczego nie słyszałem.

Greg uśmiechnął się z nutą rezygnacji. Odwrócił się jeszcze raz w stronę stojącego laptopa.

– To – wskazał ręką na stojący komputer – wyglądało na rzeczowy plan wygaszenia internetu. Instytucje, dane, fazy. Wszystko się zgadza. Gdyby to była prawda, można by z tego zrobić raban.

– Więc to nieprawda? – zapytała Ewa.

Greg pokręcił głową, głęboko wciągając powietrze.

– Siostra. Tu jest plan wysadzenia w powietrze całej planety.

– W powietrze?

– No niedokładnie. Plan wojny atomowej. Jak zwał tak zwał. Nic by po ludziach nie zostało na powierzchni. No może flagi zatknięte na Mount Everest albo ta zostawiona na księżycu.

– To niedorzeczne.

– Zgadza się. Jakiś fantasta nawypisywał bzdur. Nie powiem – zaczął przewijać znów tekst – znał się na rzeczy. Tu – wskazał na miejsce na ekranie – nawet są jakieś adresy komputerów Pentagonu. Ale całość... – pokręcił głową. – Napracował się ktoś.

– To po co to szyfrował? – zapytał Calahan.

– Imaginacja – odpowiedział Greg. – Wymyślił sobie spiszek. Rozumiesz. Kto wie, może to jakiś wariat i w niego uwierzył. A skoro odkrył spiszek, to informacje o tym wielkim odkryciu musiał ukryć, aby nikt niepowołany się nie dowiedział. – Greg pochylił się w kierunku stolika i wziął do ręki wysoką szklankę z piwem. – Ale – spojrzał na Calahana, a potem na Anię – ona jest niezwykła.

Calahan poczuł jak te słowa wywołują w jego piersiach poczucie ciężkości. Jakby nagle kolory wokół niego zaczęły się ściemniać, uczucia i emocje chłódnać, przechodzić na tę mniej pożądaną, nieprzyjemną stronę. Ewa objęła lewym ramieniem Anię. Ta patrzyła przez balkon. Jej wzrok wyławiał niewidoczne elementy, zawieszane gdzieś tam – w wieczornym powietrzu.

– Czyli co? – zapytał Greg patrząc na Calahana i sięgając do gniazda laptopa, w którym tkwiła niewielka czarna karta pamięci.

Calahan z gestem rezygnacji wyciągnął dłoń. Greg wyjął kartę, podał ją Calahanowi i zamknął ekran komputera.

– Szkoda. Albo może raczej, na szczęście – poprawił się.

– A to wszystko nie może być prawda? – zapytała Ewa.

– Jasne, że może – odpowiedział Greg, podnosząc szklankę do ust. – Każda historia, każde prorocstwo, każda teoria może być prawdziwa. Każdy koniec świata, który jest obwieszczany, może być prawdziwy. Tylko wiesz co? To najprościej zweryfikować. Poczekać. Zajmując się w międzyczasie czymś sensownym. Kiedyś koniec świata na pewno będzie. Ale pewnie nie taki i nie takim momencie, jak się to ludziom wydaje. Kto wie? – zapatrzył się w przestrzeń. – A może nigdy nie będzie końca świata? Może dowiemy się jak latać do gwiazd? Zakładać nowe kolonie, przedłużać życie w nieskończoność? To – wskazał na zamknięty już komputer, kręcąc przy tym głową – to jakaś kolejna ściema nawiedzzonego gościa. – Podniósł piwo do ust. Piana osadziła się na jego wąsach niewielką, jasną, poszarpaną linią.

– Będziemy już się zbierać – powiedział Calahan.

Ewa patrzyła ze zrozumieniem. Wstał. Podał rękę Wiszniewskiemu.

– Dzięki stary.

– Nie ma problemu panie władzo – rubasznie uśmiechnął się brodac.

Podszedł do Ani, kucnął lekko przed nią. Nie patrzyła mu w oczy. Gdzie sięgał jej wzrok? Czy była komputerem? Te słowa wywoływały fizyczne poczucie bólu w sercu Calahana.

– Chodź kochanie – ujął ją za dłoń.

Ania wstała. Pożegnali się. Pocałował Ewę w policzek. Poczuł w tym momencie uścisk jej dłoni. Teraz jednak uścisk ten niczego mu nie powiedział. Niósł w sobie ciężar. Ciemny ciężar rozpacz. Bólu i strachu, że jego córka gdzieś przepada, w krainie bez nazwy, w przestrzeni bez wymiarów, w czasie, do którego nie miał dostępu. Borykał się z tym uczuciem przez całą drogę do domu. Właściwie, to jakaś tyl-

ko część jego umysłu rejestrowała przepływ drogi. Kolejne manewry. Latarnie, które już rozbłysły. Muzykę, dobiegającą z mijanych knajpek. On był gdzie indziej. Nie siedział za kierownicą samochodu. Nie oglądał przechodzących kobiet w opiętych spódnicach. Nie widział roziskrzonych neonów i nie zmieniał biegów w samochodzie. Był wewnątrz. Wewnątrz siebie. Sam na sam z ciemną ścianą, która odgradzała go od jego córki. I wył. Wył w myślach. Wściekły na cały świat. Na całą rzeczywistość. Wołał do niej. Błagał. Nie wiedział już kogo i co. O to, by do niego wróciła. By choć raz spojrzała mu w oczy. Ze zrozumieniem. By była taka jak dawniej. Ta tęsknota rozrywała mu serce. Nie mógł z tym żyć.

Zatrzymał się przed ich domem. Nacisnął przycisk pilota. Wjechał do garażu. Na dworze było już ciemno. Zaprowadził ją do pokoju. Umiała się przebrać. Jak automat, uczyła się niektórych czynności i zachowań. Wyszedł do salonu. Za co? – usłyszał bezsensowne pytanie w swojej świadomości. Trzymał w ręku chłodną butelkę z piwem. Za oknem ciepły wieczór zaprzeczał temu, że może istnieć ból. Taki ból jaki on teraz odczuwał. Za oknem wszystko było na miejscu. Ciepłe, czekające. Szeroko otwarty świat i czas, który ludzie mogli wypełniać swoją radością, swoim życiem. Inni, tacy jak on, zamykali się w swoim domu. W swoim bólu. Bo nie mieli innego wyjścia. Zawsze jest jakieś wyjście – otrząsnął się. Postawił butelkę na parapecie. Nie. Poddawanie się nie leżało w jego charakterze. Charakterze muła, który potrafi na przekór wszystkiemu przeć pod górę. Niezależnie od wszystkich przeszkód jakie napotyka po drodze. Poddawanie się jest dla mięczaków. Dla gówniarzy, dla których ich własne życie jest tym co najważniejsze. I gdy spostrzegają, że niesie ono ze sobą problemy nie do pokonania, siadają by rozpaczać. Gówno go obchodziło jego życie. Obchodziła go Ania. Zrobi wszystko, co będzie w jego mocy. Tak długo jak będzie oddychał. Poczł wracającą równowagę. Przeszedł do pokoju dziewczynki. Leżała pod lekkim kocem. Miała zamknięte oczy. Nieobecna twarz. Sięgnął w kierunku palącej się lampki. Pokój zalał mrok. Poczł spokój. Pochylił się i delikatnie pocałował ją w czoło. Poprawił koc. Popatrzył jeszcze chwilę, czując jak oczy przyzwyczajają się do ciemności. Jak na powrót wyławiają z niej wszystkie te fragmenty, które mrok przed chwilą ukrył. Wyszedł do salonu zostawiając uchylone drzwi. Sięgnął do kieszeni na piersi. Poczł w dłoni kształt. Wyjął kartę.

Patrzył na niewielki fragment plastiku. O co w tym wszystkim mogło chodzić? Greg miał rację, plan był absurdem. Ale okoliczności w jakich ta karta trafiła do niego, wskazywały na coś więcej. Na coś więcej, niż tylko na niezrównoważonego fantastę, który planuje zagładę Ziemi. Usiadł przy biurku. Nacisnął przycisk komputera. Diody na obudowie zamrugały zielonym i czerwonym kolorem. Dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk startujących wentylatorów. Teraz, nocą, tak dobrze słyszalny. Ekran zajaśniał rzędami ikon. Kliknął na tę, która

uruchamiała połączenie VPN z departamentem. Jakiś czas temu ich informatyk uzyskał zgodę na uruchomienie tego rozwiązania. Pozwalało ono niektórym funkcjonariuszom, łączyć się z ich kontami w departamencie przez internet z domu. Technologia była w stu procentach bezpieczna. Jeśli miał jakiś pomysł albo potrzebę, mógł z domu zalogować się do sieci departamentu i pracować na niej, w zasadzie tak samo jak z pracy.

Kim byłeś? – zastanawiał się, przypominając sobie spaloną twarz nieznanego pasażera rozbitego odrzutowca. Poczul na nowo ten uchwyt, na wpół nieprzytomnego człowieka. Ten rwetes i pośpiech, jaki wokół niego zapanował. Usłyszał na nowo dźwięki aparatury medycznej. Coś w tym wszystkim jest nie w porządku – myślał. Szczególnie, że stary dał mu jasno do zrozumienia, że ze sprawą koniec. Kryli to, czyścili. Chciał sprawdzić wszystkie informacje jakie departament zarejestrował na temat tego przypadku. O ile oczywiście ich nie skasowali. Nauczony był zawsze, wszystko sprawdzać. Nie polegać na przecuciach i uprzedzeniach. Czekał. Ikona połączenia pulsowała kolorem oznaczającym jego zestawianie. Trwało to jednak znacznie dłużej niż zwykle. Kliknął ją ponownie i wrócił po pozostawione na parapecie piwo. Rzut oka na zewnątrz przekonał go, że świat zapada w słodką nieświadomość. Usiadł ponownie przed monitorem: „Połączenie nie może być zrealizowane”. Co za czort? Mimowolnie spojrzął na zegarek. Dwudziesta trzecia. Kliknął jeszcze raz i pociągnął łyk piwa. Było chłodne. Cudownie chłodne. Niosło ze sobą spokój. Musiało coś zostać. Musiało coś zostać w ich sieci. Musiał sprawdzić co. Musiał to wiedzieć. Nie lubił zagadek bez rozwiązania. Stary go ostrzegał. Przyjął to ostrzeżenie na poważnie. Ale teraz, zawartość tej karty kazała mu to ostrzeżenie zignorować. Podjąć ryzyko. Czy miał prawo je podejmować? „Połączenie nie może być zrealizowane”. Co jest do cholery? Wziął do ręki telefon. Zastanowił się przez chwilę. Oczywiście, w departamencie zawsze czuwał jakiś oficer dyżurny. Mógł mu przynajmniej powiedzieć, czy nic się nie dzieje. Może ich informatyk, rudy Irlandczyk o cerze, przez którą prześwitywały naczynia krwionośne, właśnie coś tam kombinował przy komputerach i odłączył je od sieci. Miał takie zwyczaje. Przesiadywał w dziwnych godzinach, bo w czasie ich pracy nie chciał „wchodzić w konflikty”. Jakże znowu konflikty? Dość, że wszyscy się przyzwyczaili do młodego, trochę dziwnego chłopaka.

Bip, bip, bip – brzmiało w jego uchu. Musiał to sprawdzić. Obracał kartę w w drugiej dłoni, patrząc na wynurzający się z mroku monitor, na którym widniał komunikat o niemożliwości nawiązania połączenia. Usłyszał głos Eryka, jednego z najdłużej pracujących funkcjonariuszy.

– Eryk?

– No a co myślałeś, że szef we własnej osobie?

– Słuchaj, czy coś tam się dzieje u was?

– Co niby?

– No nie wiem, jakieś braki prądu albo może ten nasz informatyk coś robi.

– A... ten. No jest. Ale nie wiem co robi. Siedzi u siebie.

– Możesz mnie do niego przełączyć?

Biiip

– MacLachlan.

– Calahan – przedstawił się na wszelki wypadek. W słuchawce po drugiej stronie zalegała cisza. Informatycy nie są zbyt komunikatywni.

– Słuchaj, nie mogę się zalogować do sieci departamentu.

– No nic dziwnego.

– Coś się stało?

– Stało się.

– Komputery nawaliły? – Czy o wszystko trzeba go wypytać?

– Nie. Działają w porządku.

– To... – Calahan przeciągnął sylabę – sieć padła?

– Sieć jest w najlepszym porządku.

– To czego kurwa ja się nie mogę zalogować?! – wybuchnął.

– Nie ma co się denerwować. Internet siada. – Padła flegmatyczna odpowiedź.

– Co?

– Powtórzę. Internet siada.

Kurwa nie jestem głupkiem, żeby mi powtarzał ten szczył – usłyszał własne myśli Calahan.

– To znaczy?

– Są przerwy w łączności z internetem. Zechce pan kliknąć przeglądarkę i wybrać dowolny adres, to się pan przekona.

Calahan przełożył słuchawkę do drugiej ręki i otworzył przeglądarkę. Faktycznie: „Strony nie znaleziono”. Jeszcze jedna. Jeszcze jedna, Nic.

– Nie działa? – zapytał.

– Jak widać.

– Ale – zawahał się. – Ja mam bardzo pilną potrzebę wejścia do naszej sieci. – Teraz ta potrzeba wydała mu się jeszcze pilniejsza.

– No to nie wiem jak pan to zrobi.

– To niby kto ma wiedzieć?

Po drugiej stronie zapanowała chwila milczenia.

– Można by to zrealizować po łączu telefonicznym, gdyby oczywiście miał pan modem.

– Modem?

– Takie urządzenie, które pozwala spiąć komputer z siecią telefoniczną, udaje prowadzenie rozmowy, a w rzeczywistości wykonuje transmisję danych.

Calahan szybko przebiegał myślą spis posiadanych rzeczy.

– Mam, chyba mam.

– Jak to chyba?

– Zaczekaj, zaczekaj chwilę.

Wyszedł szybkim krokiem z salonu. W przejściu do garażu stała szafka z różnymi rupieciami. Pamiętał, że przy jakiejś okazji, poprzedni informatyk dawał mu urządzenie, właśnie służące do łączenia komputera z siecią telefoniczną. Wyciągnął szufladę. Przesuwał palcami wśród leżących w niej przedmiotów. Jest. Wyłowił niewielki szary element. Wrócił i usiadł przy biurku.

– Mam.

– To proszę to włożyć do komputera.

– Ale gdzie?

– Tam gdzie pasuje, znajdzie pan takie gniazdo.

Calahan pochylił się nad komputerem i po chwili urządzenie znalazło się w odpowiednim przyłączy, sygnalizując gotowość miganiem zielonej diody.

– No świeci.

– Proszę sprawdzić, czy komputer poprawnie łączy się z modemem.

Po kilku minutach i wymianie instrukcji, na ekranie Calahana pokazał się ekran logowania do sieci policji.

– Mam – potwierdził.

– No to powodzenia. Spiałem pana z komputerem na pańskim biurku. Stąd ma pan przejście na naszą sieć wewnętrzną.

– Dzięki – rzucił Calahan i rozłączył rozmowę.

Godło departamentu policji w Village Heaven. Duży orzeł. Dewiza: „Mężni w służbie prawa”. Stary to wymyślił, ciekawe dla kogo. Jego hasło i identyfikator zostały przyjęte. Lista spraw. Białe czcionki na ciemnoniebieskim tle. Przesuwał listę w dół. Noc wokół pachniała ciszą, ale coś nie pozwalało mu się z nią zaprzyjaźnić, opaść w niebyt snu. Kolejne linijki przewijały się w górę. Znalazł. Zgłoszenie katastrofy lotniczej. Otworzył panel opisu sprawy. Data, miejsce, ofiary, uratowani. Brak uratowanych? Kliknął na pozycję z liczbą ofiar. Pusty ekran. U góry napis: „Dane zastrzeżone”. Coś w nim drgnęło. Cofnął na poprzedni panel. Przez kogo zastrzeżone? Zawsze w takich przypadkach widniała informacja, przez kogo dane były zastrzeżone. Nic. Następna pozycja: „Osoba zgłaszająca: Telefon anonimowy”. Kurwa mać – zaklął w myślach – równo posprzątane. Nie było informacji o szpitalu, o uratowanym, o niczym co się stało. Nie było żadnych informacji, które mogłyby do czegośkolwiek prowadzić. Bezradnie szukał, sprawdzał kolejne możliwości. Kolejne rejestry. Beznamiętny serwer departamentu, pokazywał mu to co miał. Czyli prawie nic. Owszem zdarzało się to wcześniej. Były takie sprawy. Zawsze są. Ale kończyły się napisem NSA albo NSS, albo innym wskazującym na agencję, nie z ich przestrzeni reagowania. Przełykał takie kwiatki. Kto chciał iść wyżej musiał mieć mocny brzuch. Ale czegoś takiego nie widział. Nie widział, bo to było nie do przyjęcia. Nie można tak po prostu wytrzeć danych, bez wskazania, kto za to odpowiada. To w zasadzie przestępstwo – pojawiło się w jego głowie ostrzegawcze stwierdzenie. Zgasił

ekran. Czuł się ciężko. Jego dłoń spoczywała na myszce. Czuł jej kształt. Wracał świadomością do swojego salonu. Córki śpiącej za uchylonymi drzwiami, do tajemnicy, która go od niej odgradzała. Tajemnicy, która, być może, zawarta była na małym kawałku plastiku, który nosił w swojej kieszeni na piersi. Wyłączył komputer. Wyciągnął niewielki modem, włożył go do kieszeni. Będziecie razem, pomyślał o karcie i modemie. Po co? Pozwolił tej myśli odejść. Podszedł ciężko do szafy. Wyjął koc. Jeszcze kilka kroków. Na podłodze leżały jakieś odbłaski świateł z za okna. Czy światło nie widzi szyb? Pędzi, odbija się, ale nie zauważa szyb? Poczul pod sobą miękkość kozetki. Koc zsuwający się na ramię. Myśli gasły. Noc była cicha. Wyłączyła się jego świadomość. Zegar na komodzie wskazywał jasnym wyświetlaczem jakąś godzinę. Nikt nie widział jaką. Zasnął.

21.

Sobota, 27 czerwca 2015.

Ten cholerny dźwięk. Niczym brzęczenie pszczoły albo spadanie kropel, które, za tysięcznym razem, rozlega się prawdziwym hukiem w uszach. Przeszywającym od bębienka przez kark, ramię, aż do komory serca. Przykre uczucie wydobywało Calahana z niewiedzy snu. Przywracało do świata świadomości, takiego jaki znał. Odruchowo, nie otwierając oczu, wyciągnął rękę. Jego dłoń wędrowała po omacku po blacie stolika. Kurr... – zaklął w myśli, gdy potrącona butelka z piwem uderzyła o podłogę, wylewając na nią resztkę swojej zawartości. Usiadł. Cholerna komórka. Przecież to sobota. Kto do licha dzwoni tak rano? Schylił się. Lewą ręką podniósł butelkę, z niesmakiem patrząc na plamę piwa na podłodze i czując jego cierpko-słodki zapach. Drugą sięgnął po komórkę, na której widniał niezidentyfikowany numer. Wcisnął przycisk odebrania rozmowy i podniósł ją do prawego ucha.

– Słucham. – W jego głosie było rozdrażnienie, nieco tylko tonowane faktem, że nie w pełni był przebudzony.

– Stary, widzisz co się dzieje?!

– Co?

– Jak to co? Dzieje się!

Wyprostował się i oparł o oparcie. Pomyślał przytomniej. Omiótł wzrokiem salon. Co za bałagan. Wrócił myślą do rozmowy. Znał ten głos. Ale... kto to?

– E... sorry, ale... z kim mam przyjemność?

– Wiszniewski stary, Wiszniewski. Co jest? Nie pamiętasz mnie? Obudziłeś się?

Postać korpulentnego brodacza pojawiła się natychmiast w umyśle Calahana.

– No co jest Greg?

– Jak to co. Włącz telewizor.

Zrezygnowanym ruchem sięgnął po pilota. Spiker na ekranie poważnym tonem podawał wiadomości. W tle za jego sylwetką jakieś sceny, pokład lotniskowca, postać machająca chorągiewkami, ujęcie startujących samolotów. Na powrót skupił uwagę na twarzy prezentera: „Rząd USA stanowczo odrzuca oskarżenia Chin o agresję wojenną. Nasza reakcja była wywiązaniem się z obowiązków sojuszniczych względem Tajwanu i Filipin”. Co za bzdury – Calahan skrzywił się, czując jak opuszczają go ostatnie resztki snu.

– Widzisz? – Zabrzmiało w słuchawce.

– Czekaj chwilę.

„Gdy tajwański statek, na spornych wodach, został storpedowany przez okręty drugiej chińskiej floty, USA zareagowało zatopieniem

trzech chińskich okrętów i ostrzelaniem pozostałych, zmuszając je do wycofania. W Chinach wprowadzono stan wyjątkowy, a komitet centralny Chińskiej Partii Komunistycznej ogłosił stan wojny z USA. Pojawiły się pogłoski o aktywowaniu chińskiego programu reakcji nuklearnej. Swój arsenał postawiła w stan gotowości również Rosja, ostrzegając przed wybuchem wojny na niewyobrażalną skalę. Podejrzewa się też, że Korea Północna może wykorzystać powstałą sytuację. Satelity wykryły ustawienie w gotowości, koreańskich środków przenoszenia broni nuklearnej. Calahan patrzył nie wierząc własnym oczom. To się nie mogło zdarzyć. To nie mogło się dzieć naprawdę. Na ekranie pojawiła się twarz prezydenta USA. Co za dupek: „będziemy stali niewzruszenie”, „nasze niezbywalne obowiązki” i dalsza garść politycznych frazesów przepływała przez uszy Calahana. Teraz to będzie panika – pomyślał. Skupił się na słowach prezydenta: „W związku z tym, nasz rząd podjął niezbędne działania zmierzające do uspokojenia powstałej sytuacji i zapobieżenia eskalacji zdarzeń, grożących globalnym konfliktem. Wprowadzam mobilizację wszelkich jednostek militarnych i policyjnych. W celu ochrony przed cyberatakami, wprowadzone zostają ograniczenia swobodnej łączności internetowej. Obywatele powinni pozostać w swoich domach, do czasu obniżenia poziomu gotowości bojowej. Gwardia Narodowa będzie służyła pomocą i informacją wszystkim potrzebującym. W tej chwili, w chwili zagrożenia wartości cywilizowanego świata, jesteśmy razem. Razem stawimy czoła niebezpieczeństwu i razem, poprzez wykazanie gotowości i nieustępliwości, doprowadzimy do jego zażegnania. Stany Zjednoczone są bezpieczne. Ale każdy kto narusza ich interesy, kto narusza bezpieczeństwo i suwerenność naszych sojuszników, musi się liczyć z naszą nieubłaganą reakcją. Jak przed wiekami stajemy w obliczu próby. W momencie, gdy nasze czyny i intencje muszą iść razem. Gdy musimy pokazać całemu światu czym jest Ameryka. Jasnym miastem na wzgórzu, które nie lęka się żadnych gróźb. Przejdziemy przez ten czas razem. A gdy opadnie zła wola i zaciętrzewienie, świat będzie bezpieczniejszy i sprawiedliwszy. Bo taki świat chcemy budować. Boże błogosław Amerykanów. Boże błogosław Amerykę.”. Hymn. Flagi. Wyprostowani żołnierze. Ujęcia okrętów i samolotów. Ujęcia satelitów.

Kurwa. To się dzieje naprawdę. Spojrzał na odłożony, mimo woli, telefon. Podniósł go do ucha.

- No – odezwał się.
- Widziałeś?!
- Widziałem.
- Odcieśli internet.
- No nic dziwnego.
- Nic dziwnego?
- Wygląda na niezłą ruchawkę.
- Stary, ty kurwa nic nie ogarniasz!

– Że co? Mów normalnie.
– Kurwa. Mam kumpli na całym świecie. To się dzieje. Człowieku.
– Możesz... – westchnął – się jakoś poskładać?
– Zadzwoił do mnie kumpel z Rosji, rozumiesz. Że internet prze-
rywa. Sprawdziłem faktycznie. Niektóre routery położyli. Po tym two-
im, no wiesz, apokalipsa, trochę mnie to ruszyło bardziej niż zwykle.
Stary. Kawa na ławę. Teraz już nie ma co. Rozumiesz? Jestem człon-
kiem GhostRiders.

GhostRiders to była ścigana przez wszystkie rządy świata grupa anonimowych hakerów. Wykradali dane. Sabotowali rządowe syste-
my. Nazywali siebie bojownikami o wolność. Raz na jakiś czas uda-
wało się kogoś przymknąć. Wyroki były na tyle wysokie, by nigdy
taki jegomość nie ujrzał świata wolnego. Greg Wiszniewski w Gho-
stRiders? To była dla Calahana nowina.

– Słuchaj. Włamaliśmy się do systemu sygnalizacji stopni gotowo-
ści ministerstw obrony Rosji, Wielkiej Brytanii, Indii i Izraela.

Robi się coraz ciekawiej – myślał Calahan zastanawiając się co bę-
dzie musiał zrobić z tymi informacjami, gdy cała awantura się skoń-
czy.

– Chłopie. Czy to to rozumiesz? Oni uruchomili procedury odpala-
nia rakiet balistycznych. Wszyscy! Rozumiesz?!

– No to robi się gorąco.

– Gorąco? Jesteśmy we wrzącej zupie, która lada moment może
pierdyknąć. To nie są żarty. Wystarczy, że jeden facet, tu albo tam, do-
słownie naciśnie guzik, albo że wystąpi jakaś anomalia informatyczna,
albo błąd techniczny, i będzie buuum. Po nas.

Calahan dostrzegł w uchylonych drzwiach stojącą Anię. Posklejane
włosy spadały jej na ramiona. Nie był pewien czy patrzyła na niego,
czy tylko przez niego, w kierunku okna znajdującego się za jego ple-
cami. Oczy dziewczynki były zaspane, ale jakby obecne.

– No ale chyba... nic nie możemy zrobić.

W komórce rozległ się dodatkowy sygnał połączenia. Odsunął
dłoń, by sprawdzić kto dzwoni. Pojawił się numer Johnsona. Zdecydo-
wał się nie odbierać.

– Moi szefowie dzwonią.

– Słuchaj. To się sprawdza.

– Co się sprawdza?

– Wszystko co było zapisane w tym twoim projekcie. Wszystkie
stadia. Gotowość policji, odłączenie sieci, totalne bum. To my, zgod-
nie z tym projektem, odpalimy nasz arsenał pierwsi.

– Ale po co?

– A skąd ja mam to wiedzieć? To są jacyś szaleńcy. Skąd ty miałeś
tą kartę pamięci, na której był ten dokument?

– Hmm... – chrząknął Calahan – sprawa trochę tajna.

W słuchawce odpowiedziało mu milczenie.

– Mam ją od typa, który spadł w prywatnym odrzutowcu na pod-

miejską autostradę.

– Wiesz coś więcej na ten temat? Kto to był, o co chodziło?

– Wiem tyle, że ktoś z bardzo wysoka pozamiał wszystko, co się z tym wiązało. Ktoś – zawahał się – wyżej niż NSA i NSS.

Dopiero teraz dotarła do niego waga, tego co przed chwilą powiedział. Rzeczywiście. To musiał być ktoś ważniejszy, ktoś ponad najwyższe umocowanymi agencjami bezpieczeństwa państwa. Kto to do cholery mógł być? To musiało być ściśle otoczenie prezydenta! Groza sytuacji docierała do niego jak kolejne fale wzburzonego oceanu.

– Wydaje mi się, że w sprawie tego wypadku maczali palce ludzie, ponad strukturami rządowymi.

– No to wszystko się zgadza. – Usłyszał Grega w odpowiedzi.

Sięgnął na pierś. Była tam. Mała, czarna, niepozorna. Podniósł ją do oczu. Proste linie. Niewielkie wymiary. Przeniósł wzrok na drzwi do pokoju Ani. Dziewczynka zniknęła. Narastał w nim bunt. A co jeśli cały ten projekt, nie był wymysłem szaleńca? Co jeśli zawarta była w nim prawda, która spełniała się na jego oczach? Co z Anią? Co z Ewą? Co z przyszłością? Z wieczorem nad oceanem, kiedy gwiazdy, noc i fale... Z wieczorem, który może nigdy nie nadejdzie.

– Greg?

– Słuchaj – usłyszał w odpowiedzi.

– Co jeszcze.

– Odłączyli internet.

– To wiem. Nie mogłem się w nocy dostać po nim do roboty. Zresztą, jak taki zamęt – urwał patrząc na sceny na ekranie telewizora.

– Przecież w końcu zatopiliśmy trzy ich okręty, a oni wcześniej posłali na dno tę tajwańską krypę.

– Nic nie rozumiesz.

– Mów.

– Oni odłączyli internet przed tym, zanim Chińczycy zaczęli awanturę.

– Jak to przed?

– Normalnie przed. Rozumiesz? Przed. Przed! Przed! Ktoś kurwa wiedział. Ktoś to planował. Tu się kurwa nic nie dzieje przypadkiem!

Karta pamięci w ręku Calahana zaczęła go parzyć w dłoń.

– Słuchaj, przerwę na chwilę – powiedział czując wibracje w ręku – zaraz oddzwonię.

Nie pomylił się, to znowu Johnson.

– Calahan?

– Tak jest szefie.

– Oglądałeś wiadomości?

– Chyba wszyscy oglądali.

– Departament jest zamknięty. Dzisiaj na trzynastą wyznaczona jest mobilizacja jednostki w koszarach w Red Stream.

– To czterdzieści mil stąd.

– No i?

– Nic.
– Łączność do cholery się sypie. Zgłaszasz się o trzynastej w Red Stream.

– Przyjąłem.

– I Calahan?

– Tak?

– Bez numerów.

– Tak jest.

Klik. Rozmowa zamknięta. Szaleństwo – pomyślał. Szaleństwo. Za oknem stały drzewa. Widział ich pnie. Widział zielen trawy poniżej. Asfalt drogi w porannym słońcu. Kwiaty w ogródku starszej pani z naprzeciwka. Musi pójść do Ani. Jeszcze tylko jeden telefon. Musi go wykonać.

– Greg?

– Jestem.

– Musimy się spotkać.

– Jadę do ciebie z Ewą.

– Dobrze.

Odłożył słuchawkę. Co teraz? Powłókł wzorkiem po pokoju. Bałagan. Cholerny bałagan. Jakies talerze obok zlewozmywaka w kącie kuchennym. Plama piwa na podłodze. Podniósł się ciężko.

22.

– James jesteś pewien? – dobiegł go głos Ewy.

Zatrzymał się na światłach. Szeroka aleja była bardziej wymarła, niżby na to wskazywało sobotnie południe. Trzy puste pasy w jedną, trzy w drugą stronę. Rząd świateł nad nimi, na wsporniku w żółtym kolorze. Na błękit nieba nie zwrócił już uwagi. W lusterku wstecznym widział jej twarz.

– Niczego nie jestem pewien.

– Siostra – z przyganą odezwał się Greg.

Ania milczała, jak zwykle patrząc przez okno.

– Siostra, siostra. Nie wiem! Może powinniśmy to wszystko przeczekać?

– A twój narzeczony zostanie zmobilizowany – rozwijał jej myśl Greg.

– Może nic się nie stanie. Przecież oni nie są szaleńcami. To minie – oponowała Ewa.

Calahan ruszył. Lekkie poczucie przeciążenia odchyliło ich do tyłu. Puste ulice i aleje wypełnione były słońcem. Za żaluzjami, za kotarami, za ścianami domów ludzie pewnikiem wpatrzeni byli w ekrany telewizorów, z lękiem oczekując najbliższych dni i godzin. Władze uspokajały. Wszystko jest pod kontrolą. Nic złego się nie stanie. Przedsięwzięte środki ostrożności są na wyrost. W poniedziałek znów pójdziemy do pracy. Jak co dzień.

Jechał spokojnie. Nie spieszył się. Ustalili, że jedyną szansą dla nich – kto wie, może dla całego świata – jest dostać się do departamentu, w którym pracował Calahn. Była w nim specjalna końcówka, do wydzielonej, rządowej sieci informatycznej. Jeśli informacje z projektu „Apokalipsa” były prawdziwe, to zawierał on adres centralnego systemu dowodzenia armią. Tylko z tej końcówki mogli się do niego dostać. Budynek prawdopodobnie był chroniony. Pokój z tym komputerem zamknięty. Ale Calahanowi wszystko było jedno. Nie zamierzał ratować kraju. Nie zamierzał też ratować świata. Jechał tam, bo nie mógł znieść myśli, że już nigdy jego córka nie spojrzy mu w oczy, nie pójdzie z nim świadomie na spacer, nie zobaczy jej łez i uśmiechu. Może też dlatego, że coś w nim się obudziło w stosunku do Ewy. Już nie tylko jej atrakcyjna kobiecość go przyciągała. Ale coś, co było głębiej. Jakiś ton. Jakaś łagodność. Jakby coś, co na niego zawsze czekało. Nie zamierzał tego wszystkiego zawieszać na szali postępowania ludzi, którzy innych ludzi mieli za nic. Za liczby, za przedmioty. Za zadania do wykonania.

Fasadę budynku departamentu ocieniały, rosnące przy drodze, palmy. Słońce było właśnie w zenicie. Tuż przed wejściowymi, szerokimi schodami spacerował żołnierz, z przewieszonym przez ramię karabinem. Spiekota najwyraźniej dawała mu się we znaki, bo co jakiś czas

podnosił zmrużone oczy do góry i kręcił głową. Żaden komandos ani Navy SEALs. Młody człowiek, którego tu przywieźli i kazali pilnować. Ciekawe jak długo. Calahan minął budynek departamentu i skręcił przecznice dalej.

– Co teraz? – zapytała Ewa.

– Zaczekacie tu za rogiem, aż was zawołam.

– Przekonasz go, żeby nas wpuścił?

– Tak. Powiem, że mam pilną sprawę do załatwienia. Zostawiłem broń albo dokumenty.

Zamknęli samochód. Ewa trzymała Anię za rękę, Greg patrzył na niego z ciekawością.

– Grzecznie tu czekacie. Jasne?

– Nie możemy z tobą pójść?

– Nie.

Ruszył w kierunku budynku policji. Żołnierz go zauważył. Staął. Wyprostował się. Zdjął z ramienia karabin i ujął go w pozycji wycelowanej w zbliżającą się postać.

– Spokojnie, spokojnie. – Calahan wyciągnął odznakę w prawej dłoni, tak aby była z daleka widoczna.

Żołnierz opuścił karabin w kierunku ziemi.

– Starszy inspektor Calahan. Przyjechałem odebrać broń ze skrytki. Wiesz, mamy mobilizację.

– Nikomu nie wolno wchodzić.

– Daj spokój. – Calahan opuścił rękę chowając odznakę i podchodząc bliżej.

– Nikomu nie wolno wchodzić. – Żołnierz ponownie podniósł karabin.

– Hej, hej. Spokojnie. – Calahan wyciągnął obie dłonie uspokajającym gestem.

– Mam bezwzględny zakaz wpuszczania kogokolwiek. Jest stan wyjątkowy.

– No przecież wiem, wiem... – Spokojnym głosem starał się tonować napięcie. – Nawet mnie nie wpuścisz? Przecież widzisz – mrugnął do niego okiem – jestem stąd.

Żołnierz stał przez chwilę w milczeniu, patrząc na Calahana. W końcu pokręcił przecząco głową.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę kłopotów. Odejdź.

– OK, OK. Nie można to nie można. Przecież obaj stoimy na straży prawa, co nie? – mrugnął do żołnierza ponownie i nagłym ruchem ręki odtrącił na bok, wyciągnięty karabin. Równie gwałtowne kopnięcie wylądowało, niemal w tej samej chwili, na genitaliach mundurowego.

– Sorry chłopie – powiedział Calahan, widząc zwijającego się w pół żołnierza i częstując go podbródkowym, który wyrwałby nosorożca z przysiadu. Tak przynajmniej uważał.

Oszołomione ciało młodego mężczyzny wyprostowało się i runęło do tyłu.

– James! – Usłyszał z tyłu krzyk Ewy, gdy pochylał się nad nieprzytomnym żołnierzem. Rozejrzał się dokoła. Pusto poza Ewą, Gregiem i Anią, którzy właśnie dobiegli do niego.

– Bierz go za nogi – zwrócił się do Grega i chwycił nieprzytomnego pod pachy.

Drzwi były zamknięte, na szczęście jego osobista karta nadal otwierała zamek.

23.

Sobota, 19 marca 2033.

Czuł zapach Vivien. Czuł jej smak i dotyk. Całym ciałem, całym sobą. Czuł jak jego ciało rozpuszcza się. Skóra robi się podobna do gęstego kleju, przywiera i przenika w głąb jej ciała. Krzycząc, z całej siły podparł się na przedramionach. Nadludzkim wysiłkiem uniósł się kilkanaście centymetrów ponad nią. Widział, jak przywarte do niej obszary jego skóry rozciągają się i pękają, z bólem wywołującym deszcz iskier w jego czaszce. Każde pęknięcie to smagnięcie żaru. Ból.

Siedział w swoim gabinecie. Zgaszone światło. Wygodne kubelkowe krzesło. Skulony. Przestraszony. Niepewny. W tym wielkim biurcu, zakopanym pod ziemią, był jak robak, zamknięty w swojej małej pieczarze. Na korytarzu paliło się światło. Z pewnością się paliło.

– Chcieliśmy złożyć panu propozycję. – Elegancki mężczyzna, o nalanej twarzy, w brązowym garniturze z kamizelką, w czerwonym krawacie, podawał mu cygaro. Wziął je. Przesunął pod nosem. Widział taki gest w telewizji. Nie mógł się zorientować, co do końca wynika z całej tej sytuacji, ale zawsze grał. Zawsze grał w grę, którą było życie. I zawsze wygrywał, bo znał reguły gry. – Jest to propozycja jednorazowa. Można by powiedzieć, propozycja życia lub śmierci.

Śmierć. Więc to o to chodzi. Kij i marchewka. Wieczne podchody.

Mężczyzna usiadł na rogu wielkiego zabytkowego biurka. Złożył ręce, patrząc na niego z pewnej wysokości. Dał by sobie rękę uciąć, że jego rozmówca jest spocony. Że cuchnie mu spod pach. Że to całe, nabrzmiące pychą i żądzą, ciało właśnie wydalało z siebie produkty nadmiernej przemiany materii. W jego kierunku wysunęła się pulchna dłoń z zapalniczką. Zapalniczka była srebrna. Wydawała się autentyczna i zbyt bogata, jak jej właściciel. Czerwonawy kciuk opadł na jej mechanizm. Górna płytką odchyliła się o dziewięćdziesiąt stopni i z wnętrza zapalniczki wypłynął błękitny płomień.

Nachylił się, trzymając cygaro w ustach. Okropny smak dymu wpadł do jego wnętrza. Drażnił jego pęcherzyki płucne. Nabrał większy haust dymu i wypuścił z widocznym ukontentowaniem. Opuścił rękę na oparcie, w charakterystycznym geście zadowolenia i założył nogę na nogę. Wewnątrz czuł pulsowanie żołądka, który buntował się przeciw obecności dymu w jego organizmie.

– Proszę pana. – Twarz jegomościa nachyliła się nad nim. Widział dokładnie zaczerwienienia na jego policzkach. Jego żółtoszare oczy. Dlaczego żółte? Czy ludzie mają żółte oczy? Widział dokładnie obwiednie źrenic. Czarnych źrenic otoczonych wianuszkami żółtawych tęczówek. Poczował, jak te oczy wpadają do jego wnętrza, jak dym nikotynowy przemieszczają się w środku. Jego żołądek zdawał się, niez-

leżnie od jego gry, mieć dosyć całej tej sytuacji i zupełnie automatycznie powędrował w górę. Nachylił się gwałtownie i chrząknął.

Było ciemno. Dlaczego tam zawsze było ciemno? Właściwie to nie miał wyboru. Z nimi nigdy nie ma się wyboru. Po prawej i po lewej, siedzący na krzesłach ludzie. Głowy. Widział tylko głowy, zanurzone w półmroku, jak jakieś wielkie jaja. Przechodził przejściem. Zabiorą jego duszę? Istnieje coś takiego jak dusza? Najpierw spróbował wydostać się przez sufit. Uderzył weń całą siłą. Tworzące go płyty gipsowe pękły i zaczęły opadać w dół. Przebił betonowy strop i znalazł się na wyższej kondygnacji. Oni trzymali go za nogi. Krzyknął. Albo raczej wydał z siebie ryk. Ryk, który rezonował z betonem, z którego zbudowana była cała budowla. Unosił się w górę. Kondygnacja za kondygnacją. Był jak rozpędzona kula armatnia. Czuł jak puszczają go dłonie. Jedne po drugich.

Stał na zielonej trawie. Ingrid plecami do niego, w letniej sukience. Kolor słońca był nienaturalnie ciepły. Chciał podejść do niej. Przed nimi rozpościerał się widok. Położone w dole miasta, rzeki. Jak jej miał to powiedzieć? Włożył ręce w kieszenie. Zrobił krok. Czy Bóg istnieje?

Patryk Lindqvist otworzył oczy. Czuł w głowie, przelewające się jeszcze, fale snu. Sufit nad nim był szary. Nie na skutek koloru farby, którą był pomalowany, ale wskutek pory dnia. To nie farby tworzą kolory. Zapominamy o tym tak często. To słońce. Światło słońca jest źródłem kolorów. Zawiera w sobie je wszystkie. Odetchnął głęboko. Więc to jest ten dzień. Ten dzień. Usiadł na łóżku. Skąd się biorą marzenia senne? Tyle pytań dziś może znaleźć odpowiedzi. Miał na sobie dwuczęściową, bawełnianą pidżamę. Lekką, delikatną, w szarą kratkę. Nie lubił spać nago. Nie lubił już wielu rzeczy. Rzeczy, które były w jakiś sensie narkotykami. Których zadaniem było oczarowywać świadomość. Dawać coś więcej. Skupiać uwagę w nagłym rozbłysku przyjemności. Po to tylko, aby nie czuć obezwładniającej konstatacji, że sposób w jaki żyjemy jest samotny. I smutny.

Mógł śledzić rozwój wydarzeń w Sercu na bieżąco. Mógł z napięciem obserwować finalny odcinek swojego eksperymentu. Nalał sobie szklankę wody. Podniósł ją do ust. Był ciekawy. Jeszcze chwilę. Jeszcze chwilę i wszystko będzie jasne. Chociaż z drugiej strony. Element, który miał być, w jego początkowym zamiarze, elementem maskującym jego właściwą intencję, urastał powoli w jego świadomości. Eksperyment, od samego początku, miał oczywiście na celu próbę powstrzymania szaleńców z Kapituły. Czy to byli szaleńcy? Czy to słowo właściwie ich opisuje? Kolejny łyk wody wpłynął do jego gardła. Nie mógł oczywiście zadeklarować wprost: moi kochani, zbuduję komputer kwantowy, za pomocą którego spróbuję pokrzyżować wasze szalone plany zagłady świata. Więc wymyślił pretekst. Badanie istoty rzeczywistości. Tego kim i czym jesteśmy. Podszedł do tego tak, jakby

od tego zależała ostateczna odpowiedź na jego pytania. Zrobił to na serio. I teraz sam był zdumiony. Pytaniami Ingrid, rozwojem całej sytuacji. Czy postaci będące programami w jego komputerze, rzeczywiście żyły? Czym jest życie? Świadomość. Czy to niemożliwe, że sami jesteśmy programami w jakimś niezwykłym komputerze? Ktoś dostarcza nam myśli, emocji, zasobów. Ktoś daje nam świadomość, która odbiera wszystkie możliwe dane. Ktoś umożliwia nam dokonywanie wyborów. Opartych głównie o przewidywalne procesy przetwarzania emocji, ale posiadających element nieprzewidywalności. Ktoś pozwala nam budować swoje własne obrazy istniejącego świata, a gdy wgłębiamy się w ów świat zbyt głęboko, to dostarcza nam odpowiedzi, kwestionujących nasze pojęcie o rzeczywistości. Religia i fizyka kwantowa. Max Planck i przekonania, że istnieje tylko Bóg, a wszystko inne jest przez niego myślane. Czy istniejemy naprawdę? Czy jesteśmy tylko myślami? A może myśl jest tym, co jest naprawdę. Materia zaś jest tylko nazwą innych myśli, wrażeń przez nas odbieranych. Modelem i domniemaniem, które sobie tworzymy na podstawie tego, co do nas dociera.

Gdyby świat miał się skończyć. Gdyby miał się skończyć rzeczywistość dzisiaj. To próba odpowiedzi na te wszystkie pytania, nieoczekiwane, okazałaby się jego właściwym eksperymentem. Nigdy nie wierzył w Boga. Z politowaniem patrzył jak religie, przy pomocy obrzędów i wierzeń, starają się o jedno, o kontrolę nad populacjami ludzkimi. Wszystko jest walką o byt. Walką o władzę. Tak przynajmniej sądził. Teraz patrząc na postaci w świecie, który stworzył – a stworzył najwierniej jak to tylko możliwe – miał poważne wątpliwości. Nigdy nie odrzucał żadnych poglądów a priori. To nie było w jego stylu. Zawsze był otwarty. Więc, kiedy wskutek swojej pracy osiągnął stan, w którym jego programy zaczęły przypominać egzystencję ludzi, chcąc nie chcąc, wrócił do pytań o własne istnienie. O istnienie jako takie. Nie mógł w żaden sposób odrzucić, ani prawomocnie zanegować tezy, że istnieje możliwość, iż całe nasze doświadczenie jest spójnym strumieniem informacji, dostarczonym do naszej świadomości. Nie było sposobu, by zdyskredytować możliwość, iż istniejemy, bo coś lub ktoś – nas myśli. I owe myśli, które nas myślą i które jednocześnie dostarczają nam „rzeczywistości”, są jedynym prawdziwym istnieniem. Zresztą szereg faktów doświadczalnych wydawało się wspierać pogląd, że rzeczywistość jest informacją, odbieraną przez nas gdy o nią pytamy.

Zaczął się przebierać. Krajobraz za oknem był wciąż szary. Stalowe, skłębione niebo wisiało nisko nad horyzontem. Zarysy skał pozbawione były koloru. Brak słońca – przypomniał sobie. Dziś jednak był dzień rozstrzygnięcia jego prawdziwego eksperymentu. Programy, które pieczołowicie przygotowywał, miały zmierzyć się z ostatnim zadaniem. Złamaniem systemu Kapituły i powstrzymaniem przygotowanej światu apokalipsy. Kiedy pierwszy raz tworzył swoich „lu-

dzi”, musiał rozwiązać problem uruchomienia specjalnego programu, dysponującego algorytmami i mocą obliczeniową, zdolną pokonać każde zabezpieczenie istniejące na świecie. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie jego prace są obserwowane przez Kapitułę. Lustro. System podglądu, wprowadzony do Serca, na bieżąco umożliwiał jego dawnym „braciom i siostram” lustrację jego przedsięwzięcia. Więc zaprezentował im pomysł weryfikacji zagadnienia istnienia świata. Zasugerował, że chce stworzyć świat. Stworzyć ludzi. Być ich Bogiem. Odkryć lub sprawdzić tajemnicę istnienia. O dziwo teraz na to wszystko patrząc, musiał przyznać, że pomysł ten udał mu się znakomicie. Ludzie, których stworzył żyli wewnątrz świata, który zaprojektował. Żyli i byli siebie świadomi. Posiadali emocje, nadzieje, nawyki i wszystkie możliwe doświadczenia. Byli w jakimś sensie dokładnymi odpowiednikami nich samych. Było to tak dokładne, że aż przerażające. Niemożliwe po prostu. Dla realizacji swoich zamiarów posłużył się stworzeniem anomalii programowych. Autyzm. To było to. Dzięki implementacji autyzmu w programie nazywanym „Ania”, mógł w nim umieścić cały przeogromny potencjał matematyczny, niezbędny do próby złamania systemu Kapituły. To tam właśnie zaimplementował wszystkie algorytmy, wszystkie procedury. Umożliwił temu programowi bezpośredni dostęp do procesora kwantowego. Wszystko – w oczach innych – w celu implementacji autyzmu. Przecież dzieci autystyczne mają niezwykle zdolności matematyczne. Ania była najlepszym sposobem, by ukryć i uzasadnić przeladowanie jednego programu, pozornie zbędnymi algorytmami matematycznymi. Czy w rzeczywistości, dzieci autystyczne mogą być rzeczywiście takimi wadliwymi programami? Pytania o rzeczywistość postanowił pozostawić na później. Na moment, gdy już wszystko będzie wiadome. Kto będzie górą. Zadufani jego pobratymcy z Kapituły czy on, outsider z wyboru, zamknięty na Islandii przez ostatnie trzy lata. Wiele się nauczył od tej wyspy. Nauczył się surowości, ale także ciepła, które chowa ona pod warstwą skał. Nauczył się jak wiele znaczy bliskość innego człowieka. Tak naprawdę na nowo odkrył swoją miłość do Ingrid. Gdy wałęsała się z nim po skalistych, obnażonych brzegach, gdy wspinali się na wulkaniczne skały, gdy krajobraz ich otaczający nie miał w sobie nic z rajskiego edenu, a przypominał bardziej scenerię z posępnego filmu science fiction, wtedy – odkrywali siebie. Odkrywali realność tego, co jest między nimi. Co nie wymagało nawet słów. Specjalnych gestów. Co przekraczało nawet seks. Ich bliskość stawiała się tu namacalna, gęsta, niemal dotykalna. Chciał ją uratować. Przenieść poza ten dzień. Splatać figła „Panom Świata”.

Ostawił szklankę na srebrną tacę. Usłyszał metaliczny brzęk.

24.

Wszedł do windy. Jasne wnętrze i przyjemny zapach objęły go z czułością. Winda ruszyła w dół. Jak to się stało? Jak doszło do tego wszystkiego? Winda zatrzymała się. To już dziesięć lat. Dziesięć lat temu w jego biurze, na ostatnim piętrze najwyższego wieżowca w Oslo, pojawił się niepozorny mężczyzna. Ciemny garnitur, granatowy krawat, przerzedzone włosy zaczesane gładko do tyłu, nieokreślony wiek. Gdy pytał później sekretarki dlaczego go wpuściła, nie potrafiła wyjaśnić. Od pierwszego uścisku ręki, Lindqvist czuł niezwykłość tego spotkania. Jego rozmówca zaproponował mu udział w projekcie. Oświadczył, że reprezentuje poufne stowarzyszenie inwestorów z całego świata, którzy przychylnie patrzą na rozwój Lindqvist Industries – spółki Patryka. Na pytanie co mają do zaoferowania, odpowiedział, że właściwie wszystko. Chyba ta odpowiedź spowodowała, że Patryk spojrział na swojego gościa inaczej. Jego, wtapiający go w otoczenie, ubiór i maksymalnie powszednia powierzchowność nagle zamiast wtapiać go w tło, zaczęły go, w umyśle Lindqvista, wydobywać na plan pierwszy.

– Co właściwie ma pan na myśli, mówiąc wszystko? – zapytał wtedy.

– To co pan sobie zażyczy – odpowiedział spokojnie Smith.

James Smith – tak się przedstawił. Kabaretowa tożsamość była jakby częścią wizerunku tego człowieka.

– Zażyczę sobie swobodnego wejścia na rynki azjatyckie.

Smith skinął głową. Patryk patrzył na rozmówcę, usiłując odgadnąć co owo skinięcie miałoby znaczyć.

– I? – zapytał.

– Zgoda.

– Zgoda?

– Oczywiście.

– Pan mówi poważnie.

– Czy jest we mnie coś, co sugerowałoby panu, że mówię niepoważnie?

Patryk zastanowił się. Coś było nie tak. Nie może ktoś z ulicy wejść do gabinetu największego europejskiego producenta nowej generacji procesorów i, tak po prostu, dać mu dostęp do zamkniętych dla niego rynków Azji. A z drugiej strony dlaczego to niemożliwe? Czy przekonania o tym co „niemożliwe”, nie są bodajże najsilniejszą przeszkodą, trzymającą nas tam gdzie jesteśmy, powstrzymującą przed rozwojem, przed lotem, do którego jesteśmy zdolni, ale którego sami sobie odmawiamy, tłumacząc sobie raz po raz – „to niemożliwe”? Doskonale pamiętał moment, gdy zakładał „Lindqvist Industries”. Postanowił wtedy, że nie będzie się już nigdy sugerował tym co możliwe lub niemożliwe. Wszystko jest możliwe, jeśli potrafimy tego dokonać.

To było możliwe. Ten mężczyzna naprzeciwko niego, faktycznie mógł mu otworzyć dostęp do Azji. Gdyby to się stało, Lindqvist Industries stałoby się najpotężniejszą korporacją światową w dziedzinie nowych technologii.

– A... warunki? – zapytał.

– Nie mamy żadnych specjalnych warunków. Chcemy po prostu, aby pan dołączył do nas.

– Do stowarzyszenia?

– Możemy je nazywać tym określeniem. To unikalna organizacja. Właściwszą nazwą byłaby: Kapituła.

– I czymże zajmuje się owa Kapituła?

– Z grubsza rzecz biorąc rządzeniem światem.

Lindqvist przełknął odrobinę wody, która stała obok niego w kryształowej szklance. To jednak było niemożliwe. Tak. Wiedział, że istnieją tajne stowarzyszenia, grupy wzajemnego wsparcia i temu podobne. Deklaracja jednak, że jakaś grupa zajmuje się rządzeniem światem, była tak nedorzeczna, że całą wizytę i swojego gościa natychmiast ujrzał w innym świetle.

– Rozumiem. Nie jestem zainteresowany – odpowiedział z dość kwaśnym uśmiechem, sięgając w kierunku przycisku wzywającego sekretarkę.

– Na pana miejscu ponownie rozważyłbym naszą propozycję.

– Rządzenia światem?

– Stania się jednym z nas.

– Wie pan. Nie mam czasu.

– Wiem. Spał pan niezbyt dobrze. Z żoną pokłócił się pan poprzedniego dnia, dlatego spał pan w pokoju w lewym skrzydle swojego domu. Irytuje pana jej niezrozumienie dla pana powołania: zbudowania nowego świata. Rano wziął pan, jak zwykle, środki pobudzające pracę pańskiego umysłu. Działają coraz słabiej, co tylko powiększa pańską irytację. Ach, portret żony, w ramce, w pańskiej sypialni położył pan zdjęciem do dołu. Właściwie miał pan je zamierzać schować do szuflady, ale odrobina poczucia winy a jednocześnie pewien zamiar demonstracji spowodował, że jedynie położył je pan tam. Nie muszę ilustrować panu sytuacji, w jakiej znajduje się pański biznes. Lindqvist Industries pomimo błyskotliwego rozwoju i dokonywania coraz to nowych osiągnięć technologicznych, znajduje się obecnie w bardzo silnej zależności od pożyczek krótkoterminowych, zaś większość aktywów finansowana jest z obligacji zamiennych na akcje pańskiej firmy. Jeśli chcemy, możemy ją, w zasadzie, przejąć w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

Lindqvist patrzył na gościa, jak na przybysza z innej planety. Rzeczywiście, wszystkie opisane przez przybysza fakty i zdarzenia miały miejsce. Co więcej, poprawnie opisał on jego motywacje i emocje. Znał też dokładnie sytuację jego biznesu. Tylko w jaki sposób ten człowiek mógł to wszystko wiedzieć? Jak to możliwe? Czy są rzeczy

niemożliwe? To pytanie ponownie stanęło przed nim z całą powagą.

– To dlaczego nie przejmiecie po prostu mojej firmy, skoro to takie łatwe?

– Och. Pan sam wie, że to jest w tej chwili bardzo łatwe. Nie muszę przecież panu tłumaczyć mechanizmów, które pan tak dobrze zna. Nam po prostu nie zależy na pańskiej firmie.

– To na czym wam zależy?

– Myślałem, że wyraziłem się jasno. Zależy nam na panu.

– W jakim sensie?

– Pan ma dar. Pan jest geniuszem w swojej dziedzinie. Jest pan też geniuszem w dziedzinie biznesu i organizacji. Gdy dołączy pan do nas, będzie pan cenną wartością dodaną Kapituły. Kapituła nie może pozwolić sobie na utratę takiego potencjału jak pańska osoba.

– A jeśli odmówię?

– Pan wie, że nie mówi poważnie.

Lindqvist zamilkł. Wszystko zdawało się świadczyć, że rzeczywiście miał do czynienia z sytuacją, choć nie do pomyślenia, to jednak możliwą. W ostateczności, mógł się przekonać z kim ma do czynienia. I wycofać w razie czego. Czy to mogło być tak po prostu? – pytał sam siebie. Dwie narożne ściany jego gabinetu zbudowane były z przezroczystego syntetycznego szkła. Widać przez nie było panoramę Oslo, zatopionego w majowym, wczesnym słońcu. Milczał przez chwilę. Spojrzał jeszcze raz na rozmówcę, jakby chciał się upewnić, czy to się dzieje naprawdę. Wyciągnął do niego dłoń.

– Cieszę się – powiedział Smith.

Lindqvist nic nie mówił, patrząc przybyszowi w oczy. Wydawały się być bezbarwne, bez wyrazu. Ściskając jego dłoń poczuł coś. Spojrzał w dół. Mężczyzna miał na dłoni niewielki złoty sygnet. Zdawało mu się, że dostrzega na nim jakieś, mieniające się czerwienią, oczko.

Wydarzenia, które miały miejsce potem, były dla niego jeszcze bardziej niewiarygodne, ale nadal, jak sam tego doświadczał, możliwe. Stał się jednym z trzystu dwunastu członków Kapituły. Efemeryczna organizacja okazała się jak najbardziej realna. Jej zadania zaś i możliwości, tak jak je zarysował Smith na pierwszym spotkaniu, nie były ani trochę przesadzone. Lindqvist Industries stało się światowym potentatem w dziedzinie nowej generacji procesorów. Nieograniczone środki na rozwój i badania jakie uzyskał Patryk, skierował na pracę na procesorem kwantowym. Jego największym marzeniem. Kapituła była organizacją spotykającą się kilka razy w roku. W przestrzeni pomiędzy spotkaniami utrzymywali stały kontakt elektroniczny. Ich spotkania miały miejsce w Abbys City. Ta niezwykła budowla położona na dnie morskim w rejonie Karaibów, na głębokości siedemnastu metrów pod powierzchnią morza, była kompleksem przypominającym prawdziwe miasto. Z restauracjami, basenami, a nawet kortem tenisowym. Bywali tam ludzie spoza Kapituły, tylko jednak dla członków otwarta była część prywatna. Tam właśnie poznał Vivien. Zjawiskowa brunet-

ka, o umyśle porównywalnym do szachowych arcymistrzów, stała się jego przewodniczką, przyjacielem, a na końcu kochanką w tym podmorskim świecie. Zbliżenia między nimi miały w sobie coś z niezmierności. Oderwani od świata. Zanurzeni w oceanie. Oglądający przez szybę – będącą ścianą jego kajuty – przepływające ryby. Zanurzali się w sobie. Do dna. Bez reszty. Wydawało mu się, że odkryła w nim samym coś nowego. Jakąś pasję, energię, coś co uderzało mu do głowy, jak ona. W jej obecności nie potrafił niczego zatrzymać dla siebie. Była dla niego jak morze. Obejmowała go całą sobą. Tańczyła przed nim każdym gestem swego ciała, które gięło się pod wpływem jego pieszczot i pocałunków.

Potem awansował. Okazało się, że na czele Kapituły stoi Zarząd. Choć nie stał się jednym z członków Zarządu, to coraz częściej był zapraszany przez to grono. Współtworzył plany rozwoju ludzkości. Projektowali nowe kierunki i prądy zmian. Zarówno w warstwie technicznej jak i społecznej. Dopiero tam dostrzegł, że prawdziwe mechanizmy władzy leżą zupełnie gdzie indziej, niż mógłby to przypuszczać odbiorca światowych serwisów informacyjnych. Ich współpraca rozwijała się do momentu pierwszych eksperymentów z prototypami procesora kwantowego. Wtedy także pojawił się projekt „Feniks”. Zakładał zbudowanie odizolowanej od reszty Ziemi enklawy, zdolnej przetrwać kataklizm atomowy. Celem projektu miało być zweryfikowanie możliwości przetrwania ludzkości w trudnych warunkach, na przykład na innej planecie. Znalezione dwa tysiące ochotników. W Górach Skalistych wybudowano niezwykłą kopułę. Planowano zamknąć w niej ochotników na okres trzech lat, z możliwością przedłużenia o następne takie okresy. Lindqvist w trakcie analizy tego projektu natrafił na niepokojące poszlaki. Gdy jednemu z prototypów komputera kwantowego zlecił analizę Feniksa, otrzymał wniosek, który go zaszokował. Feniks mógł prowadzić do zagłady ludzkości. Sprawdzając przesłanki, jakie zdaniem pierwszego prototypu skłaniały do takich wniosków, zauważył, że symulacja zagrożenia dla Feniksa: podprojekt „Apokalipsa”, mogła prowadzić w rzeczywistości do zagłady Ziemi. Autorzy planowali w jednym z jego etapów, przetestowanie reakcji na realne zagrożenie nuklearne. Głębsza analiza powiązanych ze sobą przedsięwzięć, oraz oddziaływania zaangażowanych w projekt systemów sztucznej inteligencji, dawała wnioski, że planowane działania prowadziły w efekcie do uruchomienia arsenałów nuklearnych. Arsenale te znajdowały się pod kontrolą ludzi i systemów informatycznych. Jednak w ostateczności, to owe systemy uruchamiały odpalenie nośników ładunków nuklearnych. Ludzie musieli jedynie wydać im dyspozycje. Nowe technologiczne rozwiązania, promowane przez Kapitułę a stosowane w systemach obronnych największych państw, umożliwiały w szczególnych przypadkach uruchomienie arsenału przez sam system. Niezbędne do tego było podjęcie początkowych czynności przez ludzi, a więc uznanie, że zagrożenie nuklearne jest realne, włączenie od-

powiedniego poziomu gotowości i uruchomienie systemów nadzoru odpalania rakiet.

Gdy Patryk po raz pierwszy przebiegał wzrokiem swoje odkrycie, nie wierzył własnym oczom. To nie może być prawda. To jakieś szaleństwo – mówił sam do siebie, patrząc na ekran. Pamiętał doskonale rozmowę jaka nastąpiła potem. Zażądał natychmiastowego kontaktu z Zarządem Kapituły. Każdy członek Kapituły nosił złoty sygnet na prawej dłoni. Oczka trzech sygnetów miały inskrypcje z czerwonych rubinów. Nosili je członkowie Zarządu.

– Jesteś w błędzie Patryku – usłyszał w odpowiedzi od jednego z trzech.

Rozmowa miała miejsce w Abbys City, w najniżej położonym jego miejscu. Prowadził do niego długi, pochyły, wyłożony stalowymi płytami korytarz. Biometryczna kontrola dłoni i oka otwierała grube drzwi, które bezgłośnie uchylały się ukazując niewielką okrągłą salę. Sala ta nie miała, jak większość pomieszczeń w City, okien, przez które można by obserwować życie oceanu. Przypominała raczej zagubiony gdzieś na pustyni bar. Zwykłe metalowe krzesła, kilka stolików, lekko oświetlony barek ze standardowym wyposażeniem. Siedział przy jednym z takich okrągłych stolików. Siny blat nie zachęcał do oparcia rąk. Naprzeciw niego trzy pozbawione wyrazu twarze. Pierwszy z nich odwiedził go kiedyś w Oslo. Teraz patrzyli na niego uprzejmie, ale zimno.

– Nie jestem w błędzie. Wykonałem analizę na pierwszym prototypie. Te systemy. Systemy bezpieczeństwa, które zostały nowo zainstalowane w siłach reagowania największych państw. One są wrażliwe na podniesienie progu gotowości. Jeśli Apokalipsa, podprojekt Feniksa, doprowadzi do podjęcia decyzji przez polityków, że istnieje zagrożenie nuklearne, jeśli postawią w stan gotowości swoje systemy obrony, to może dojść do katastrofy.

– To wykluczone – odpowiedział drugi.

– Nie rozumiemy się. To nie jest wykluczone – kontynuował – co więcej, to jest nawet bardzo prawdopodobne. Nie wolno dopuścić do fazy tworzenia zagrożenia przez Apokalipsę. Jeśli ludzie podniosą gotowość i uruchomią inteligentne systemy obrony, to możemy się wszyscy spalić.

– No cóż – odezwał się trzeci, milczący do tej pory mężczyzna. W odróżnieniu od pozostałych, ubrany był jedynie w kraciastą koszulę z krótkim rękawem. – Powiedzmy, że rzeczywiście wydarzenia mogłyby się potoczyć w opisany przez ciebie sposób... – wstrzymał się, patrząc uważnie na Patryka – co wówczas?

– Jak to co? – powiedział, zduszonym ze zdumienia głosem, Patryk. – Przystaniemy istnieć.

– My? – Pytanie zawisło w powietrzu.

– Nie rozumiem.

– System Feniks gwarantuje bezpieczeństwo, wszystkim znajdującym

cym się pod jego opieką, w tym, wszystkim członkom i rodzinom członków Kapituły.

Patryk patrzył na tych ludzi. To się nie dzieje naprawdę. To niemożliwe. Niemożliwe. Tego nie można przyjąć do wiadomości. Przecież oni nie chcą wysadzić Ziemi! A gdyby? A gdyby rzeczywiście mieli taką intencję? Co wtedy? Gdyby uruchomili zagładę nuklearną, a jednocześnie zapewnili przetrwanie sobie i nielicznym, co wówczas? Stali by się jedynymi panami Ziemi? Obrzydliwość tej hipotezy wstrząsnęła nim do głębi.

– Prowadziłem także analizę bezpieczeństwa Feniksa – zagrał swoją ostatnią kartę.

– I?

– Kopuła Feniksa nie wytrzyma tego, co się stanie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Jesteś z nami czy przeciwko nam? – Padło pytanie tego pierwszego.

– Co to za pytanie?

– Zupełnie normalne.

– Czy wy chcecie zniszczyć świat? Przecież tu nikt nie przetrwa.

– Patryku – kontynuował pierwszy. – A gdyby tak istniało jeszcze jedno. Schronienie. Miejsce, z którego będą podejmowane decyzje. Miejsce, które, poza wszelką wątpliwością, pozwoli na przetrwanie takiej hipotetycznej sytuacji?

– Powiedziałbym, że ono również nie zapewni bezpieczeństwa. Wiedział co mówił. Przed przyjściem na spotkanie uruchomił wszelkie niezbędne symulacje.

– Jesteś w błędzie.

Milczał. Co miał powiedzieć, gdy najoczywiściej ci ludzie zaprzeczali obrzydliwej prawdzie, że być może, zamierzają doprowadzić do zagłady życia na Ziemi.

– Posłuchajcie. Nawet wówczas, takie miejsce pozwoli na przetrwanie zaledwie tygodni. Zmiany jakie nastąpią, uczynią życie ludzkie na tej planecie niemożliwym, a wasze schronienie nie wytrzyma trzech miesięcy. Wystąpią ruchy tektoniczne. Wszyscy zginą, czy tego nie rozumiecie?

– Patryku, posłuchaj – odezwał się trzeci. – Stoimy przed taką oto alternatywą. Nieco niechęć doszedłeś do mylnych, podkreślam, mylnych wniosków na temat projektu Feniks. Projekt Feniks jest priorytetem Kapituły i nic, podkreślam nic, nie może stanąć na przeszkodzie jego realizacji. Czy my się rozumiemy?

Lindqvist patrzył, nie wierząc własnym uszom i oczom. Pierwszy mężczyzna był najmłodszy. Jego wzrok był najbardziej obojętny. Drugi przypatrywał mu się cały czas wnikliwie. Miał włosy zaczesane do tyłu z widocznym przersedzeniem na szczycie czaszki. Trzeci ubrany na sportowo miał siwe włosy, ale krótko ostrzyżone na tak zwaną szczotkę. Czy oni się rozumieli? Czy ci ludzie byli samobójcami? Czy

wiedli za sobą wszystkich pozostałych w ciemną otchłań zagłady? Pytania, niczym błyskawice, przenikały świadomość Lindqvista. Co jest grane? Co ma zrobić?

Ich groźby były aż nadto zrozumiałe. Nie potrzebował zbytnio się zastanawiać, by zrozumieć, w jak poważnej sytuacji się znalazł. Ci ludzie władali światem. Mogli wszystko. Był wobec nich nikim. W przypadku jakiegokolwiek wątpliwości wyeliminowałiby go natychmiast. Skoro z nim rozmawiali, to znaczyło, że zakładają, iż on zrozumie. I rozumiał. Nie rozumiał tylko – dlaczego. Dlaczego to wszystko. Nie rozumiał ich szaleństwa. Co, lub kto, prowadziło ich do tej szalonej decyzji? Czy to możliwe, aby sami nie wiedzieli, że koniec końców zginą i nie zostanie nikt? A skoro on im to powiedział, to dlaczego nie słuchali? Byli zbyt inteligentni i zbyt mądrzy, aby nie wiedzieć, albo aby puścić mimo uszu taką uwagę, albo aby nie sprawdzić do ostatniej nitki, wszystkich możliwości jakie niósł ze sobą ich projekt, zwłaszcza jeśli miałby stanowić zagrożenie dla nich samych. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Pytania stawały przed nim niczym wznieśiona fala, z którą musiał się zderzyć.

– Rozumiemy się – odpowiedział.

– Czy to znaczy, że jesteś z nami w tym projekcie?

– To znaczy, że rozumiem wasze stanowisko i nie zgłaszam, ani nie będę zgłaszał żadnych zastrzeżeń.

– Będziesz z nami w centrum dowodzenia, kiedy projekt wejdzie w fazę wykonania?

– Nie wiem gdzie będę – popatrzył na te trzy wpatrzone w niego badawczo twarze. – Znacie moje stanowisko i przewidywania. Być może się mylę jak twierdzicie. Ale chciałbym...

– Chciałbyś... – dopowiadał ten drugi.

W swoim umyśle Lindqvist prowadził błyskawiczne rozumowanie. Nie zna i nie pozna powodów, dla których ci ludzie chcą narazić gatunek ludzki na wyginięcie. Popęłnić ostatnie zbiorowe ludobójstwo, łącznie z samobójstwem. Nie ma najmniejszych szans na przeciwstawienie się im, a każda jego najdrobniejsza próba przeciwdziałania, informowania o tym kogokolwiek, natychmiast spowoduje likwidację jego i wszystkich, z którymi miał styczność. Wiedział to. Znał przykłady działania Kapituły, gdy jej projekty były zagrożone. Tylko nigdy do tej pory, żaden projekt nie był taką potwornością. Wszystkie projekty miały na celu dobro ludzkości, a ci którzy im zagrażali, to byli anarchiści lub terroryści. To dla eliminacji takich właśnie jednostek, Kapituła wdrożyła na całym świecie mechanizmy totalnej inwigilacji. Z troski o ludzi.

– Chciałbym zawrzeć z wami układ.

– Po co? – zapytał ten drugi.

– Mam pewną ideę. Pewien pomysł – konstruował spontanicznie jedyną możliwą do pomyślenia propozycję. – Chciałbym... przekroczyć życie.

Milczenie, na twarzach pozostałych, nie wyrażało ani konsternacji, ani lekceważenia. Na twarzy żadnego z trójki nie pojawił się uśmiech ani gest irytacji. Patrzyli na niego z zaciekawieniem. Kupił ich autentyczną uwagę. Czy nie o to ostatecznie chodzi? O to by trwać? Czy nie takie pytanie i problem ludzie zawsze sobie stawiali i stawiają, niezależnie od czasów i pozycji? Widząc wyczekujące milczenie kontynuował:

– Chciałbym zawrzeć z wami układ. Pozwolicie mi, zgodnie z moim przekonaniem, wyłączyć się z projektu Feniks. Jeśli dojdzie do fazy realizacji finalnej, będę po prostu poza bezpiecznym kręgiem, który projekt gwarantuje swoim uczestnikom. Wy dacie mi czas na zrealizowanie mojego eksperymentu. Chcę stworzyć model życia. Przekonać się, czy używając technologii, która obecnie jest tylko prototypowa, zdołam odtworzyć pełną lub prawie pełną informację o rzeczywistości. Chcę stworzyć w niej ludzi. Sprawdzić jak będą reagować. Jak całość będzie funkcjonować. Czy będzie stabilna. Czy będzie odpowiadała naszym własnym doświadczeniom i przeżyciom. Mówiąc krótko, chcę się przekonać, kim jesteśmy i, jeśli moja hipoteza okaże się słuszna, czym jest życie i rzeczywistość. Gdyby odpowiedź na moje pytania była twierdząca. Gdybyśmy rzeczywiście byli rodzajem myśli, rodzajem programów odbierających informacje jako obiektywną rzeczywistość. Jeśli to byłaby prawda, wówczas moje uczestnictwo w projekcie byłoby zbędne.

W ciszy, która zapadła ważył się jego los. Od słów, które miały paść za chwilę zależało czy będzie oddychał za kilka minut. Czy zobaczy słońce nad głową. Czy zobaczy Ingrid. Czy chciał ją jeszcze zobaczyć? Tak bardzo zeszyła na dalszy plan, z chwilą gdy włączył się w prace Kapituły. Z chwilą eksplozji jego interesów do rozmiarów globalnych. Próbował przywołać jej obraz. Widział kobietę w jakimś odległym pomieszczeniu. Idącą jakimś korytarzem. Gdy usiłował o niej pomyśleć, zawsze była zwrócona do niego tyłem albo bokiem. Nigdy twarzą. Dlaczego? Dlaczego nie mógł sobie przypomnieć spontanicznie jej twarzy? Coś spowodowało to oddalenie między nimi. Jego romans? Jego rzucenie się w wir budowania nowej ludzkości?

– Jakież szczegóły? – zapytał trzeci, ubrany w białą koszulę w ciemną kratkę.

Teraz było najważniejsze. Musiał dać im to, od czego wszystko zależało: pewność i lojalność. To będzie jednorazowa oferta. Od tego co powie, zależy jej przyjęcie, to jest uścisk ręki, albo odrzucenie, co będzie się wyrażało uprzejmym pożegnaniem i skinieniem głowy. Czy zdoła wówczas dość do końca korytarza? Czy to się stanie dopiero w jego kajucie?

– Wyjadę w jakieś odizolowane miejsce. Na Islandię. – Wpadło mu do głowy. Nie potrafił zgadnąć skąd właśnie Islandia pojawiła się w jego świadomości, jako oferta wygnania. Czasami po prostu widzimy, ni stąd ni zowąd argumenty, pomysły, myśli, obrazy. Tak było i tym

razem. – Na Islandię – powtórzył. – Pozostanę tam w najbardziej izolowanym jej rejonie, przez cały czas do finału projektu. Nie będę nigdzie wyjeżdżał ani z nikim się kontaktował. Zbuduję tam odpowiedni dla moich celów ośrodek obliczeniowy. Zaprojektuję i zbuduję niezbędny komputer kwantowy i uruchomię na nim oprogramowanie tworzące rzeczywistość. Albo raczej jej obraz – uzupełnił. – Przez cały czas będziecie mieć pełny dostęp do tego co robię, a także do wszystkich możliwych form komunikacji, jakie będą mi dostępne. Będziecie mogli obserwować rozwój mojego eksperymentu i będziecie znać jego wyniki. Oto moja oferta.

Milczeli. Sekundy spadały przez czas w tym ciemnym, zagubionym na dnie oceanu, pomieszczeniu.

– Uważam, że zasługujesz na to. Poza wszystkim, twój eksperyment może mieć... – zawahał się trzeci. Ci ludzie nigdy się nie wahają. Jeśli zatrzymał głos na chwilę, to był znak, że napotkał coś co go musiało go poruszyć. – Może być interesujący – dokończył. – Przez wzgląd na twoją rolę w budowaniu pozycji Kapituły, a także w uznaniu dla poznawczej roli twojego eksperymentu, będziesz mógł go zrealizować. Oczywiście. Dla powszechnego dobra, zainstalujemy odpowiednie lustro – uśmiechnął się. – Tak, lustro to będzie właściwe określenie. Lustro, w którym będziesz się mógł przeglądać, i w którym będziemy razem z tobą i z twoim eksperymentem. – Uśmiechnął się i wstał. Podszedł do Patryka. Podał mu rękę.

Lindqvist wstał również, wyciągnął swoją dłoń. Poczul uścisk ręki. Znajdujące się po prawej stronie oświetlenie baru, wydawało się stać jakieś jaśniejsze. Jakby dopiero co minione wydarzenia odchodziły z jakąś niewidoczną mgłą.

– A to – powiedział trzeci, wyjmując z kieszeni zegarek ze złotą bransoletą – prezent.

Patryk popatrzył na błyszczący przedmiot w dłoni mężczyzny. Prezent. To była smycz. Z pewnością kamera, mikrofon, wszystko w jednym. Oprócz systemów nadzorujących jego komputer i linie łączności, chcieli mu dać i to. Zdjął swój zegarek chowając go do kieszeni spodni. Poczul na przegubie lewej ręki dotyk metalu. Popatrzył pytająco na mężczyznę w sportowej koszuli.

– Powiemy ci – uśmiechnął się.

Nie musiał pytać. Powiedzą mu, jeśli będzie mógł go zdjąć. To była gwarancja i pieczęć. Układu, który zawierał z diabłem. Z szaleńcami opętanymi jakąś nieznaną mu ideą. Powiedzą mu, gdy będzie już po wszystkim albo w momencie, w którym będą pewni, że nic już nie może się zmienić. Kiedy to będzie? Miesiąc przed katastrofą? Dzień? Godzinę? Nigdy?

– Dziękuję. Wiele wam zawdzięczam – powiedział.

Pozostali dwaj wstali. Drzwi, za jego plecami, otworzyły się z lekkim szumem. Więc to już. Więc to tak. Jego całe życie, w ciągu tych kilkunastu minut, przewróciło się do góry nogami. Przestało mieć zna-

czenie. Więc zostało mu tylko to, co wymyślił. Co się pojawiło spontanicznie w jego polu widzenia. Został mu jego eksperyment. Ale przecież nawet w momencie jego formułowania, myślał równolegle. Nie w pełni precyzyjnie, ale przecież równolegle snuł drugi wątek rozważań. Komputer kwantowy. Oprogramowanie zdolne do samodzielnego funkcjonowania i podejmowania decyzji. To była jedyna szansa. Jedyna szansa zmierzenia się z nimi. Jedyna szansa powstrzymania zagłady.

Dzisiaj już nie był pewien, który z celów eksperymentu był tym prawdziwym. Ciągłe tym pierwszym, realnym było zapobieżenie temu zbrodniczemu projektowi. Ale w miarę angażowania się w warstwę przedstawioną Kapitulę, przychodziło do niego zrozumienie, że być może jego eksperyment rzeczywiście mówi coś o rzeczywistości. O nim samym. O samej strukturze istnienia. Wnioski jakie z niego wypływały, były niezwykle i niesamowite. Z jednej strony potwierdzały religijne mity. Czy to były w takim razie mity? Z drugiej strony potwierdzały spostrzeżenia niektórych fizyków. Może rzeczywiście wszystko jest informacją. Cała rzeczywistość to zbiór odbieranych przez nas informacji. Sami natomiast jesteśmy rodzajem, świadomego tych informacji oraz własnego istnienia, algorytmu. Myślą. Myślą, którą ktoś myśli.

Dotyk metalowej poręczy w hali maszyn wyrwał go z zamyślenia. Przyszła pora na ostateczną próbę. Na grę, którą projektował od trzech lat. Na zmierzenie się jego superkomputera z odpowiednim przeciwnikiem. Jego wielowymiarowego świata, który zbudował, jego istnień, które powołał do życia, z szaleństwem, które czaiło się gdzieś tam, za barierą przewodów i fal elektromagnetycznych, za kotarą systemów informatycznych, które spowijały świat. Rzucił okiem na moduł odpowiadający za łączność zewnętrzną. Pulsująca zielonym światłem linia na jego obudowie sygnalizowała, że realny dostęp do świata zewnętrznego jest uruchomiony. Spojrzał na dół. Sześćian o półtorametrowej krawędzi mienił się barwami. Fale błękitu, plamy pomarańczowego światła, deszcz czerwieni, przebiegały po jego powierzchni. Serce. Tak je nazwał. Dlaczego wybrał taką nazwę? Z miłości? Podświadomie? Bo cierpiał na miłość? Bo dopiero na Islandii odkrył jej znaczenie? Odkrył Ingrid? Szedł po schodkach na dół. Wprost do Serca. Podszedł do niego. Oparł na nim swoje dłonie. Z czułością? Robię się emocjonalny – zganił się. Przez jego palce przenikał taniec światła, zielenie, żółcie, przez chwilę ciemny granat. Może powinien zaimplementować także emulację jakiegoś dotyku. Tak by Serce było miękkie lub twarde. By muskało dłonie szmerem wody lub dotykiem wiatru. Tyle jeszcze mógł zrobić. Spojrzał na fotel ustawiony na wprost tego niezwykłego komputera. Usiadł albo niemal położył się w nim wygodnie. Kubełkowaty biały kształt dopasował się do jego ciała i objął

je, niczym czułym dotykiem, dostosowując powierzchnię do jego anatomicznej budowy. Zza fotela wysunęła się niewielka półkula. Opadła na jego głowę. Otworzył oczy.

25.

Zaciągnęli nieprzytomnego żołnierza do pokoju przesłuchań. Tam Calahan przykuł go kajdankami do stołu. Wyszukał gdzieś szeroką rolkę taśmy klejącej i zakleił nieprzytomnemu usta.

– Czy to potrzebne? – zmarszczyła brwi Ewa.

– Nie chcę, żeby nam przeszkadzał. Przy wyjściu uwolnimy chłopaka. – Zamknął drzwi i za nimi uwięzionego żołnierza.

– Gdzie to jest? – Greg był cały spocony od wysiłku, do którego najwyraźniej jego ciało nie było przyzwyczajone.

– Chodźcie za mną.

Spojrzał na Anię. Ewa trzymała ją za rękę. Ruszył przed siebie mijając dyżurkę. Szerokie schody na piętro. Centralna sala operacyjna. Jego biurko. Dostrzegł pracujący komputer. Diody: zielona, czerwona mrugały informując, iż sprzęt cały czas pracuje. To pewnie jeszcze od czasu, gdy korzystał z połączenia telefonicznego z domu. Minęli rzędy biurk. Tak tętniąca zawsze życiem sala, sprawiała wrażenie zupełnie wymarłej. Przeszklone drzwi, prowadzące do gabinetu szefa, nie chciały się otworzyć.

– Masz klucz? – zapytał Greg.

– Mam. – Calahan kopniakiem rozwalił szybę.

– James! – Usłyszał okrzyk Ewy.

Nie miał czasu. Nie miał czasu na patyczkowanie się. Czuł się zmęczony całą tą, upiorną sytuacją. Chciał już tylko rozwiązania. Dorwać ten rządowy komputer. Wpuścić tam tego geniusza komputerowego. Niech im rozwali te plany, niech im wywali do góry nogami te knowania. Niech się wszystko skończy. Szkło skrzypiało pod butami. Włączył niewielki komputer, stojący przy odrębnym biurku, w prawym rogu pomieszczenia. Dostrzegł Grega nurkującego pod biurko. Wyglądał jakby jakiś zwierz. Niedźwiedź pakujący się do swojego legowiska. Nie pytał. Jego zadanie było wykonane. Greg wynurzył się spod biurka.

– Rzeczywiście wpięty do odrębnej sieci, ale dopiąłem też sieć lokalną.

– Po co? – rzucił Calahan, nie wiedząc dokładnie o co pyta.

– Na wszelki – odpowiedział Greg i usiadł przed klawiaturą i jaśniejącym monitorem.

Po kilku wprowadzonych przez niego komendach, na monitorze ukazało się godło Departamentu Obrony. Przed nimi widniały dwa jasne pola, oczekujące na wpisanie właściwych danych: użytkownik i hasło. Greg podniósł głowę patrząc na Calahana a następnie na Anię, wciąż trzymającą ramię Ewy.

– No co jest? – zniecierpliwiał się Calahan.

Greg westchnął głęboko.

– Potrzebujemy użytkownika i hasła.

– Nie możesz tego odgadnąć?

– Nie – odrzekł Greg, jednocześnie wypuszczając powietrze z płuc.

– To musi być gdzieś tutaj. Twój szef musiał się jakoś logować do tego systemu. Oni przyznają hasła, różne na każdy dzień, dla każdego użytkownika. To musi być jakiś wydruk albo książka kodów. Coś w tym stylu.

Wzrok Calahana spoczął na szafie pancерnej, stojącej przy wejściu. Miała kolor szarej stali. Właściwie była to szafa wykonana z grubej blachy, z dość tradycyjnym zamkiem patentowym. To musiało być to. Stary nie zamykałby hasel w sejfie departamentu.

– Byliby państwo szanowni zechcieli wyjść na moment?

Pytające i zmartwione oczy Ewy patrzyły na niego.

– Będzie trochę głośno. Nie chciałbym, aby komuś coś się stało.

Greg na brzmienie tych słów, z miejsca podniósł się z obrotowego fotela przed komputerem i ruszył w stronę wyjścia. Ewa z Anią wyszły razem z nim. Calahan był zmęczony. Wyjął pistolet z kabury pod pachą. W razie czego, mógł się przejść po karabin tego młodego żołnierza, który dochodził już pewnie do siebie. Wymierzył w zamek. Pociągnął za spust. Huk niemal rozbijał mu bębenki. Otworzył usta. Jeszcze raz. Jeszcze raz. W powietrzu czuł zapach prochu i metalu. Kolejny strzał zrobił dziurę w miejscu zamka. Uchwycił gałkę drzwi. Pociągnął do siebie. Nie ustąpiły. Uchwycił ją mocniej. Dokładniej. Powoli zwiększał siłę. Gdy był już bliski granicy napięcia mięśni, drzwi, z głośnym szczękiem, odskoczyły na zewnątrz. Wewnątrz trochę dymu i odprysków metalu na dolnej półce. Przeniósł wzrok na górną. Segregatory. Jest. Kody i hasła dostępu. Usłyszał brzęk szkła pod butami wchodzących. Sięgnął po właściwy skoroszyt. Wyciągnął go. Podał Gregowi.

Masywny programista usiadł naprzeciwko rządowego komputera. Widać było po nim tę niezwykłą ekscytację. To podniecenie gdy wreszcie, po latach marzeń, natrafia się na bezpośrednią możliwość stanięcia twarzą w twarz z przedmiotem pożądanym. Przebiegał wzrokiem kolumny z hasłami. Znalazł to pasujące na dzisiejszy dzień. Położył skoroszyt na biurku. Wprowadził dane. Zalogował się do systemu Departamentu Obrony.

– Wow – wyszeptał niemal nabożnym głosem Wiszniewski.

Na ekranie widniał szereg informacji zupełnie nieczytelnych dla pozostałej trójki. Greg sięgnął do kieszeni i wyjął niewielki pendrive z projektem skopiowanym z karty Calahana. Włożył go w gniazdo komputera. Przełączył się na zbiór dokumentów na pendrivie. Wyszukał adres i port systemu wykonującego projekt. Wprowadził dane. Na ekranie ukazało się pytanie: „Czy chcesz uzyskać dostęp do systemu Feniks? System zawiera informacje ściśle tajne:”. Migający kursor, tuż za pytaniem, czekał na ich odpowiedź. Greg wcisnął „t” i na ekranie ukazał się obraz. Widniało na nim osiem kwadratów, ułożonych w dwa rzędy, jeden pod drugim. W każdym cztery z nich. Każdy kwa-

drat zbudowany był z wielu mniejszych, jasnych i ciemnych kwadratów albo pikseli. Wzór każdego z kwadratów zmieniał się. Pierwszy zmieniał się najwolniej. Na wyczucie Calahana, zmiana następowała raz na sekundę. Pozostałe kwadraty, zawierające czarno biały unikalny wzór, zmieniały swoją zawartość coraz szybciej. Najszybciej wzór ulegał zmianie w ostatnim kwadracie. W zasadzie występowało w nim miganie.

– Co za cholera? – wyraził swoje wątpliwości Calahan.

Greg pokręcił głową. Tuż pod dwoma rzędami kwadratów widniał niewielki napis: „Feniks czeka na dane”.

– Na jakie dane on czeka? – kontynuował James. Spojrzał na Anię. Stała teraz przed Ewą, która, objąwszy ją ramionami, przyglądała się obu mężczyznom.

Wydawało się, że kudłata głowa Wiszniewskiego, ubrana w grube okulary, zaraz wpadnie do środka monitora. Programista wpatrywał się w zmieniający się, pulsujący obraz bez słowa. Wzory w kwadratach zmieniały się przez cały czas, niemal hipnotyzując oglądających. Greg przełączył się na drugie okno. Uruchomił jakiś program z pendriva. Przełączał się, raz po raz, to na migający wzór, to na jakieś swoje oprogramowanie. Jego palce poruszały się nad klawiaturą z szybkością i gracją wirtuoza muzyki fortepianowej. Poruszały się nad nią jak deszcz, który spada na te, to na inne klawisze wprawiając je w drgania, wydobywając z nich niezbędną muzykę, tworząc nieznaną linię melodyczną w świecie inteligencji cyfrowej. Po kilku minutach takiej pracy, w czasie której wszyscy pozostali patrzyli w oniemiaeniu na to co robił ten niskiego wzrostu niepozorny człowiek, odwrócił głowę do nich z wyrazem satysfakcji na twarzy:

– Wiem!

Ewa przekrzywiła głowę.

– Co wiesz? – zapytał z irytacją w głosie Calahan.

Każdy kwadrat zawiera klucz publiczny. Taki sam jak ten, którym szyfrowany był ten projekt „Apokalipsa”. Te ciemne i jasne elementy wzoru, w każdym z kwadratów, to po prostu graficzna reprezentacja 4096 bitowego klucza.

– To dlaczego się one zmieniają? – zapytała Ewa.

– Po prostu, zmieniają się. System oczekuje na wejściu, podania klucza prywatnego. Ale oczekuje tylko przez taki czas, jaki upływa od jednej do następnej zmiany wzoru.

– Czyli? – zapytał Calahan.

– Czyli w przypadku pierwszego kwadratu przez jedną sekundę. W przypadku drugiego przez pół sekundy i tak dalej, aż w przypadku ósmego zmiana następuje co jedną ósmą sekundy.

– Więc jak, w czasie jednej ósmej sekundy, podać mu te pieprzone informacje? – Calahan poczuł rosnącą bezsilność.

– Nie wiem, po prostu nie wiem – pokręcił głową programista.

Stali dłuższy czas bez słowa. Kwadraty tańczyły na ekranie, ryt-

micznie zmieniając swoją zawartość. Greg zmienił okno. Zaczął wpisywać różne komendy. Ekran przypominał czarną tablicę, po której spadają, z góry na dół, jasne cyfry i litery. Nie patrzył na klawiaturę. Wpatrzony był w ekran. Jego dłonie poruszały się bezwiednie. Głowa, wysunięta na potężnych barkach do przodu, wpatrzona była w pojawiające się, co raz nowe informacje. Jak oni to robią? – zastanawiał się Calahan, widząc brata Ewy przy pracy. Pochylony programista zdawał się wchodzić w jakiś inny stan świadomości. Stan natchnienia albo ekstazy. Prędkość uderzeń jego palców o klawiaturę rosła z każdą chwilą. Krótkie przerwy dudniły ciszą. Przełączał okna. Znowu wracał do czarnej powierzchni.

– Greg? – zapytała Ewa.

Jej brat nie słyszał pytania. Patrzył na kolejne pojawiające się informacje i wprowadzał dalsze dane. Uruchamiał jakieś programy umieszczone na pendrivie, śledził każdy nowy rozbłysk ekranu.

– Greg? – powtórzyła.

Podniósł nieco głowę, ale tylko po to, by spojrzeć w lewy górny róg ekranu. Gwałtownie zaczął wpisywać znaki. Na ekranie pojawiły się kolumny z tekstem. Niekiedy zrozumiałym, niekiedy złożonym z tak zwanych robaczków. Wiszniewski gwałtownie wstał. Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po pokoju. Nie dostrzegł jednak stojących w nim ludzi. Jego wzrok padł na drukarkę, umieszczoną przy wejściu. Włączył ją. Odezwała się mruganiem i dźwiękiem zwiastującym gotowość do pracy. Wrócił na krzesło. Calahan wymownie i pytająco spojrział na Ewę. Ta, trzymając wciąż w objęciach Anię, wzruszyła ramionami, dając znać, że nie zna odpowiedzi na jego pytanie. Palce Grega ponownie zaczęły poruszać się po klawiaturze. Drukarka cicho zaśpiewała. Z jej wnętrza zaczęły się wynurzać arkusze papieru. Były dwa. Zapełnione bardzo drobnymi znakami. Wiszniewski wstał i podszedł do drukarki. Jego oczy błyszczały spoza grubych szkieł okularów. Spojrzał na pozostałych, jakby dopiero teraz ich dostrzegł.

– Greg? – zapytała po raz trzeci Ewa.

– To nasza jedyna szansa – odpowiedział.

– To?

– No – wyciągnął w ich kierunku kartki – to jest zaszyfrowane hasło, na dzisiaj, do systemu, opiekującego się infrastrukturą schronu.

– Czego? – zapytała Ewa.

– Ten projekt, Apokalipsa, zawierał też adres systemu zarządzającego centrum dowodzenia. To centrum ma w projekcie nazwę „Schron”. Nie mam pojęcia czy chodzi o jakiś rzeczywisty schron. Chodzi o to, że jeśli się tam włamiemy, to może stamtąd uzyskamy bezpośredni dostęp do tego pieprzonego Feniksa. Może uda nam się pominąć główny mechanizm wejścia do Feniksa i w ten sposób zastrzymać tą cholerną maszynę.

– A to? – Calahan wskazał na kartki z wydrukiem trzymane przez Grega.

– To... – zatrzymał głos na chwilę Greg – to zadanie dla twojej córki. – Patrzył z powagą na Anię.

Oczy wszystkich spoczęły na małej dziewczynce. Patrzyła się przed siebie. Jej ciemne włosy spływały na niebieską bluzkę z przezroczystymi guzikami. Twarz była spokojna i pogodna, nie wyrażająca, w zasadzie, żadnych emocji. Trudno było wskazać punkt, na którym opierała swój wzrok. Zwrócony był w przestrzeń, w kierunku ściany, na której nie było nic szczególnego.

– Usiądź kochanie – powiedział Calahan, odsuwając krzesło od jednego z dwóch pozostałych biurka w tym pokoju.

Ania, prowadzona przez Ewę, posłusznie usiadła na odsuniętym krześle. Greg położył przed dziewczynką kartki z wydrukiem, a Calahan zdążył wyjąć, z szuflady biurka, jakiś długopis i zbiór czystych kartek. Patrzyli na Anię. Nie poruszała się. Po pewnej chwili jej wzrok spoczął na wydruku. Bezwiednie sięgnęła po długopis. Patrząc na wydruk, kładąc drugą rękę na czystej stronie, leżącej przed nią, zaczęła pisać. Cyfry pojawiały się początkowo powoli. Jakby z umiarem, w defiladzie paradyżące przed wzrokiem pozostałych. Potem nagle zaczęły przyspieszać. Ruch ręki Ani zaczynał przypominać drganie maszyny. Nie patrzyła na to co pisała. Patrzyła włącznie na rozpостarty przed nią wydruk, sporządzony przez Grega. Po chwili cyfry, z prędkością karabinu maszynowego, zaczęły sypać się na kartkę przed Anią. Jej usta zaczęły drżeć. Ciało jej nienaturalnie się wygięło. Wszyscy skupieni, wpatrzeni w to co się działo, nie śmieli się odezwać. Zakłócić tego procesu, który wydawał im się jedyną szansą. Szansą na uratowanie świata.

– Jest – powiedział Greg, wyjmując, spod dłoni Ani, kartki, zapisanego przez nią, papieru.

Niemal pobiegł do drukarki, która miała możliwość skanowania. Ewa kucnęła obok Ani, obejmując ją ramionami. Calahan, rozdarty między obawą o córkę i pragnieniem rozwiązania zagadki postawionej mu przez rzeczywistość, podszedł do dziewczynki, jednocześnie obserwując poczynania kudłatego programisty. Greg siedział już na fotelu przed rządowym komputerem i wprowadzał dane oraz polecenia.

– Wszystko dobrze? – zapytała Ewa, patrząc Ani w oczy.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie. Teraz w kierunku rozbitych drzwi, prowadzących do pokoju.

– Wszystko będzie dobrze kochanie. – Calahan uściśnął rękę córki. Nie poczuł reakcji. Jak zwykle. Jak zawsze. Dlaczego życie zrobiło z jego córki komputer? Komputer, który teraz wykorzystują tak jak wykorzystuje się narzędzie. Czy mieli inne wyjście? Czy on miał inne wyjście? Patrzył na głowę Ani. Była piękna. Była cholernie piękna. Była najpiękniejszym dzieckiem, jakie mógłby sobie wymarzyć. Chciał jej. Tak strasznie chciał jej serca. A to co robił teraz, było traktowaniem jej jak rzeczy. Nie chciał tego. Nie miał innego wyjścia. I to właśnie rozrywało jego wnętrze.

– Wszedłem. – Dało się słyszeć brodatego programistę.

– I? – Calahan odwrócił się w jego stronę.

– Zaraz – oznajmił Greg, znów z głową wysuniętą nadmiernie z ramion, w kierunku płaszczyzny monitora.

Calahan wyprostował się. Podszedł do Grega. Teraz wreszcie się to wszystko skończy. Zmęczenie wracało do niego falą. Nie było to zmęczenie fizyczne. Nie drżały mu mięśnie. Nie zamykały się oczy. Miał, po prostu, tego wszystkiego dość. Miał dość życia. Miał dość tej potwornej sytuacji. Miał dość tego, że jacyś psychopaci rządzą światem i chcą ich wszystkich teraz wysadzić w powietrze. Miał dość tego, że jego córka już nigdy nie będzie jego. Że stała się komputerem do rozwiązywania komputerowych zagadek. Był wściekły, po prostu wściekły. Dłonie samoczynnie zacisnęły mu się w pięści, gdy stał za Gregiem, obserwując, całkowicie bez zrozumienia, pojawiające się na ekranie informacje i dane. Ewa mówiła coś cicho do Ani. Greg klepał klawisze z lekkością pianisty. Calahan czekał. Jak długo jeszcze miało to trwać. Jak długo?

Dłoń Grega z hukiem opadła na klawiaturę. Z jego ust wydarł się nieartykułowany dźwięk i ponownie uderzył w klawiaturę, tym razem obiema dłońmi.

– Kurwa mać! Skurwysyny! Aaaaaaa! – Ekspłodowały jego emocje. Dyszał. Ciężko dyszał, jakby wszedł właśnie na dziesiąte piętro, co przy jego tuszy i widocznym braku ćwiczeń fizycznych, musiałyby go kosztować wiele wysiłku. Odwrócił się na fotelu w ich stronę. Patrzył, wciąż jeszcze dysząc.

– Powiesz nam wreszcie? – zapytała Ewa.

– Dno.

– Co?

– Dno. Kurwa dno.

– Uspokój się – usiłowała wpłynąć na brata. Zawsze się nim opiekowała. Zawsze była starsza. Pamiętała jak prowadziła go za rękę. Jak uspokajała przed snem. Dopiero później, gdy już dorósł, wyrwał się spod jej troskliwej uwagi i opieki. Patrzyła jednak na niego zawsze w ten sam sposób. Patrzyła na chłopca, który szarpie się z życiem. Który choć jest mężny i odważny, to potrzebuje czasem wsparcia. Ciepłego słowa. Życzliwej bliskości. – Greg – zaczęła ponownie – powiedz po prostu o co chodzi.

– Chodzi o to – mówił już spokojniejszym tonem – że owszem, możemy się dostać do tego schronu, bunkra, czy jak mu tam. Rzeczywiście system ten zarządza infrastrukturą jakiejś konstrukcji. Sprawdziłem wszystkie możliwe powiązania. To jest faktycznie centrum dowodzenia procesem, który chcemy zatrzymać.

– Więc? – pytała Ewa.

Calahan stał milczący, ciągle świadomy rosnącego w nim wzburzenia.

– Więc stamtąd nie ma odrębnego wejścia do tego Feniksa.

Ewa popatrzyła na Calahana. Ręce miał w kieszeniach, twarz zmęczoną, wzrok skupiony na jej bracie.

– Więc co nam zostaje? – zapytał Calahan.

Greg obrócił się zrzęcznie na fotelu w stronę komputera. Po kilku kliknięciach w klawisze, pokazał się ekran z migającymi kwadratami. Odwrócił się ponownie w ich stronę. Jego twarz nosiła wyraźnie ślady potu.

– Więc zostaje nam to! – wskazał za siebie i spojrzał na Calahana, a następnie na Ewę, stojącą przy siedzącej Ani. – Ale tego nie zdołamy odgadnąć, nawet przy pomocy twojej córki. Nie ma możliwości, aby w dostępnym nam czasie, zdeszyfrowała, zawarty we wzorze kod, a co dopiero mówić, o wypisaniu przez nią niezbędnych wyników. Światło pod sufitem zaczęło migać. Rozległ się cichy dźwięk akumulatorów podtrzymujących zasilanie. Zapaliły się czerwone lampki zasilania awaryjnego. Patrzyli na ten taniec technologicznych sygnałów. Calahan starał się znaleźć jakieś rozwiązanie. Przerwy prądu wydawały się naturalne w całej tej sytuacji. Ile może wytrzymać zasilanie awaryjne? Nie był pewien. Światło ponownie zapłonęło pełnym blaskiem, a czerwone światełka awaryjnego zasilania zgasły.

– Co teraz? – nieśmiało zapytała Ewa.

Wzory ośmiu kwadratów rytmicznie zmieniały się na ekranie, jakby drwiąc z każdego, kto próbowałby wdrzeć się do Feniksa. Calahan wzruszył ramionami.

– Ale jak on chce dostać te dane? – zapytał Grega, starając się zrozumieć sytuację.

– To znaczy?

– No przecież nawet jakbyś miał te hasła czy klucze, czy cokolwiek, to i tak ich nie wprowadzisz w ułamku sekundy.

– Nie. Nie wprowadzę. Ale tu jest taki program, który czeka na wejściu na dane. Te dane można mu przekazać automatycznie, systemowo, no... – próbował wyjaśnić, patrząc na pozbawione wyrazu zrozumienia twarze Calahana i Ewy – no po prostu. Jakbym miał niezbędne dane, to uruchomię program, który bez problemu przekaże je Feniksowi, w zasadzie bez opóźnienia w czasie.

– Tylko nie mamy tych kodów.

– Kluczy – poprawił Greg.

– Jak zwał tak zwał – zirytował się Calahan. Próbował znaleźć rozwiązanie. Zawsze można znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie wiedział, skąd wzięła się w nim ta pewność. Ale w jakiś sposób wiedział to. Wiedział, że trzeba szukać, że ostatnią rzeczą jaką można zrobić, to się poddać. Że tak długo, jak istnieje szansa, tak długo trzeba robić wszystko, by ją wykorzystać. Tyko jak? Tego jednego nie wiedział. Wydawało się, że brodaty geniusz informatyczny też wyczerpał zasób, możliwych do pomyślenia, rozwiązań.

Spostrzegł albo usłyszał jakiś inny dźwięk. Cichy. Obrócił się w stronę Ewy i poczuł ukłucie w sercu. Ania. Jego córka. Boże, tylko nie

to. Tylko nie to – pomyślał ponownie. Ania, kołysząc się na boki, patrząc w kierunku monitora, znajdującego się za obróconym teraz w ich stronę Gregiem, mruzczała. Z jej gardła wydobywał się cichy, zduszony, nosowy dźwięk. Jej ciało poruszało się na boki, niczym wahadło wielkiego zegara. Twarz pozbawiona wyrazu, oczy ciemne, patrzące przed siebie. Ewa objęła ją za barki, kucnęła koło niej.

– Ciii. Ciii kochanie – przesunęła dłonią po czole dziewczynki.

Ania przestała się kołysać, jednak dźwięk nie ustawał. Stał się jakby odrobinę wyższy i głośniejszy. Jeszcze to – westchnął, gdzieś w swym wnętrzu, Calahan. Ania zawsze tak reagowała w sytuacjach stresowych. Objawiała w ten sposób lęk, zdenerwowanie, dyskomfort. Podszedł do córki. Ujął jej dłoń. Położył drugą na jej głowie. Dotyk jej włosów. Takich pięknych włosów. Gładził ją po głowie, a w jego wnętrzu coś skręcało się z bólu. Okrutna rzeczywistość stawała przed nim w całej okazałości. Nawet tu. Nawet teraz. Boże – mówił do siebie w środku – czemu mi to robisz? Pochylił się i pocałował dziewczynkę w policzek. Dźwięk nie podnosił się. Był dziwnie wibrujący. Pochodzący gdzieś z głębin strun głosowych. Trzymał jej dłoń w swojej dłoni.

– Chyba już czas – powiedział.

Pozostali milczeli. W pokoju brzmiało tylko ciche mruczenie Ani..

– Chwileczkę – powiedziała Ewa. Spojrzeli na nią obaj. Patrzyła się to na Anię, to na monitor. – Ania. Ona patrzy na te kwadraty.

Greg obrócił się w fotelu. Następnie odwrócił wzrok w kierunku Ani i Ewy.

– No i? – zapytał.

– Może ona chce nam coś przekazać tym dźwiękiem. Może to jest droga. Sposób komunikowania jakiejś informacji.

– Dźwięk?

– Dźwięk.

Calahan nie odzywał się, trzymając wciąż córkę za rękę. Chciał z nią wyjść. Chciał już stąd wyjść. Nawet jeśli nie może mieć jej serca, to przynajmniej chciał zabrać stąd to, czym była. Pójść gdziekolwiek. Zaszyć się gdzieś. Pójść nad morze. Siąść na plaży, patrzeć na leniwie toczące się fale. Czekać. Czekać na koniec.

Wiszniewski nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, jakby rozważając długi szereg możliwości, przebiegających przez jego umysł. Kwadraty za jego głową zmieniały się miarowym tempem.

– OK – powiedział po chwili namysłu. To jest hipotetycznie możliwe. Dźwięk to w końcu informacja. Zestaw danych, upakowanych niezwykle gęsto w czasie. Teoretycznie, ten dźwięk mógłby zawierać klucze do odszyfrowania tego zamka – wskazał poza siebie. – Standardowe próbkowanie dźwięku przebiega ponad czterdzieści tysięcy razy na sekundę. Każda z próbek to wartość. Teoretycznie, podkreślam teoretycznie, byłoby możliwe przekazanie tą drogą danych liczbowych. Musiałbym tylko znać ich zakres, to znaczy wiedzieć kiedy

jedna wartość się kończy, a następna zaczyna.

– Więc? – zapytała Ewa. Nie musiała kończyć pytania. Nie musiała mówić mu: „to może byś spróbował”. Ludzie, którzy się znają, potrafią rozmawiać ze sobą bez słów. Porozumienie nie wymaga werbalizacji wszystkich myśli, wszystkich próśb ani odpowiedzi.

Greg odwrócił się w stronę komputera. Zmienił okno. Miejsce, nieco upiornie migających, kwadratów zajął przyjazny interfejs okienkowy.

– Potrzebuję mikrofonu. – Greg rozejrzał się po pokoju.

Calahan, z ciężkim sercem, zaczął wysuwać po kolei szuflady biurka. W trzeciej zauważył niewielki zestaw do rozmów internetowych.

– To wystarczy? – zapytał, wyciągając znaleziony komplet w kierunku brodacza.

– Daj. – Ręka programisty wyciągnęła się po niewielki mikrofon i słuchawki.

Podłączył zestaw do komputera. Uruchamiał programy. Przygotowywał analizę dźwięku. Obrócił się w stronę Ewy i Ani.

– Czy Ania... – zatrzymał głos na chwilę – mogłaby tu podejść?

Calahan przysunął obrotowe krzesło. Ania, prowadzona przez Ewę, usiadła wyprostowana obok Grega. Założył jej słuchawki na głowę i ustawił mikrofon naprzeciwko jej ust. Miała je zamknięte. Dźwięk wydobywał się bardziej przez nos. Stale modulowany w niewielkim zakresie, wydawał się tworzyć rodzaj melodii. Na ekranie pojawiały się przebiegi rejestrowanego głosu. Poszarpane linie, niczym doliny i góry.

– Spróbuję standardowego próbkowania 44100 herców. Częstotliwości, z jaką mogę próbować dźwięk, jest w zasadzie nieskończenie wiele, ale jeśli ta absurdalna – tu spojrzał na Anię – próba miałaby się powieść, to dlaczego właściwie nie przy najbardziej standardowej częstotliwości?

Kliknął kilka przycisków na ekranie. Dźwięk wibrował, tworząc coraz to nowe krzywe i kształty. Greg rozciągał je, to skracał, szukając niezbędnych elementów.

– Mam – powiedział widocznie podekscytowany.

– Co takiego? – zapytała Ewa.

– Dwie mikro pauzy. To niesamowite – mówił dalej Greg, pokazując palcem miejsce na ekranie. – W dwóch miejscach, w ciągu każdego okresu odpowiadającego zmianie pierwszego kwadratu na ekranie, pojawiają się mikro pauzy – dokończył odwracając wzrok w kierunku Calahana i Ewy.

– Więc da się coś z tym zrobić? – zapytał ciężko Calahan.

– Już sprawdzam.

Zręczne palce programisty ponownie zaczęły uruchamiać procesy i przetwarzanie.

– Ona zmienia brzmienie w rytm zmiany wzoru w pierwszym kwadracie – powiedział, uderzając w klawisze i skupiając wzrok na poja-

wiających się wartościach. – Podpinam wynik kodowania dźwięku na wejście Feniksa. – Okna zmieniały się raz po raz, w trakcie przełączania ich przez Grega. Wreszcie na ekranie ponownie pojawiły się migające kwadraty. – Uwaga... – powiedział i uderzył Enter.

Po upływie jednej sekundy, kwadrat numer jeden zatrzymał się. Greg nie odzywał się patrząc w ekran. Ewa nerwowo spojrzała na Jamesa. Dźwięk, wydobywający się z gardła Ani, lekko się podniósł.

– No i? – zapytał podniesionym głosem Calahan.

Greg powoli odwrócił w ich kierunku głowę. Jego twarz straciła dużą część naturalnego koloru. Przełknął ślinę. Oczy zdawały się być rozbiegane. Patrzące to na jedną, to na drugą stronę, jakby w lęku by nie spojrzeć pozostałym prosto w twarz. Lekko zagryzł wargę. Odwrócił głowę. Popatrzył jeszcze raz na ekran. Siedem kwadratów zmieniało się we właściwym im tempie. Pierwszy pozostawał nieruchomy.

– Stary – powiedział lekko drżącym głosem. – Ja wiele potrafię sobie wyobrazić. Ale to...

– Co?

– Ona podaje rozwiązania dla tych szyfrów z opóźnieniem jednej dziesiątej sekundy.

– Podaje klucze? – zapytał Calahan, patrząc na córkę i ponownie konstatając, że nie wie dokładnie o co pyta.

– Tak. Podaje klucze. – Głos Grega był mieszanką zdumienia i obawy.

– To może tak – odezwała się Ewa – wprowadziłbyś pozostałe klucze i dostalibyśmy się wreszcie do wnętrza tego czegoś.

Greg bez słowa odwrócił się w stronę ekranu. Ponownie wywołał podsystemy analizy dźwięku, ustawił próbkowanie i pozostałe parametry. Następny kwadrat zmieniał się w tempie dwukrotnie szybszym od pierwszego. Głos Ani brzmiał wyraźnie wyżej niż poprzednio. Greg uderzał w klawisze. System przetwarzał dane. Jeszcze chwila, jeszcze jedna chwila. Enter. Drugi kwadrat stanął.

Nie odwracając się, Greg uruchamiał przetwarzanie dla następnego kwadratu. Głos Ani znów nieco się podniósł i stał się głośniejszy. Kolejne procesy, polecenia i efekt. Enter. Trzeci kwadrat stanął. Jeszcze tylko pięć – pomyślał Calahan. Pięć pieprzonych układanek. Pięć zagadek moja kochana. Pięć razy. Greg pracował jak w natchnieniu. Przy piątym kwadracie usta Ani się otworzyły. Głos dochodził z jej gardła, ale był już na tyle wysoki, że robił się dla słuchających nieprzyjemny. Tylko Greg go prawdopodobnie nie słyszał, cały zatopiony w czynnościach, które wykonywał. Przy szóstym kwadracie głos Ani przeszedł w świdrujący uszy pisk. Twarz Ewy widocznie się skrzywiła. Calahan patrzył z niepokojem, na córkę i na, zachowującego się jak w transie, programistę. Tylko trzy kwadraty. Tylko trzy kwadraty do końca. On również poczuł ból. Ból, który promieniował od bębenków w uszach, aż do jego wnętrza. Enter. Szósty kwadrat stanął w miejscu.

Jeszcze dwa. Jeszcze tylko dwa, kochanie. Dasz radę. Musisz dać radę. Dostrzegł, że twarz Ani staje się czerwona, na jej skroniach oraz szyi pojawiają się naczynia krwionośne. Dźwięk przeszedł w takie rejony, że z oczu Ewy zaczęły płynąć łzy. Kudłata głowa Grega pochylona nad ekranem i klawiaturą, zdawała się nie dostrzegać niczego. Dwa ostatnie kwadraty na ekranie migały w zawrotnym tempie. Ania podniosła głos, miała otwarte szeroko usta. Powietrze w pokoju zaczęło drżeć, kołysać się. Poczul jak ścisną mu się żołądek. Wysunął rękę i położył ją na ramieniu Ani. Drżała. Drżała w taki sposób w jaki nie drży człowiek. Drżała wibracją dźwięku. Jego dłoń zaczęła się zaciskać na jej ramieniu. Czul ból. Czul fizyczny ból jaki przenikał jego córkę. Jaki przeszywał także jego. Z oczu Ewy ciekły łzy. Długimi strugami. Jej twarz też była czerwona. Enter. Siódmy kwadrat stanął. Głos Ani zaczął się wnosić. Sufit zaczynał się chwiać. Ściany, w niepojęty sposób, zaczęły się wgłębiać do środka, jakby z zewnątrz wpychała je jakaś nieokiełznana siła. Światło zaczęło się ściemniać. Ostatni kwadrat migał w zawrotnym tempie. Klosz pod sufitem wybuchnął tysiącem szklanych iskier. Poczul jak przez ciało Ani przenika jakiś zimny skurcz. Spojrzał na jej oczy, spływały z nich krwawe łzy.

– Neeee!!! – rzucił się w jej kierunku zrywając z jej głowy słuchawki i mikrofon. Wpadł na nią całym ciałem, zwalając ją z krzesła. Niczego nie czuł. Tylko obejmował ją, tulił do siebie. Niczego już nie chciał, tylko jej. Trząsł się, płakał. Targały jego ciałem jakieś niewytłumaczalne skurcze. Tulił ją. Tulił. Miał ją. Oddychała. Usiadł. Przytulił jej głowę do piersi. Rozejrzał się. Wszędzie na podłodze leżało szkło. Przedmioty powypadały z szaf. Jedna, przewrócona, zagradzała wyjście. Ewa siedziała oparta o ścianę z dłońmi przytulonymi do twarzy. Greg, przed zgaszonym monitorem, ujął głowę dłońmi niczym w modlitwie. Poczul poruszenie. Poruszenie się Ani. – Ciii. Ciii – mówił kołysząc ją w ramionach. Całował jej włosy. – Ciii – powtarzał i łzy płynęły mu po policzkach. Ewa oderwała dłonie od twarzy. Była blada. Z policzka ciekła jej krew. Najprawdopodobniej jakiś odprysk szkła. Tulił swoją córkę. Przytulał do siebie. Poczul jej twarz przytuloną do swojej.

– Już dobrze, Już dobrze – mówił głaszcząc ją po plecach i po głowie.

Greg podniósł głowę.

– I? – zapytał go Calahan.

– Za późno.

– Co to znaczy?

– Spóźniliśmy się o ułamek sekundy. Feniks przerwał połączenie na moment przed tym, zanim zdążyłem przekazać dane ostatniego klucza. – Greg odwrócił do niego poszarzałą twarz. – W ostatniej chwili wyłączyli przyjmowanie danych. Feniks odciął łączność do siebie.

Calahan poczul coś na policzku. Łzy. Płakał? Nie, to nie były jego

łzy. Zadrżał. Zgaszony Greg i Ewa, wzrokiem pełnym smutku, patrzyli gdzieś przed siebie. Jak podróżni, którzy spóźnili się na ostatni pociąg i wiedzą, że nic już im nie pozostało. Calahan poczuł jak Ania odsuwa od niego twarz. Popatrzył na nią. Te oczy. Te piękne piwne oczy. Patrzył bez zrozumienia. Patrzył bez świadomości. Patrzył jak tyle razy. Powoli. Nagle. Nieoczekiwanie. Nie, to niemożliwe – upomniał sam siebie. To jakiś dalszy ciąg tego koszmaru. Myśli te spadły jednak natychmiast w niebyt. Patrzył w oczy swojej córki. Oczy, które po raz pierwszy od wielu lat, patrzyły teraz wprost na niego. To niemożliwe – upomniał się raz jeszcze.

– Aniu – powiedział z lękiem.

– Tato – odpowiedziała obejmując go za szyję i przylgnęła do niego.

Przeniknął go. Przeniknął go ból i radość. Tulił ją, głaskał. Drżał. Chował ją jak największy skarb w swoich ramionach. Trwał tak z przytuloną córką, bojąc się, że to nieprawda, że to co zobaczył i usłyszał, za chwilę okaże się złudzeniem.

– Aniu – odsunął ją jeszcze raz od siebie.

Patrzyła na niego. Patrzyła na niego jak dawniej. Jak zawsze o tym marzył. Patrzyła na niego, jak jego własna córka. Jak miłość, która kiedyś przyszła na świat i dla której chciał żyć i pracować.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Pokiwała głową z poważną miną. Ewa i Greg spoglądali w onieśmieniu na tą scenę. Równie niemożliwą, jak to co się działo przed chwilą w tym pokoju.

– Tato... – Usłyszał. – Chodźmy stąd.

Przytulił ją raz jeszcze. Podniósł się. Kątem oka dostrzegł, jak Ewa wstaje z podłogi. Greg również wstał, wyłączając monitor. Wziął Anię za rękę. Ruszyli do wyjścia.

26.

Biały hełm, znad głowy Patryka Lindqvista, podniósł się do góry. Nie wydał, przy tym, żadnego odgłosu. Lindqvist spoczywał, w obejmującym jego ciało, kubelkowatym fotelu. Przed nim, barwami mienił się duży sześcian. Serce. Jego kolory wydały mu się bledsze, mniej intensywne. Jakby ktoś wyjął z nich treść i napięcie, które od samego początku im towarzyszyło. Przez blisko tysiąc dni. Blisko tysiąc dni – powtórzył w myśli. Więc to już koniec. Tak po prostu. Zwyciężyli. On zawiódł. Wirtualnym postaciom, ze swojego świata, udostępnił prawdziwe łącze do systemów Kapituły. Był o włos. O włos od wyłączenia tego szaleństwa. A może przeciwnie. Nigdy nie było mu pisane zapobiec temu, co się dzisiaj stanie. Trwał przez chwilę bez żadnej myśli, patrząc bezwiednie na barwne plamy przemieszczające się po Sercu. Czuł gorycz. Gorycz zawodu. Kiedy wszystko stawiamy na szali, kiedy angażujemy w coś całych siebie, wtedy niepowodzenie nas rani. Czujemy ból. Choć przecież nikt nie rani nas fizycznie... To my sami. Ustanawiamy związek, między tym czego tak strasznie pragniemy, światem, który chcemy aby się stał, a naszym wnętrzem, nami samymi.

Co dalej? Co dalej? Pytania przelatywały przez głowę Lindqvista. Kierowana jego intencją biała kopuła ponownie opadła na jego głowę. Chciał jeszcze raz spojrzeć.

Zobaczył całą czwórkę nad brzegiem oceanu. Powietrze było nagrzone, rozświetlone słońcem. Greg, nieco na lewo od siedzącej trójki, podszedł do linii wody i znalezionymi gdzieś płaskimi kamykami, usiłował puszczać tak zwane kaczki. Rzucone ku wodzie kamyki podskakiwały, odbijając się od powierzchni. Jeden, drugi, trzeci... czasem czwarty raz. Po czym znikwały w kołyszącej się toni. Wszystko wypełniał łagodny szum fal i lekkiego wiatru. Włosy Ani, te które nie były ujęte w ogonek z tyłu, falowały razem z wiatrem. Calahan obejmował ją ramieniem i przytulał do siebie. Ewa siedziała kilkanaście centymetrów od nich. Podciągnęła kolana i objęła je ramionami, kładąc na nich brodę. Córka mówiła coś żywo do ojca. Kręcił głową.

Patryk przyjrzał się jej bliżej. Miała piękną dziewczęcą twarz.

– Proszę tato... – położyła dłoń na jego podkulonej nodze i wpiła w niego swoje duże oczy.

Calahan nie odpowiadał. Czy mógł odmówić prośbie córki? Obejrzał się w lewo, na Ewę.

– Pójdiesz z nami?

– Nie. Idźcie. Ja popilnuję ubrań.

Calahan rozejrzał się. Szeroka na czterdzieści metrów plaża była całkowicie pusta po horyzont, z każdej ich strony. Nieliczne mewy unosiły się w powietrzu. Nieświadome bliskiej przyszłości, kołysały się, unoszone prądami powietrza, niczym białe strzępy pierza na tle

głębokiego, słonecznego błękitu. Mężczyzna podniósł się. Zbudowany był jak ideał. Tak został zaprogramowany. Zresztą w trakcie własnych wyborów i interakcji ze stworzonym przez Patryka światem, nie zepsuł zbytnio pierwotnego zamysłu. Ania ochoczo ściągała ubranie, spod którego ukazał się jasnobłękitny kostium kąpielowy. Ujął ją za rękę. Nagle zaczęli biec. Piasek wysypywał się spod ich stóp. Ocean kołysał się zapraszająco. Skrzył się przed nimi tysiącem luster, morzem odbitego światła. Wpadli do wody. Jej krople trysnęły na wszystkie strony. Ania puściła się do przodu. James Calahan dał głębokiego nurka. Wynurzył się dwa metry od niej. Ich włosy były mokre. Spływająca po nich woda lśniła w pełnym słońcu. Ania zaczęła płynąć żabką. Jej ojciec zbliżył się do niej. Co teraz czuł?

Jeszcze nigdy Patryk nie czuł tego tak silnie. Jeszcze nigdy, tak bardzo jak teraz, nie chciał wejść w ten świat. Poczucie to, co oni czuli. Dotyk ciepłej wody na skórze, dotyk słońca na karku i ramionach. Zanurkować w tej mieszaninie światła i błękitu. Czuć ich radość i spełnienie. Chciał. Czy chciał? Chciał. Chciał im się przedstawić. Wszystko powiedzieć. To głupie. Bezmiernie głupie – upomniał siebie.

Calahan i jego córka płynęli wzdłuż brzegu. Greg stał w szerokich, trzepoczących na wietrze, spodniach. Ewa pochyliła głowę, zanurzając ją w przyciągniętych kolanach. Czy oczekiwała na miłość? Czy tak ją właśnie zaprogramował? Czy zdawała sobie teraz właśnie sprawę, że to, do czego, jak czuła, była powołana, nieodwołalnie już nie nastąpi?

Uniósł się wyżej. Patrzył na to wszystko z wysokości dwudziestu, czterdziestu, stu metrów. Unosząc się, widział nieskończony pas plaży. Tych czworo ludzi na granicy błękitnego, toczącego powoli swoje fale oceanu. Widział jak wszystko zatapia się w słońcu. Mógł sobie wyobrazić wszystkie wrażenia i uczucia tych tam, na dole.

Biała kopuła podniosła się ponownie. Nie pozostało już nic do zrobienia. Śniadanie z Ingrid. Spacer po islandzkich nabrzeżach. Potem powrót. I czekanie. Dobrze, że zwolnił służbę. Będą sami. W końcu to uroczysty dzień. Wyjątkowy. Podniósł się. Popatrzył jeszcze raz na Serce. Podszedł do niego. Położył na nim swoje dłonie. Lubił ten dotyk. Jeszcze zaczęną się przytulać – upomniał sam siebie. Ruszył na górę. Żegnały go, stojące rzędami, prostopadłością. Każdy wiernie realizujący swoje zadanie. Spojrzał na teleprocesor. Zielona linia łączności nadal pulsowała biegiem danych. Jak długo jeszcze?

27.

– Dałeś wolne Adamowi i Ameli?

Lindqvist nalewał sobie właśnie herbatę. Dzbanek był porcelanowy, biały. Herbata gorąca, pachnąca. Odstawił dzbanek. Podniósł głowę. Ingrid była jak zawsze piękna. Dzisiaj nawet piękniejsza niż zwykle. Czy potrafił zauważyć na co dzień piękno? Starał się. Szczególnie tutaj, w tej zapomnianej przez ludzi krainie. Piękno było tutaj ostre i dosłowne, jak zręby skał, jak krzyki ptaków, jak spienione bałwany fal, uderzające w schodzące w morze, wulkaniczne zbocza. Miała te niezwykle rude włosy. Nieliczne piegi rozsypane po twarzy. Błądą skórę, tak cudowną w dotyku. Patrzyła na niego, trzymając tuż przy ustach niewielką filiżankę. Uwielbiał gdy włosy miała zaczesane do tyłu i ujęte w niewielki ogonek.

– Tak – odpowiedział.

– Ponieważ?

– Ponieważ im się należało. Dałem im w wolne, żeby mogli wyjechać. Pojechać dokąd chcą.

– Czy ja czegoś nie rozumiem?

Popatrzył na stół. Owczy ser i masło, równe kromki pieczywa. Jaja ugotowane w salaterce. Chyba nieźle się spisał jak na kucharza. Przy najmniej w zakresie śniadania. Ujął kromkę i zaczął ją smarować. Na Islandii nauczył się doceniać proste smaki. Orgia kulinarna, której doświadczał dawniej, została zastąpiona skromnością i prostotą. O dziwo jego smak adaptował się do tej sytuacji. Nauczył się rozpoznawać i doceniać smak prostych produktów. Ser, ryba, ziarnisty chleb. Odkrywał tutaj bogactwo prostoty, poznawał tę prawdę, że zmysły zawsze adaptują się do sytuacji i w przypadku nadmiaru wrażeń, po prostu pomijają całe ich spektrum.

– Patryku? – ponowiła pytanie.

– Dziś... – zatrzymał się na chwilę, patrząc na nią. Miała jasną kremową bluzkę, lekko rozpiętą pod szyją. Chyba jeden guzik albo dwa. Nieco powyżej piersi. Na szyi widoczny niewielki złoty łańcuszek.

– Dziś jest, moja droga, niezwykle dzień.

– Czyli?

– Ostatni dzień. – Odchylił się do tyłu i odłożył sztucce. Wziął do ręki białą grubą serwetkę i otarł usta.

– Czy mógłbyś się wyrażać jaśniej? – Ton jej głosu zdradzał lekkie zniecierpliwienie.

– Dzisiaj... skończy się świat.

– No tak – prychnęła – znowu te twoje fantazje. Spojrzała w bok. Za oknem rozciągała się szarość. Jak długo jeszcze szarość? Jak długo jeszcze będzie musiała czekać na słońce? Jak długo jeszcze Patryk będzie mówił do niej tak dziwnie? Bo przecież... Bo przecież, nie mówił chyba serio.

Lindqvist siedział wyprostowany i rozluźniony. Głęboko i spokojnie odetchnął.

– Chcesz jeszcze herbaty? – zapytał.

– Żartowałeś.

– Nie – odpowiedział i ujął dzbanek, by nalać jej nieco gorącego naparu.

Odsunęła filiżankę.

– Nie chcę. Chcę żebyś mówił do rzeczy. Żebyś mówił do mnie. Żebyś się wreszcie otworzył. Żebyś przestał być myślami gdzieś indziej. Żebyś był. Rozumiesz? Był dla mnie. Był ze mną. Żebyś wyszedł z tej twojej wirtualnej rzeczywistości, którą tworzysz i która wydaje ci się światem – wyrzuciła z siebie.

Zatrzymał rękę z dzbankiem. Pokiwał głową i odstawił go na miejsce.

– Dziś Ingrid. Świat się skończy.

– Jaki świat?

– Nasz świat.

– Jaki nasz świat? O czym ty do mnie mówisz?

– Nasz świat – odpowiadał cicho i spokojnie. – Dzisiaj wybuchnie ostatnia wojna. Właściwie, skończy się natychmiast po tym jak się zacznie. – Spojrzał na nią. – Dziś odpalone zostaną wszystkie arsenały nuklearne świata.

– Bredzisz – prychnęła i ostentacyjnie odwróciła głowę w bok. – Patryku – zaczęła po chwili – co ty opowiadasz?

– Nic. Mówię ci prawdę. Dzisiaj jest ostatni dzień. Ostatni dzień świata.

– Ty to mówisz naprawdę? – Dwie pionowe zmarszczki przecięły jej czoło.

– Dokładnie. – Pokiwał głową.

– Jak to?

– Pamiętasz jak zacząłem współpracę z Kapitułą?

– Pamiętam – odpowiedziała i cień goryczy przemknął przez jej twarz. – Wszystko pamiętam – powiedziała głośno, jakby rzucając mu w twarz tę pamięć. Pamięć o tym, jak ją porzucił. Jak zniknął. Jak... Widziała te obrazy. Pamiętała. Tę kobietę. Starła mu się wybaczyć. Czy to jej się udało? Właściwie nie wiedziała już, kto jej kradnie Patryka. Tamta kobieta czy tamci ludzie. Zgubili się. Nie widywali się miesiącami. On stał się demiurgiem światowej technologii. Postacią z pierwszych stron periodyków naukowych i ekonomicznych. Ona zamknęła się w bólu i poczuciu opuszczenia. I jeszcze tamten romans. Nie chciała tego pamiętać. I przecież wybaczyła mu. Ale, w jakiś niewytłumaczalny sposób, tamte wspomnienia wciąż ją jakoś raniły. Dopiero tutaj, na Islandii... To jego szalone wygnanie zwróciło go jej. Dopiero tutaj. Na bazaltowych graniach, nad gorącymi jeziorami, na stokach lodowców, ale najbardziej na poszarpanych, wysokich, spadających ku oceanowi nadbrzeżnych skałach. Tutaj dopiero się odnalaz-

li. Z powrotem. To jego nieoczekiwane wygnanie. Ten jego szalony eksperyment, w efekcie zwrócił go jej ponownie.

– Widzisz – kontynuował Lindqvist – ci ludzie rządzą światem. – Nie odpowiadała patrząc na niego. – Nie wiem dlaczego, ale podjęli decyzję o likwidacji świata. Przynajmniej życia takiego jakie znamy. Nas samych – uzupełnił.

– I ty? Ty im na to pozwoliłeś?

Lindqvist odwrócił na chwilę spojrzenie. Czy on im na to pozwolił? Czy nie zrobił wszystkiego co w jego mocy, by zapobiec temu monstrualnemu, niewyobrażalnemu szaleństwu? Podniósł wzrok. Jej oczy miały niezbyt wyraźny kolor. Taka mieszanka zieleni, błękitu i szarości. Grzywka drobnymi kosmykami spadała na jej czoło. Wziął głęboki oddech.

– Zrobiłem wszystko co mogłem.

– Czyli?

– Ingrid... – Dlaczego wypowiedział jej imię? Czy chciał ją w ten sposób bardziej przekonać? Bardziej do niej dotrzeć? Przemówić? Przełamać barierę nieufności? Dotrzeć do samego serca, do miejsca gdzie słowa po prostu są? – Nikt i nic nie mogło temu zapobiec. Albo się temu przeciwstawić. Wiem co mówię. Mój eksperyment był próbą zapobieżenia temu, co się dzisiaj stanie.

– Jak?

– Budując odpowiednik naszego świata, stworzyłem narzędzia zdolne do przełamania barier Kapituły i zatrzymania projektu, który nieodwołalnie właśnie wszedł w końcową fazę realizacji.

– Jakiego projektu?

– Nazywał się, nazywa się – poprawił się – Apokalipsa. – Zamilkł na chwilę. – Stworzyłem oprogramowanie i komputer, który jako jedyny na świecie, mógł zapobiec katastrofie.

– I?

– Spóźniłem się dosłownie o ułamek sekundy. Albo raczej – zawieścił głos – moi ludzie – ponownie zrobił pauzę – moje programy spóźniły się o ułamek sekundy.

– No to ludzie czy programy? – zapytała patrząc na niego uważnie.

– Nie wiem. Programy. To są tylko programy. – Mówiąc to poczuł gdzieś głęboko gorycz.

– I jesteś przekonany, że to są tylko programy?

– Nie – odpowiedział szczerze. – Nie jestem. Nie wiem, to znaczy. Tak. To są programy, ale... takich programów nigdy jeszcze nie było.

– I nigdy już nie będzie?

– Nie wiem.

– A co ty wiesz?! Wiedziałeś, że twoi kumple planują zniszczenie świata i nic mi nie powiedziałeś? Nikomu nie powiedziałeś? Siedziałeś cicho jak ta mysz pod miotłą, mieszkając na tej szarej wulkanicznej wyspie?

– Nie mogłem – poczuł się zmęczony. – Nie mogłem Ingrid. Gdy-

bym coś powiedział. Tobie na przykład. Parę chwil później, nie żylibyśmy oboje.

Skrzywiła usta. Wzięła do ręki srebrną łyżeczkę. Zaczęła mieszać resztkę chłodnej herbaty w filiżance. Odłożyła ją. Podniosła wzrok na Patryka.

– Patryk. – Dlaczego użyła jego imienia? Czy po to aby okazać mu zaufanie? To, że go przyjmuje, że wszystkim co ma jej do powiedzenia, przekazania? Jego samego? Westchnęła głęboko. – Czy ktoś ocalałe?

– Nie – pokręcił głową.

– A ci... twoi koledzy. Ci, którzy to wszystko uruchamiają?

– Nie – pokręcił głową powtórnie.

– Popołniają samobójstwo?

– Nie zginą dzisiaj. Ostatnie analizy wskazują, że potrwa to kilka dni, kto wie, może nawet miesiąc, dwa.

– Więc. Dlaczego?

– To jest najdziwniejsze. Kiedy z nimi rozmawiałem. Kiedy powiedziałem im to wszystko, czułem, że coś jest nie tak. Coś czego nie potrafiłem wyjaśnić. W żaden sposób. Coś ich omotało. Nie wiem co.

– Więc tak po prostu?

– Śmieszne prawda?

– Nie nie śmieszne – odpowiedziała. – Powiedz mi. Czy. Czy ten twój projekt, eksperyment. Czy to była wyłącznie próba zapobieżenia tej tragedii?

– O co pytasz?

– No wiesz. Rozmawialiśmy wcześniej.

– Pytasz o rzeczywistość?

– Mhm.

– Nie wiem.

– Czy ty... – zastanowiła się chwilę – wiedząc, że czeka nas śmierć, chciałeś sprawdzić czym jest życie? Przekonać się czym jest śmierć?

Lindqvist lekko zagryzł dolną wargę. Czy próbował tego? Czy koniec końców, nie to właśnie go pochłonęło? Próba odpowiedzi na ostateczne pytania, pytania, na które każdy będzie sobie musiał odpowiedzieć. Niezależnie od tego czy to nam się podoba czy nie. Niezależnie od tego, jak długo uda nam się wytrwać, zanurzonym w strumieniu bieżących doznań, kłopotów, przyjemności, żądz. Oglądał w myślach jej pytanie. Czy chciał poznać prawdę o życiu? Jakoś ją sprawdzić, zweryfikować, przekonać się czym ono jest naprawdę, czym jest rzeczywistość? Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Ależ oczywiście, że chciał. Dlaczego miałby nie chcieć? Czy pozostaje jakieś inne pytanie? Teraz?

– Wychodzi na to, że tak.

– I... jakie są twoje ostateczne wnioski?

– Mówiłem ci.

– Czyli?

- Jesteśmy myślami – powiedział ciężko.
- Czyimi? – nie ustępowała.
- Nie wiem – próbował się bronić. – Boga – wypalił.
- Bóg nas myśli... – raczej stwierdziła niż zapytała.
- Wszystko na to wskazuje.
- Tak samo jak ten twój komputer myśli te twoje programy.
- Podobnie.
- I co będzie z nami po śmierci? Co będzie z całą rzeczywistością?
- Nie wiem.
- Więc po co to?
- Co?
- Wszystko!
- Nie wiem. Może... – poprawił się. Odpowiedź, która mu się nasuwała był zbyt obcesowa. Zbyt prostacka. Niemożliwa. – Może to – jeszcze chwilę się zawahał – może to z miłości.
- Bóg nas myśli z miłości?
- Nie znam innych odpowiedzi.
- A może te normalne?
- To znaczy?
- Że nie ma żadnego Boga, że świat istnieje rzeczywiście, że się rodzimy i umieramy, bo tak funkcjonują procesy, które nazywamy życiem. Dzięki mieszance genów, komórki zaczynają się dzielić. Stopniowo zyskujemy świadomość, jako naturalny proces psychiczny. W końcu umieramy.
- I?
- I co?
- No właśnie. I co?
- I nic. Po prostu. Światło gaśnie.
- Wierzysz w to?
- Nie wiem już w co wierzę.
- Świat jako wielka maszyna, skomplikowany niezwykle mechanizm. My jako pojawiające się bez celu, powodu i intencji, przypadkowe fluktuacje życia obdarzone świadomością?
- Dokładnie.
- Tylko że.
- Tylko że?
- Tylko że, tak naprawdę, to nie ma żadnych powodów, by dawać wiarę takiemu przekonaniu.
- Nauka – odpowiedziała.
- Nauka mówi coś przeciwnego.
- Czyli?
- Nauka mówi, że świat nie składa się z materii.
- Tylko z czego?
- Tylko z oddziaływań. Albo, ściślej, z informacji, które uzyskujemy, jeśli oddziałujemy, czyli o nie prosimy.
- Znowu bredzisz.

– Wiesz, że nie.
– Bo jakiś jeden z drugim fizyk tak uważał?
– Lepiej wierzyć sprzedawcom lodówek? – Dlaczego użył takiego porównania? Czy dlatego, że w procesie sprzedaży ostatnią rzeczą, o którą chodziło, była prawda?
– Boję się wierzyć w to co mówisz – powiedziała ciszej.
– Dlaczego?
– No bo wtedy. Wtedy... Czy ty nie rozumiesz? Wtedy nic nie istniałoby naprawdę!
– Ale co to znaczy naprawdę?
– Naprawdę to znaczy, że jak zamknę oczy, to to nadal istnieje. Istnieje niezależnie od wszystkiego i wszystkich. Jest, po prostu jest!
– Ale... nie ma niezależnego istnienia.
– Pamiętam. Wszystko istnieje tylko w kontekście oddziaływań i relacji z otoczeniem, które są ostatecznie informacjami.

Milczał.

– Patryku. Czy ty nie rozumiesz?
– Co takiego?
– Ja chcę żyć! Chcę żyć! Chcę istnieć.
Patrzył dłuższą chwilę w milczeniu. W polu jego widzenia na powrót pojawił się brązowy blat stołu, naczynia, kromki chleba.
– Też chcę.
– No i?
– Chodź, pójdziemy na spacer.
– Ostatni spacer? – rzuciła z sarkazmem.

Poczuł ukłucie w sercu. Dlaczego ludzie się ranią? Dlaczego, choć tak panicznie potrzebują wzajemnej bliskości, tak często i przy byle okazji się ranią? A może ranił sam siebie, a ona tylko wyrażała niepokój. Niepokój, który on mógł zagasić. Ale jak mógł go zgasić? Wiedział aż nadto dobrze. Nic nie mówił. Podniósł się. Podeszedł do niej. Ujął jej rękę. Siedziała przez chwilę z dłonią w jego dłoni. Spódnicę miała granatową. Biodra pełne. Usta delikatnie podkreślone pomadką. W końcu wstała. Objęła go. Przytulił ją. Czuł jak przyciska całe swoje ciało do niego. Jak go, niemal panicznie, obejmuje ramionami. Czuł jak oddycha.

– Ciii – powiedział cicho.

Nie odpowiadała. Położyła policzek na jego ramieniu. Zaczął ją miarowo kołysać. Delikatnie. Gładził jej włosy.

– Ciii – powtórzył szeptem.

Podniosła głowę.

– Patryk – zaczęła – chodźmy na spacer.

Uśmiechnął się. Delikatnie pocałował ją w usta. Raz jeszcze przytulił. Była już rozluźniona. Spokojna.

– To będzie prawie, jakbyśmy mieli kilkanaście lat – powiedziała.
– Sami we dwoje, zagubieni w tym świecie.

Coś rozjaśniło się w jego wnętrzu. Ścisnął mocniej jej dłoń.

28.

Spacerowali bardzo długo. Ingrid zabrała ze sobą duży prowiant, który zjedli w zagłębieniu skalnym, osłonięci od porywistego wiatru. Wyjechali z Perłowej Zatoki wiele godzin temu, byli nad niewielkim słonym jeziorem, biegali po bazaltowych płaszczyznach, rzucali do siebie niewielkimi kamykami. Odwiedzili kolonię maskonurów. Ingrid zawsze przepadała za tymi niezwykłymi ptakami. Żeby tak jeszcze nauczyć je mówić jak papugi – zawsze mówiła. Wiatr dotykał ich twarzy ostrym podmuchem. Niebo ciągle sine, nachylone zwałami chmur, kłębiło się nad ich głowami. Żartowali i śmiali się, jak gdyby nigdy nic. Albo nawet bardziej. Jak gdyby czas nie upłynął, od chwil kiedy życie smakuje się pełnymi ustami. Kiedy wszystko jest jeszcze przed człowiekiem. Kiedy świat się otwiera a miłość czeka tuż za progiem, aby ją odkryć, aby ją spotkać, aby się w niej odnaleźć. Odnajdowali się więc, gubiąc się jednocześnie. Gubiąc wszystkie lęki i wszystkie pytania. Znajdowali ciepło. Gdzieś w nich i gdzieś poza nimi. Ciepło to zadawało się błyszczyć w powietrzu, wibrować w podmuchach wiatru, otulać ostre krawędzie gór miękkim płaszczem zrozumienia.

– Pamiętasz?

– Co?

– Jak mnie pierwszy raz pocałowałeś!

Roześmiał się.

– No więc tak. To było... czekaj... – udał, że się namyśla. Zmarszczył teatralnie brwi i zaczął się skrobać w głowę, okrytą czapką w norweski wzór. Spojrzał na nią, udając zakłopotanie.

– Głupi – pacnęła go w czoło.

Chwycił ją wpół.

– O nie. Jak sobie nie przypomnisz, to nie dostaniesz.

– To było – mówił oddalony od centymetr od jej ust – w czerwcu. Drzewa były niemożliwie zielone, siedziałaś na barierce, w letniej sukience w beżowo-czerwone kwiaty. Światło słońca padało z tyłu, rozświetlając twoje włosy. Najpierw się wahałaś. Podtrzymałem twoje plecy. Ptaki wtedy śpiewały. Liście kołysały się. Usta miałaś takie pełne.

– A ty byłeś taki łapczywy – odpowiedziała mu ze śmiechem.

– Chyba taki... pozostałem.

Zamknęła oczy. On też je zamknął. Obejmowali się. Jak dawniej. Jak zawsze. Jak w tym, przypomnianym właśnie momencie. Jakby on się nigdy nie skończył. Jakby nigdy nie zniknął. Nigdy nie miał przestać istnieć. Oderwali się od siebie. Lekko się uśmiechnęła. Podniosła usta i pocałowała go w nos.

– Ejże – zaprotestował.

– Gonisz! – Odepchnęła go i zaczęła biec po skalnej płaszczyźnie. Jej czerwona kurtka przeskakiwała z jednego miejsca na drugie. Nie-

opodał, skały kończyły się i zaczynał się mech i porosła trawą wulkaniczna ziemia. Odwróciła twarz w biegu. Był tuż tuż. Biegając, patrzył tylko na nią. Nie wiedziała czy to ona zwolniła, czy on ją dopadł jakimś dłuższym susem. Zwalili się na trawę. Wyrwała jej garść i rzuciła w jego kierunku.

– O nie. Tak nie będzie! Jestem królową i masz mnie traktować jak królową. – Odepchnęła go.

Usiedli roześmiani. Spojrzeli przed siebie. Szare morze przewalało długie rzędy spienionych fal. Kołysało się. Jak dawno się tak kołysało? Czy od momentu gdy przecinały je łodzie wikingów? Czy znacznie wcześniej? Świat zdawał się kołysać ich dwoje. Tak jakby tylko oni byli na świecie. Obróciła ku niemu twarz. Spojrzał pytająco.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała.

Nie odpowiedział. Nie musiał. Nie musieli sobie niczego tłumaczyć. Siedzieli zapatrzeni w przestrzeń. Widnokrąg cięty pojedyncze mewy, unoszące się na prądach powietrznych, kołyszące się na wietrze. Czuł pod palcami ziemię. Ziemię. Zdjęła go jakaś czułość. Tęsknota, ale jednocześnie pełnia. Jeszcze nigdy chyba, nie doświadczał tego wszystkiego, tak na raz. Do końca. Może od czasów młodości. Od czasów zanim filtry świadomości i doświadczenia, uprzedzeń i klasyfikacji, nie przesłoniły mu tego – co jest. Tego, czego nie można było nazwać. Tego, czego doświadczał. Tu i teraz. A przecież, oprócz „tu i teraz” nic nigdy nie istniało. Oddychali głęboko, wczuwając się w zapach morza. Potem wstali. Wracali do samochodu. Wysoko na skale odwrócili się jeszcze raz w stronę oceanu. Z prawej strony, spod chmur, niespodziewanie zupełnie przedarł się przebłysk światła, na chwilę odmalował jej twarz i wszystko dookoła. Odwróciła głowę w tamtą stronę z uśmiechem.

– Słońce, widzisz? – Uśmiechnęła się do niego.

Nie odpowiadał.

Patrzyła na niego. Poważniejąc z każdą chwilą.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– To nie jest słońce, Ingrid.

– Nie? – Nie chciała pytać.

– Nie. Słońce jest teraz na zachodzie.

– Czyli? – Zagryzła usta.

– To Europa.

Powoli, wbrew próbom powstrzymania, z jej oczu zaczęły płynąć łzy.

– Boże. – Rzuciła mu się w ramiona. Tuliła się do niego. Tuliła się jak małe dziecko. Podniosła jeszcze raz zapłakane oczy. Smugi światła rysowały fantastyczne wzory, gdzieś ponad chmurami. Obejmował ją. Gładził po włosach.

– Chyba pora wracać – powiedziała patrząc mu w twarz.

Skinął głową.

– Długo jeszcze?

- Nie wiem.
- W przybliżeniu?
- Fala uderzeniowa... to kwestia kilku godzin.
- A tu? Tu nic nam nie grozi?
- Do tego momentu nic. Nie ma tu niczego, godnego bezpośredniego uderzenia.

Droga zdawała się nie mieć żadnych nierówności. Krajobraz gdzieś schował się za oknami. Nie patrzyła. Chciała żeby ją zabrał. Żeby zabrał ją do ich domu. Do domu, w którym się odnaleźli. Patryk Lindqvist prowadził spokojnie. W niewytłumaczalny sposób, nie odczuwał niepokoju. Ani strachu. Czy tak to powinno być? Czy właśnie tak? Perłowa Zatoka witała ich z daleka, jasnym wzorem światła w oknach. Zapalały się automatycznie, gdy system domu wykrywał ich zbliżanie się. Samochód wjechał na podjazd. Niewielki żwir zachrzęścił pod kołami. Wysiadł, obszedł samochód. Otworzył drzwi po jej stronie. Podał jej rękę. Weszli do środka.

- Co będzie z nimi? – zapytała gdy parzył herbatę.
- Nie wiem.
- Nie wiesz?
- Serce emuluje ich świat, to znaczy sytuację w ich świecie, odpowiednio do wydarzeń w naszym. Taki był zamiar. Po to, aby dokonali realnej próby zapobieżenia katastrofie.
- Czyli?
- Czyli. W ich świecie też nastąpi katastrofa.
- To niesprawiedliwe – protestowała.
- Chciałabyś...?
- Tak.
- Nie wiem.
- Czy możemy?
- Obejrzeć?
- Tak. Chciałabym jeszcze raz ich zobaczyć.
- Skinął głową.
- Patryk?
- Popatrzył na nią.
- Już nic – zakończyła.

Kiedy uruchomił projekcję, siedziała na sofie. Obok niego. Trzymała w ręku filiżankę. Nie chciała wina. Bał się, że ją zrani to, co może zobaczyć. Jednak sam był ciekawy. W końcu, cechą jego eksperymentu było to, że pozostawił swoim programom, rzeczywistą wolność w podejmowaniu decyzji. Nie wymuszał na nich działań ani nimi nie sterował. Mógł oczywiście na nie wpływać, w taki czy inny sposób, ale nieprzewidywalność i swoboda ostateczna ich decyzji, była jedną z podstawowych zasad konstrukcji świata, jaki funkcjonował w

Sercu.

Po krótkiej chwili otworzył się przed nimi przestrzenny obraz. Zmieniła pozycję opierając się o niego. Objął ją ramieniem. Widzieli pokój Ewy. Drzwi na balkon były otwarte. Na balkonie stał Calahan z Anią. Pokazywał jej coś w przestrzeni przed nimi. Ona żywo reagowała. Ingrid odwróciła głowę do Patryka.

– To ona nie jest już autystyczna? – zapytała niemal szeptem.

– Nie – uśmiechnął się Patryk – to już niepotrzebne.

Ewa siedziała poważna, z założonymi na siebie nogami w błękitnych dżinsach. Greg, pochylony nad komputerem, śledził coś na ekranie. Para z balkonu weszła do pokoju. Calahan usiadł w szerokim fotelu naprzeciwko Grega. Ania usiadła obok Ewy, biorąc ją za rękę.

– Pamiętam cię.

– Poważnie? – zapytała Ewa.

– Poważnie. To wszystko było jak przez sen. Jakbym to widziała i słyszała, ale nic nie mogła z tym zrobić. Jakby nie w pełni to do mnie docierało. Ale – zawahała się – ale od ciebie coś czułam.

Ewa uśmiechnęła się.

– To chyba dobrze.

– Dziękuję. – Ania uścisnęła jej dłoń.

Ewa odpowiedziała uściskiem.

– Tak się zastanawiam – odezwał się Greg nadal wpatrzony w swój komputer, do którego teraz dopiął niewielki modem telefoniczny.

– Nad czym? – zapytała jego siostra.

– Nadal mam dostęp do komputera Jamesa, tego komputera w departamencie policji.

Przez twarz Ewy przemknął cień. Rozpogodziła się jednak. Czy ten jej brat zawsze musiał być takim urwisem? Niesfornym dzieckiem, na które ona miała uważać?

– No i? – zapytała z zawadiackim uśmiechem.

– Mam z niego wejście do tego rządowego komputera. Wiesz... włączyłem go w lokalną sieć jak tam byliśmy.

– No i? – Tym razem zainteresował się Calahan.

– No i... – Greg podniósł swoją głowę patrząc na pozostałych. Kudłata czupryna i okolona brodą twarz zdawały się emanować jakimś przebłyśkiem, tak jakby Greg znalazł coś, czym chciał się pochwalić przed nimi. – No i mam dostęp do tego systemu sterującego infrastrukturą schronu. Tego miejsca skąd idzie sterowanie.

– No ale, mówiłeś, że stamtąd nie da się zatrzymać tej cholernej wojny.

– Nie da.

– Więc?

– Więc możemy zrobić im psikusa.

Patrzyli na niego bez słowa. Ania uśmiechnęła się łagodnie. Wiszniewski popatrzył na nią. Jego twarz rozjaśniła się ciepłym uśmiechem.

– Wolę ciebie taką właśnie. Zresztą – uzupełnił – twoje byłe zdolności nie będą nam potrzebne.

– Do czego zmierzasz? – zapytał lekko zniecierpliwiony Calahan.

– To proste. Możemy tym bandytom otworzyć tę ich puszkę, żeby się usmażyli razem z nami.

– Co?! – wykrzyknęła Ewa.

– Czekaj. – Calahan wykonał uspokajający ruch dłonią.

– Normalnie – kontynuował Greg. – Mogę wejść do systemu schronu. Otworzyć wszystkie trakty komunikacyjne. Zablokować wszystkie dostawy mediów i – tu podniósł palec do góry – wyłączyć system.

– To oni go sobie ponownie włączą.

– Nie – uśmiechnął się programista. – Nie włączą. Wymażę przed wyłączeniem procedury startowe.

– Chcesz powiedzieć, że po prostu otworzysz im na oścież ten bunkier, schron, cokolwiek by to było i nie będą się mieli gdzie schować?

– Dokładnie. – Twarz Wiszniewskiego rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

– To morderstwo – zaproponowała Ewa.

– No coś ty – zaprotestował jej brat – przecież ja im tam wpuszczę, po prostu, trochę świeżego powietrza. – Uśmiechnął się całą twarzą w oczekiwaniu na reakcję pozostałych.

– Zrób to – powiedział zimno Calahan.

– Co?! – znów zaprotestowała Ewa.

– No co? Po prostu. Twój brat chce im wpuścić trochę świeżego powietrza. Co się mają chłopaki tam dusić w jakiejś spiekocie czy przeziębzać w klimatyzacji.

– James!

– James, James. No czego ty chcesz? Zrobimy głosowanie.

– Głosowanie?

– No głosowanie – powiedział Calahan i spojrzał na Wiszniewskiego. Rezultat był z góry przesądzony. Ania nie wyglądała na zainteresowaną, więc wynik byłby dwa do jednego.

– Sama nie wiem – powiedziała Ewa odwracając wzrok.

– Czego nie wiesz? Przecież nie zrobimy nic złego.

– Skażecie ich na śmierć.

– My?

Nie odpowiadała. Patrzyła na dywan. Jego wzory układały się w jej oczach w długie szeregi powiązanych ze sobą elementów. Myślała. Analizowała. Mijały chwile. Poczowała dotyk Ani na ramieniu. Odwróciła ku niej wzrok. Czy to możliwe? Czy to możliwe żeby jacyś szaleńcy chcieli zniszczyć to wszystko? Zniszczyć tę dziewczynkę? Zniszczyć ją i Grega? Zniszczyć wszystko, co mogło być? Mogło być między nią i Jamesem? Czy tamci szaleńcy zasługiwali na jakąś ochronę? Na jakieś wyróżnienie? W imię czego właściwie?

– Róbcie jak chcecie – powiedziała i wstała. Ruszyła w kierunku

balkonu.

Calahan spojrział na córkę. Miała jasne, pogodne spojrzenie. Uśmiechnęła się do niego. Popatrzył na Wiszniewskiego. Sylwetka programisty jak zwykle zwalista i górująca nad stojącym na niewielkim stoliku laptopem. Skinął mu głową. Wiszniewski pochylił się nad komputerem. Zaczął pisać. Albo, może wypadaloby powiedzieć, tworzyć. Muzykę informacji, poematy danych. Prawdziwy programista pisze w natchnieniu. W takim właśnie natchnieniu Greg Wiszniewski wprowadzał dziesiątki poleceń, informacji, realizując pomysł jaki przed chwilą zaprezentował pozostałym. Pisząc, korygując, uruchamiając, tworząc, czuł, że przywraca porządek, że czyni rzeczy takimi jakie powinny być.

Ingrid odwróciła głowę do Patryka.

– Co oni robią?

– Otwierają centrum dowodzenia Kapituły.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Prawdziwe centrum?

– Dokładnie.

– Więc?

– Więc, dla tych zamkniętych w centrum dowodzenia, świat skończy się jednak dzisiaj...

– Nie pozwól im – powiedziała słabo. Bez przekonania.

– Chciałabyś?

– Nie wiem. Mówisz, że to i tak przesądzone?

– To, że wszyscy, tak czy inaczej, zginą?

– Tak.

– Tak, to przesądzone.

Zwinęła się jak ptak w jego ramionach. Przeciągnęła plecy. Patrzyła. Palce Wiszniewskiego fruwały nad klawiaturą. Jego oczy błyszczwały. Obok niego usiadł Calahan i obejmował drugim ramieniem córkę. Ewa stała na balkonie oparta o balustradę. Wiszniewski podniósł głowę. Ekran był czarny. Widniała na nim tylko jedna jasna linijka: „Wykonać (Tak/nie):” i migająca litera „T”. Calahan patrzył na niego ze spokojem. Kiwnął zdecydowanie głową. Ręka Wiszniewskiego opadła na klawisz z napisem „Enter”. Litera „T” migiała jeszcze przez chwilę, po czym cały ekran zgasł.

– Już? – zapytał James.

Greg pokiwał głową.

– Już.

Calahan odetchnął głęboko. Całe życie starał się spełniać swój obowiązek. Czuł do tego jakieś powołanie. Jakąś niewytłumaczalną potrzebę prostowania rzeczy, czynienia ich lepszymi. Wziął Anię za rękę. Wstał.

– Chodźmy.

Dołączyli do Ewy na balkonie. Wiał łagodny ciepły wiatr. Palmy, stojące rzędem wzdłuż nadmorskiej drogi, szumiały zielonym liśćmi na tle błękitu. Morze miało kolor turkusowy, przesycony słońcem. Lśniło się złotymi odbiciami, łagodnie się kołysało.

– Piękny dzień – powiedziała Ewa.

Daleko przed nimi, niebo zaczęła ciąć biała nić. Potem następna. I jeszcze jedna.

– Co to? – zapytała Ania przytulając się do Jamesa.

Rakiety międzykontynentalne wchodziły w atmosferę. Zostawiały za sobą gruby, biały warkocz, znacząc drogę jaką śmierć rysuje życiu.

Obraz zgasł.

– To ty wyłączyłeś? – zapytała Ingrid.

– Już czas.

Przeszli cicho do sypialni.

– Będziemy się kochać? – zapytała.

– Nie, dziś nie.

Za oknem gęstniał mrok. Położyli się naprzeciwko siebie.

– Patryk...

– Tak?

– Kocham cię.

– Też cię kocham.

Przytulili się do siebie. Przytulili się jak nigdy przedtem i nigdy potem. W tej jednej niepowtarzalnej chwili, czas stanął w miejscu, stał się tym, czym był w istocie. Istnieniem. Ona pogrążała się w nim, a on w niej. Ich miłość wyprowadzała ich z ich ciał, z ich umysłów, na drogę do jedności, do szczęścia, do życia. Poczuli wstrząs. Szyby z okna, z rozpryskiem, wpadły do wewnątrz. Perłowa Zatoka drżała, gdy parter zalała pierwsza fala. Nie czuli tego, nie słyszeli. Byli ze sobą. Gdy tsunami wlało się przez okno, zabierając ze sobą wszystko, byli nadal razem, nierozzerwalnie, w rzeczywistości, którą tworzyła ich miłość, w drodze do nieskończoności, poza czasem.